CAROLUS VICTOR

Publikacja jest dostępna na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa
– Użycie niekomercyjne – bez utworów zależnych 3.0 Polska.
Treść licencji dostępna jest na stronie
http://creativecommons.org/licenses/by-nc-nd/3.0/pl/legalcode

MIŁA CZYTELNICZKO, MIŁY CZYTELNIKU!

Życzę przyjemnej lektury elektronicznej wersji mojej debiutanckiej powieści, zatytułowanej *Carolus Victor*. Zdecydowałem się na opublikowanie jej w Internecie za darmo, gdyż uważam, że najlepszą reklamą książki jest jej treść. Po co kupować książkę nic nie wartą, nieciekawą, taką, do której nie będzie się wracało? Jak inaczej przekonać się, czy książka jest warta zakupu, niż czytając ją?

Jestem przekonany, że powszechna dostępność treści *Carolusa* zadziała na jego korzyść. Za wzór służyli mi muzycy z Motörhead, Burzum i wielu innych zespołów, którzy wiedzą, że najlepszą reklamą dobrej twórczości jest ona sama i po premierze nowych albumów publikują je w sieci za darmo.

Wydawnictwo Stapis, redaktorki oraz przede wszystkim ilustratorka – Dorota Tylka, wykonali kawał dobrej roboty. Ja też włożyłem w napisanie *Carolusa* mnóstwo pracy, która zresztą przyniosły mi ogromną radość. Jeśli jej owoce sprawiły przyjemność również Tobie – zakup książkę (jest pięknie wydana!) lub poleć ją znajomym, rodzinie, poślij link dalej, napisz o niej w Internecie. Niech ta historia żyje. A razem z nią niech żyje wolna kultura, niezależna od grantów, układów, nagród, dotacji i stypendiów.

Na pohybel wspakulturze!

Hubert Jarzębowski

LITERATURA
GÓRSKA
NA ŚWIECIE

Hubert Jarzębowski

Carolus Victor

Ilustrowała
Dorota Tylka

Literatura górska na świecie

STAPS

Redaktor prowadzący
Agnieszka Rachwał-Chybowska

Redakcja i posłowie
Weronika Górska

Projekt okładki i ilustracje
Dorota Tylka

Typografia i DTP
Wojciech Grzegorzyca

ISBN 978-83-7967-017-8

Copyright © by STAPIS, Katowice 2015
Copyright © by Hubert Jarzębowski

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w Internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo. Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

prawolubni

Wydawca:
Wydawnictwo STAPIS
ul. Floriana 2a
40-288 Katowice
tel. +48/32/2597574
www.stapis.com.pl

SPIS TREŚCI

NAJ I N.I.B.		7
PROLOG	6.06.51. ŚMIERĆ RZEŹNIKA RODRIGO	10
CZĘŚĆ I	BRATERSTWO LINY	14
CZĘŚĆ II	METODA K	31
CZĘŚĆ III	SZPICZASTY WZIĘTY	46
CZĘŚĆ IV	CAROLUS VICTOR	62
CZĘŚĆ V	WIELKA WERYFIKACJA	79
CZĘŚĆ VI	CAROLUS VICTUS	99
CZĘŚĆ VII	8 J 251/44G – CAROLUS VICTOR	114
EPILOG	SZTUCZKA Z JĘZYKIEM	129
POSŁOWIE	BRATERSTWO I SIOSTRZAŃSTWO LINY	132
KAROLA ENGLISCHA PORTRET WIELOKROTNY		137

Mały Jaworowy
Szpiczasty Szczyt
Mały Lodowy
Świstowy Szczyt
Chata Téryego
Pośrednia Grań
Strzelecka Turnia
Trupiarnia
Dolina Staroleśna
Rainerowa chata
wodospady zimnej wody
Przełęcz Rohatka
Staroleśna
Sławkowski Szczyt
Siodełko
Stary Smokowiec

NAJ I N.I.B.

To nie jest powieść o Karolu Englischu, choć mogła, a nawet powinna nią być. Karol był bez wątpienia jedną z najciekawszych postaci, jakie kiedykolwiek pojawiły się w Tatrach. Znany jest przede wszystkim jako zdobywca wielu trudnych wierzchołków, prekursor nowoczesnego taternictwa oraz postać budząca wielkie kontrowersje. Wszedł na Ostry, czy nie wszedł? Dziś już wiadomo, że wszedł. Czemu zatem opisał nieistniejący drugi wierzchołek? Dlaczego ilustrował relację z tego wejścia zdjęciami z Alp? Co nim kierowało – chęć sławy czy po prostu młodzieńczy entuzjazm i naiwność? Bez względu na odpowiedzi na te pytania faktem jest, że postać Karola Englischa postrzegana jest dzisiaj prawie wyłącznie przez pryzmat rzeczy, których dokonał w ciągu kilku kolejnych wakacji, kiedy był młodziutkim, młodszym niż ja teraz, chłopakiem. Podobnie budząca tak wielkie emocje kwestia „mistyfikacji", jakich się dopuścił, była w gruncie rzeczy sporem dwudziestolatków na łamach niszowego czasopisma.

Czemu te wydarzenia przyćmiły resztę biografii Englischa? Przecież znalazły się w niej przeżycia i osiągnięcia niebanalne – profesura, wielka polityka, bohaterska działalność wywiadowcza, tragiczna śmierć, wspinaczki w Alpach, strata młodej żony. My jednak zawsze widzieć go będziemy jako osiemnastolatka o pucołowatych policzkach z fryzurą z przedziałkiem, pasiastym krawatem i liną taternicką owiniętą dookoła grzbietu, spoglądającego zawadiacko z czarno-białej fotografii jakby chciał powiedzieć: „Patrzcie na mnie, jestem największym zdobywcą tatrzańskich szczytów". Jego matka natomiast na zawsze pozostanie elegancką panią w kapeluszu na wierzchołku wielkiej góry. Czy przez to, że ludzie lubią „naj" i pamiętają tylko o „naj"? Najwyższym, najtrudniejszym, najpierwszym.

Carolus Victor tego nie zmieni, a Karol Englisch dalej czekać będzie, aż ktoś uwolni go od odgrywanej na starej fotografii wciąż na nowo roli zdobywcy „naj" i zmieni na powrót w człowieka z krwi i kości. Życzę mu tego z całego serca.

Karol E., główny bohater niniejszej książki, nie jest do końca Karolem Englischem. Niby nim jest, a niby nie. Wszyscy inni bohaterowie również zanurzeni są w świecie belle époque, w zdarzeniach sprzed ponad wieku i żyjących kiedyś postaciach, tylko jedną nogą. Poza nazwiskami, pseudonimami, językiem, którym się posługują, i znanymi z literatury rolami społecznymi, w jakie wchodzą, pojawiają się tu zupełnie współczesne postaci. Myślą dzisiejszymi myślami, żyją dzisiejszymi problemami, mają dzisiejszą świadomość, a nawet czasem, w chwili zapomnienia, mówią dzisiejszym językiem. Są niby-prawdziwi, a niby-zmyśleni.

Podczas lektury Czytelnik z pewnością kilkukrotnie zada sobie pytanie: czy to wszystko jest na serio? Czy to jest mądre czy głupie? Odpowiedź na to pytanie kryje w sobie kolejne, najistotniejsze dla mnie, „niby". A mianowicie *Carolus Victor* jest to powieść niby-mądra, niby-głupia, niby-poważna, niby-niepoważna. Tam, gdzie ma do powiedzenia coś mądrego, robi to za pomocą głupich postaci, robiących głupie rzeczy i mówiących w głupi sposób, a tam, gdzie wydaje się mądra, jest w rzeczywistości dość głupia. O poważnych rzeczach mówi w sposób niepoważny, starając się jednak zachować maksymalną powagę, gdy zajmuje się błahostkami.

Dlatego właśnie styl *Carolusa Victora,* a także wszystkiego innego, co dotychczas napisałem, nazywam po prostu N.I.B. – dokładnie tak jak kawałek Black Sabbath z pierwszej płyty. Ten, w którym diabeł jest niby-dobry, a niby-zły, a tytuł odnosi się niby do kształtu brody perkusisty Billa Warda, a niby do zupełnie innych, mroczniejszych spraw. Na czym dokładnie polega styl N.I.B.? Kto się nie zniechęci lub nie przestraszy tym razem, będzie mógł się przekonać w kolejnych książkach.

Pozostaje jeszcze kwestia gatunku. Tutaj „niby" można mnożyć. Jest to powieść niby-historyczna, a niby-współczesna, niby-kryminał, a niby-satyra, powieść niby-środowiskowa, niby-realistyczna, niby-romans, niby-fantastyka. Niby niby-postmodernizm, a jednak bardziej niby-moderna. Najchętniej nazwałbym *Carolusa,* a także wszystko inne, co dotychczas napisałem, po prostu bujdałką. I chciałbym poprosić Czytelnika, by właśnie jako bujdałkę go czytał.

Hubert Jarzębowski

CAROLUS
VICTOR

PROLOG. 6.06.51. ŚMIERĆ RZEŹNIKA RODRIGO

Siódmego czerwca 1951 roku w więzieniu Landsberg na osądzonych w Norymberdze zbrodniarzach wojennych wykonano ostatnich siedem egzekucji w historii Republiki Federalnej Niemiec. Na stryczku zawisł główny zarządca obozów koncentracyjnych Oswald Pohl, czterech skazanych w procesie Einsatzgruppen, adiutant komendanta obozu w Buchenwaldzie oraz oficer łącznikowy jednego z podobozów Dachau.

Najczęstszym tematem rozmów wśród mieszkańców kilku spokojnych ulic naokoło dzisiejszego Parku Icchaka Rabina w dzielnicy Miraflores w Limie była natomiast tajemnicza śmierć rzeźnika, Rajmunda Tomzhinskiego. Zaniepokojeni klienci znaleźli go dzień wcześniej powieszonego na zapleczu sklepu przy ulicy zwanej dzisiaj Berlińską.

Tomzhinsky mieszkał w Peru czwarty rok. Trafił tu po przeprowadzce z Buenos Aires. Twierdził, że jest z pochodzenia Polakiem i walczył po stronie aliantów. W Ameryce Południowej znalazł się pod koniec wojny, gdy postanowił opuścić zniszczone rodzinne miasto i zamieszkać u rodziny w Argentynie. Pokłócił się z krewnymi z niejasnych powodów, po czym trafił do Miraflores z jedną walizką. Tu znalazł pracę jako rzeźnik. Musiał jednak utrzymywać kontakty z dużą częścią rodziny, gdyż listonosz odwiedzał go codziennie. Pan Rajmund nie wydawał się szczególnie zadowolony z korespondencji, ale odbierał wszystkie listy. Sam do nikogo nie pisał.

W pracy ceniono go ze względu na skrupulatność, sumienność i wielkie umiłowanie porządku. Do profesji rzeźnika się nadawał, gdyż widok krwi nie robił na nim żadnego wrażenia. Wyjaśniał ciekawskim klientom, iż podczas wojny przyzwyczaił się do krwi. Była to jedna z niewielu rzeczy, jakie kiedykolwiek powiedział o latach wojennych. Gdy rozmowa schodziła na ten temat, pan Tomzhinsky zazwyczaj po prostu milczał, a sąsiedzi postanowili nie ciągnąć go za język, by nie rozgrzebywać świeżych ran. Z pewnością

rzeźnik wycierpiał wiele z rąk nazistów. Cała dzielnica nazywała go pieszczotliwie Rodrigo, by mógł poczuć się w Miraflores jak w domu.

Jego hiszpański był twardy i skrzekliwy, zapewne tak samo jak polszczyzna. Po wewnętrznej stronie lewego ramienia miał wytatuowaną literkę „A". Zapytany zdradził niechętnie, że to na cześć brata, Adama, zamordowanego w więzieniu Stein an der Donau przez Niemców.

Ulica Berlińska huczała od plotek. Ludzie debatowali, czy było to samobójstwo, czy morderstwo. Pana Rajmunda znaleziono powieszonego na konopnej linie przywiązanej do rzeźnickiego haka za pomocą stosowanego przez marynarzy i alpinistów węzła zwanego wyblinką. W otwartej sklepowej kasie znajdowała się wystarczająca ilość pieniędzy do pokrycia miesięcznych rachunków. Motywy rabunkowe były wykluczone, a w samobójstwo pana Rajmunda sąsiedzi nie chcieli uwierzyć.

— Czemu ktoś, kto znalazł siłę, by przeżyć wojenną zawieruchę, miałby popełnić samobójstwo zaraz po znalezieniu raju na ziemi w Miraflores? Bardzo kochał porządek. Nie powiesiłby się, nie uprzedziwszy stałych klientów, że będą musieli nazajutrz pójść po wołowinę do masarni Lopeza. Tam jest przecież bardzo drogo.

— Może jakieś nieznośnie powracające wspomnienia? Może kogoś wydał podczas wojny? Albo przeżył obóz i nie mógł zapomnieć o tym, co tam widział?

— Gadasz bzdury, Juanito. Rodrigo był zbyt twardy. Idę o zakład, że go zamordowano. Popatrz na datę: szósty-szósty-pięćdziesiąty pierwszy. Pięć plus jeden równa się sześć. Trzy szóstki. To nie może być przypadek, to musieli zrobić Żydzi.

— Chyba wyznawcy diabła, drogi Manuelo. Ale nawet oni nie pogardziliby pieniędzmi z jego kasy.

— Dlaczego po prostu się nie zastrzelił? Przecież w otwartej szufladzie leżał pistolet parabellum...

— Widziano go w barze z jakimś Polakiem. Rozmawiali o górach...

— Polak przecież nie zabiłby rodaka...

— Kto wie? W dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe. A jeśli Rodrigo wcale nie był z Polski? Może się ukrywał jak ten Mengele?

— Nawet tak nie mów. Szargasz pamięć po złotym człowieku...

— Ciekawe, czemu nigdy nikogo nie zaprosił do siebie?

Po wejściu do mieszkania denata policjantom ukazał się dziwny widok.

Miłujący porządek, pedantyczny i wąsaty starszy pan mieszkał wśród ogromnych stosów papieru. We wszystkich pokojach, kuchni, przedpokoju i łazience walały się setki, tysiące depesz, telegramów i kartek. Koperty leżały do-

słownie wszędzie: na podłodze, na półkach, między przyprawami w kuchni, obok toalety. Wystawały z otwartych szuflad i niedomkniętych szaf. Mieszkanie rzeźnika przypominało siedzibę biura rachunkowego, przez które przeszła trąba powietrzna.

Treść listów była bardzo tajemnicza. Żadnych historii rodzinnych, korespondencji miłosnej, gróźb od wierzycieli ani pozdrowień od krewnych z Buenos Aires. Żadnych wierszy, wpisów do pamiętnika, kolejnych rozdziałów powieści. Żadnych rachunków, reklam, kartek z kalendarza, wycinków gazet. Wszystkie zawierały tylko dwa słowa: „Carolus Victor".

Policja szybko uznała, że to imię i nazwisko, po czym rozpoczęła poszukiwania tajemniczego Carolusa. Jeśli ktoś miał coś wiedzieć o okolicznościach śmierci rzeźnika, to tylko on. Pod uwagę brano wszelakich emigrantów, szczególnie z Polski, mogących się ukrywać pod tym pseudonimem. Przeróżnych Karlów i Karolów Wiktorów, Wiktorów K., Wiktorie K. i Karoliny W. Następnie sprawdzono wszystkich mieszkających w okolicy Charlesów i Carlosów. Nie pominięto nawet wariata podającego się za Karola Wielkiego. Niestety żaden przesłuchany nic nie wiedział i śledztwo utkwiło w martwym punkcie.

— To ten Carolus zamordował rzeźnika, mówię wam — przez następne tygodnie w okolicznych kawiarniach można było wiele razy usłyszeć takie zdanie.

Podejrzany najczęściej demaskowany był jako Żyd, członek jakiejś sekty, mason lub nielubiany sąsiad. Byli też tacy, którzy przekonywali, że pana Rodrigo zamordował rzeźnik Lopez rozwścieczony konkurencyjnymi cenami wołowiny. Faktycznie to on najbardziej skorzystał na całej sprawie. Winnego jednak nie znaleziono ani w Miraflores, ani w całej Limie, ani nigdzie indziej w Peru i sprawa do dziś pozostaje niewyjaśniona.

CZĘŚĆ I
BRATERSTWO LINY

Naprawdę niewielu spośród wspinaczy, którzy w owym czasie marzyli o zdobyciu niezdobytych tatrzańskich szczytów, stać było na luksus posiadania konopnej liny. To wprost przeciwnie do luksusu posiadania Liny, starszej z sióstr Konopnickich spędzających wraz z rodzicami każde lato po węgierskiej stronie Tatr – w Starym Smokowcu, zwanym wówczas Szmeksem.

Jednym z powodów popularności Spiskich Tatr był ogrom dziewiczych gór nęcących przyszłych zdobywców perspektywą zapisania się złotymi zgłoskami w historii taternictwa. Istotna była również niechęć młodych turystów do Zakopanego, do jego pluskiew, śmierdzącego sera, podłego alkoholu serwowanego w brudnych bacówkach, noclegów w kurnych chatach i przerażającej muzyki góralskiej, przed którą nie sposób uciec nawet w najwyżej położone doliny. Nie bez znaczenia był również wygodny dojazd pod same góry Koleją Koszycko-Bohumińską i konnymi omnibusami oraz niepowtarzalny klimat kompleksu sanatoryjnego doktora Szontagha. Większość bywalców stanowili suchotnicy, bogacze, poeci, prawnicy, kupcy i dyplomaci. Częstymi gośćmi okazywali się również młodzi taternicy przychodzący w odwiedziny do ich córek. Przede wszystkim do jednej.

Lina Konopnicka, podobnie jak lina konopna, bywała dobrem wspólnym i zapewniała lepsze samopoczucie. Mówiło się, iż reperowała psyche niejednemu wspinaczowi. Z jej usług korzystali młodzi Węgrzy, Niemcy ze Śląska i Spiszu, Słowacy, Czesi, a czasem także Polacy, którzy, choć nie stanowili dla Liny wakacyjnej atrakcji, coraz chętniej odwiedzali doliny Staroleśną i Pięciu Stawów Spiskich na przekór starszemu pokoleniu. Ich rodzice z nostalgią wspominali dawne Zakopane, Doktora Chałubińskiego, Jegomościa Stolarczyka oraz melancholijną sabałową nutę towarzyszącą im wraz z pluskwami podczas wieczornych posiadów przy płonącej watrze. Jednak nawet starsze pokolenie starało się odwiedzać Zakopane wyłącznie we wspomnieniach,

fizycznie natomiast wolało gościć w Szmeksie, leczyć płuca, pić wodę z krystalicznych źródeł, zażywać kąpieli, spacerować nad słynne Wodospady Kolbachu, raczyć się szampanem i gawędzić o polityce. U doktora Szontagha można było znaleźć wszystko: orkiestrę kameralną jak z Wiednia, wspaniałą kuchnię, najlepszych górskich przewodników oraz zdyscyplinowany personel.

Nie da się przecenić znaczenia Liny dla rozwoju taternictwa! Nie na darmo i bez większej przesady we wspomnieniach czołowych, a nawet przeciętnych taterników z czasów przełomu stuleci tak dużo mówi się o wyjątkowym wówczas Braterstwie Liny. Trzeba to podkreślić: Liny przez duże „L"!

Nawet starsi, konserwatywnie usposobieni przewodnicy spiskoniemieccy, którzy niechętnie podchodzili do przybyłych z Alp nowinek w rodzaju lin czy raków, porzucali twarde zasady i po sprowadzeniu klientów z Łomnicy udawali się do pokoju Liny.

Według historyków taternictwa można mówić nawet o Pokoleniu Liny, które zastąpiło pokolenie wycieczek bez programu doktora Chałubińskiego. Pojęcie to jednak nie było dotychczas przekonująco wyjaśnione. Panna Konopnicka nie została uwzględniona w żadnym z kanonicznych dzieł dotyczących dziejów Tatr Wysokich. Nie doczekała się najmniejszej wzmianki w *Wielkiej Encyklopedii Tatrzańskiej,* milczą o niej przewodniki Chimelowskiego, Paryskiego, Puškaša i Cywińskiego. Nawet najskrupulatniejszy historyk Maciej Pinkwart nie wspomina o niej ani słowem. Istnieje, co prawda, poszlaka, iż tytuł najważniejszego opracowania roli kobiet w historii taternictwa, *Od krynoliny do liny* Haliny Ptakowskiej-Wyżanowicz, jedynie w wyniku chochlika drukarskiego nie brzmi *Od krynoliny do Liny,* ale niestety nie sposób tego już dziś skorygować.

By oddać jej sprawiedliwość, trzeba jednak powiedzieć otwarcie: Lina Konopnicka była postacią równie ważną jak Tytus Chałubiński, a dla wielu nawet istotniejszą. Czy jej brak na kartach wszystkich szacownych dzieł związany jest z cenzurą najważniejszej instancji, jaką były małżonki autorów? Tego nie dowiemy się nigdy.

Był jednak pewien wspinacz, wydawać by się mogło, obojętny na wdzięki Liny.

Jego wyobraźnię zaprzątały inne, dalece podnioślejsze problemy... Zdobyć to, co niezdobyte! Dotrzeć tam, gdzie nikt wcześniej nie dotarł! Pokonać trudności drogi, własną słabość i zażyć takiej wolności, jaką w okupowanej Ojczyźnie cieszą się wyłącznie orły! Zresztą... Nawet jeśli czasem spoglądał tęsknym wzrokiem w stronę Liny Konopnickiej, natychmiast gromił go surowy wzrok matki i momentalnie pokorniał, gdyż wiedział, że tego typu ucie-

chy są dla niego równie niedostępne, jak wierzchołek owianego legendami Szpiczastego Szczytu*.

Na imię miał Karol, posiadał własną konopną linę i zaledwie piętnaście lat, gdy rozpoczął karierę wspinaczkową.

Karol i jego matka Antonina stanowili jedyny w swoim rodzaju zespół wspinaczkowy. Podczas gdy dla większości młodych wspinaczy góry stanowiły sposób na wyrwanie się spod fartuszków rodzicielek i pierwszy krok w stronę nieskrępowanej wolności, Karol z własną matką wiązał się liną i dzielił smak tatrzańskiego granitu.

Gdy inni młodzieńcy spali w kolebach pod wielkimi głazami w dzikich dolinach u stóp niezdobytych ścian i odkrywali tam smak nieznanych dotychczas używek: alkoholu i kobiet – a te w tamtych czasach za taternikami przepadały niemal tak samo jak pokolenie ich matek za świarnymi, długowłosymi Józkami i Jaśkami z Hali Gąsienicowej – Karol po każdej wspinaczce wracał do samego podnóża Tatr, gdzie spał w wygodnym łóżku. W tym samym pokoju co pani Antonina lub w sąsiednim.

Kto wyobraża sobie Karola jako strachliwego, chuderlawego maminsynka, trzęsącego krótkimi porteczkami na samą myśl o przepaściach i kruszyźnie skał, jest w błędzie. Kto myśli, że mamusia pilnowała go, żeby sobie w górach nie zadrapał kolanka lub nie złamał paznokietka i nie pozwalała mu pójść na nic trudniejszego niż Przełęcz pod Kopą lub, od święta, na Sławkowski, nie może być dalszy od prawdy.

Karol był największym wspinaczkowym talentem swoich czasów. Siłą, wytrzymałością, techniką oraz odwagą przewyższał wszystkich zawadiaków z ówczesnej taternickiej elity. To było dla wszystkich oczywiste. Rzecz jasna, czasem podśmiewano się z niego. Najczęściej przed dziewczętami, by dodać sobie animuszu. Nazywano go mamincycusiem, chłoptasiem, a nawet z góralska – ziajockiem. Raz po raz jednak dokonywał takiego przejścia, że nawet obdarzeni najostrzejszym dowcipem taternicy nie śmieli powiedzieć złego słowa.

Osiągnięcia wspinaczkowe syna napawały panią Antoninę prawdziwą dumą. W nagrodę za dobrze zdaną maturę zabrała go w Alpy, nie szczędziła na sprzęt i towarzystwo najlepszych ówczesnych przewodników tatrzańskich. Nie spuszczała z Karola wzroku. Pilnowała, by regularnie ćwiczył i nie wpadł w szpony nałogów ani w sidła jakiejś kobiety fatalnej, których tyle się wówczas kręciło

* Szpiczasty Szczyt, zwany również Ostrym Szczytem. Uczulam Szanownego Czytelnika, by nie pomylił go z Ostrym Szczytem (2360 m), zwanym dawniej Śpiczastym – jedną z najtrudniejszych gór w Tatrach, zdobytą w 1902 przez słynnego taternika Karola Englischa, jego matkę Antoninę Englisch oraz spiskich przewodników. O pomyłkę bardzo łatwo, lecz jest to zupełnie inna historia.

po świecie. Kontrolowała jego dietę, wieczorami sprawdzała, czy przez przypadek nie pije alkoholu (co mogło zaszkodzić jego kondycji) i nie zadaje się z nieodpowiednim towarzystwem (co było szkodliwe dla reputacji). Przez niewłaściwe towarzystwo rozumiała wszystkich młodych ludzi, którzy przyjeżdżali do Szmeksu bez rodziców w celach wyłącznie turystyczno-sportowych. Z zastrzeżeniem, że za sport trzeba uznać również stosunki damsko-męskie, wino i borowiczkę, czyli szalenie popularny na Górnych Węgrzech gin z jałowca.

Odpowiednimi kompanami dla Karola były wyłącznie dzieci bogatych smokowieckich kuracjuszy. Oczywiście przebywanie wśród galaretowatych, okrągłych i rozpieszczonych pociech sędziów, profesorów, właścicieli ziemskich, fabrykantów i bogatszych lekarzy sprawiało Karolowi niemal fizyczne męki. Wszystkich chłopców z wyższych sfer uważał za mięczaków i tchórzy, a dziewczyny za skrajnie nieinteresujące, zadufane w sobie sowy, które nie poznały i nigdy nie poznają smaku życia. Z wyjątkiem jednej. Niestety ta właśnie dziewczyna w oczach jego matki była podręcznikowym przykładem niewłaściwego towarzystwa i mimo jej dobrego urodzenia miał absolutny zakaz spotykania się z nią. Zresztą owa panienka wcale nie chciała się z nim spotykać, a on, nawet jakby mama mu pozwoliła, nie ośmieliłby się jej o to poprosić. Udawał więc, że jedyna Lina, jaką się interesuje, to ta, którą przewiązuje się w pasie przed dokonaniem wielkiego wyczynu.

Nieliczne chwile wytchnienia przychodziły, gdy zrealizował któryś z taternickich projektów matki. A to trzeba było zdobyć Jaworowy Szczyt, a to Dziką Turnię, a to stanąć na wierzchołku Małego Kołowego.

Wieczorem po powrocie z gór dorożką – co pozostający na noc w kolebach rówieśnicy Karola kwitowali uśmiechami będącymi jedynym w swoim rodzaju połączeniem drwiącego lekceważenia ze słabo ukrywaną zazdrością – pani Antonina pozwalała synowi na nieco więcej. W nagrodę za zdobycie jednej z dotychczas dziewiczych tatrzańskich turni Karol mógł wypić lampkę wina, kufel piwa lub w wyjątkowych sytuacjach nawet kieliszek spiskiej borowiczki w takim towarzystwie, jakie tylko mu się zamarzyło, chyba że nie podobało się matce. Takie zbliżenia były dla Karola bardzo trudne z powodu bariery, która dzieliła go od rówieśników, ale stanowiły chyba największą przyjemność podczas całych wakacji.

W wieku siedemnastu lat uważany był za największego z największych. Swoją reputację starannie kreował i podsycał licznymi artykułami publikowanymi w węgierskiej, niemieckiej i polskiej prasie. Roiły się one od opisów skrajnych trudności, niemalże niemożliwych do przezwyciężenia niebezpie-

czeństw oraz flirtowania ze śmiercią. Były też pełne egzaltacji, choć z tego drugiego romansu Karol nie zdawał sobie sprawy.

— To matka każe mu się wspinać... — opowiadał czternastoletni Roman zwany Kordianem w kolebie w Dolinie Pięciu Stawów Spiskich. — Jego tak naprawdę interesuje tylko hasanie z siatką za motylami po ukwieconych tatrzańskich polanach. On jest chyba troszkę ciepły.

— Dokładnie — potwierdził jego przyjaciel, Żętyca. — Widziałem na własne oczy, jak wściekła Antonina okładała Karola parasolem, a ten darł się jak obdzierany ze skóry: Mamusiu! Mamusiu! Wcale nie chcę iść jako pierwszy zdobywać Turnię nad Rohatką! Bolą mnie nóżki, jest brzydka pogoda, a góry małe i brzydkie! Wolałbym poczytać książeczkę o motylkach!.

Wszyscy zgromadzeni wybuchli śmiechem. Dziś już nie da się zweryfikować tej historii. Wiadomo jedynie, że Turnię nad Rohatką istotnie jako pierwszy zdobył właśnie Karol, a Antonina zaiste zawsze chodziła w góry z parasolem.

Pani Antonina nie zdawała sobie sprawy, że skrupulatne kontrolowanie syna nie jest konieczne. Karol naprawdę kochał wspinaczkę i był ambitny. Bardzo chciał wspinać się najlepiej, jak umiał. Góry były dla niego niezwykle ważne. Interesował się również działalnością na rzecz narodu, a czuł się stuprocentowym Polakiem, mimo nazwiska (nieistotnego dla tej opowieści) i niemieckiego pochodzenia rodziny.

Zapytany zawsze opowiadał, że przodkowie ojca przybyli z Anglii już za czasów Jagiellonów i od tamtego czasu są polskimi patriotami na dobre i na złe. Opinia publiczna wiedziała jednak lepiej.

— On jest synem służalczego austriackiego urzędnika, na dodatek dyrektora krakowskiej policji...

— Szwab!

— Tata mi mówił, że rodzina E. jest powiązana z Biurem Ewidencyjnym Sztabu Generalnego w Wiedniu, a więc ze służbami wywiadowczymi...

Niektórzy rozochoceni winem młodzieńcy opowiadali w kolebach podczas długich, rozgwieżdżonych nocy, że Karol jest uchem, które Franz Josef wysłał w Tatry, żeby inwigilować patriotyczne środowisko polskich taterników. Dziewczyny drżały na samą myśl, że chłopcom grozi podwójne niebezpieczeństwo: ze strony strasznych górskich przepaści i cesarsko-królewskich szpiegów. Niektóre naprawdę wierzyły, że cesarza muszą szalenie interesować poglądy polskiej młodzieży na tematy wspinaczkowe oraz jej życie towarzyskie. Bardzo im to imponowało. Każda chciała, żeby to właśnie o niej Franz Josef usłyszał w pewnych wstydliwych kontekstach. To mógł być pierwszy krok do kariery dworskiej w pałacu Hofburg.

Samemu Karolowi natomiast bardziej niż na podsłuchiwaniu kolegów zależało na nauce. Był ze wszech miar porządnym chłopakiem. Chciał zrobić karierę i nie zawieść matki. Z tego powodu rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ponadto kochał przyrodę. Z nieożywionej najwyżej cenił ciemny tatrzański granit, z roślin rosnące na półeczkach skalnych porosty, ze zwierząt natomiast najbardziej upodobał sobie motyle. W trakcie każdej wycieczki notował zaobserwowane okazy. Podczas popasów, gdy jego towarzysze delektowali się rumem i zajadali leguminę, biegał po łące z siatką, poszerzając swoją kolekcję. Zainteresowanie to zostało mu jeszcze z czasów szkolnych i oczywiście nie pozostało niezauważone. Z jego pasji śmiali się wszyscy rówieśnicy.

Wykładowcą historii naturalnej, z której Karol miał zawsze na świadectwie stopień celujący, w krakowskim Gimnazjum św. Anny był w owym czasie entomolog, profesor Antonius Buchfink. Okazał się wspaniałym pedagogiem, który mimo surowego egzekwowania wiedzy skutecznie zarażał każdego ucznia miłością do przyrody nieożywionej i ożywionej. Z jednym małym wyjątkiem.

Największymi wrogami profesora, który czytywał przede wszystkim powieści Elizy Orzeszkowej i pasjonował się chrząszczami, wychwalając pod niebiosa drapieżne biegaczowate, byli wolnomularze, współcześni artyści oraz bielinki kapustniki.

— Motyle to dekadenci świata zwierząt! — grzmiał profesor. — Gdyby były ludźmi, interesowałyby się wyłącznie seksem, absyntem, opium, filozofią Schopenhauera, malarstwem impresjonistów i wierszami Baudelaire'a! Piękni, lecz puści w środku dandysi!

Na liście grzechów motyli znajdowało się pijaństwo – były według profesora na ciągłym rauszu spowodowanym sfermentowanymi sokami owoców – obżarstwo, włóczenie się po nocach, rozwiązłość płciowa oraz kanibalizm. Ten ostatni, najpoważniejszy zarzut odnosił się wyłącznie do gąsienic, ale i tak ocena całego rzędu *Lepidoptera* była druzgocząca.

Motyle to zbuntowani gówniarze i Bóg stworzył je, byśmy z ich zachowania wyciągnęli wnioski, dzięki którym ochronimy nasze dzieci przed zgubnym wpływem modernistycznej poezji, operetek oraz upadłych kobiet – a raczej zmierzchnic trupich główek, jak je nazywał profesor – których najwięcej w Krakowie znajdziemy przy ulicy Szlak, a najbardziej upadłe na Radziwiłłowskiej. W płomiennych tyradach pana profesora Buchfinka, którego poczucie rzeczywistości wydawało się momentami mgliste, za zło i rozpustę na świecie odpowiedzialni byli przede wszystkim Rusałka Tetmajer, Brudnica Kasprowicz i Niepylak Przybyszewski.

Ze wszystkich szkolnych wykładów Karol najlepiej zapamiętał właśnie te gorące, zaangażowane przemowy o sekretnym życiu owadów. Sukces pedagogiczny okupiony został porażką wychowawczą nobliwego belfra. Karol wpadł w szpony lepidopterologii, nauki o motylach. Już rok po maturze uważany był za autorytet w tej dziedzinie i największego znawcę motyli górskich, o których ogłosił wielkie studium w roczniku Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego. Po tej publikacji otrzymał wiele listów gratulacyjnych oraz depeszę od profesora Buchfinka, w której ten nazywa go „zdemoralizowanym Judaszem", „wyrodną poczwarką", ogłasza zerwanie kontaktów z całą jego rodziną, wróży mu rychły upadek na niziny społeczne oraz pogrążenie się w uzależnieniu od kwiatowego nektaru i rozpusty, a nawet zostanie kanibalem.

Życie Karola składało się przede wszystkim ze studiów, treningów, gór i motyli. Nie znaczy to jednak, że nie interesowały go proste przyjemności życia. Wcale nie patrzył z góry na gorzej urodzonych i mniej zamożnych rówieśników chodzących wieczorami po Szmeksie zygzakiem pod rękę z wypudrowanymi i frywolnie ubranymi dziewczętami. Nie gardził całującymi się na skałach parami ani też tymi, którzy po spożyciu słynnej spiskiej borowiczki nadzy i w dodatku w obecności dam wskakiwali do lodowatych wodospadów Kohlbachu. Choć wszyscy widzieli w jego wzroku pogardę, poczucie wyższości i lekceważenie, nie była to prawda. Mimo że Karol był taki sam jak wszyscy, nie mógł o tym nikomu powiedzieć.

Coraz częściej spoglądał w stronę Liny. Wodził za nią tęsknym wzrokiem, gdy szła z kolejnym adoratorem w stronę Kämchenn, znanego również jako Siodełko. Karol miał naturę zdobywcy. Większość dróg, jakie przechodził, była niedostępna dla zwykłego śmiertelnika. Próba wspinaczki jego śladami dla ówczesnych taterników mogła skończyć się na dwa sposoby: haniebną porażką lub śmiercią. Wielokrotnie doświadczył uczucia stawiania stóp w miejscu, w którym nikt nigdy nie był, być nie mógł i zbyt szybko nie będzie.

Linę natomiast mieli niemal wszyscy wokół. Wystarczyło podejść, uśmiechnąć się, zaproponować spacer, postawić kieliszek szampana, rzucić od niechcenia coś o swoich osiągnięciach wspinaczkowych, o widokach, które znają wyłącznie sokoły, lub o duszy osiągającej na wysokościach nirwanę. Niektórzy nie musieli robić nic, gdyż Lina jako dziewczyna wyzwolona do wybranych taterników podchodziła sama i proponowała spacer. Miała wakacje i umiała się nimi cieszyć.

Karol wiedział, że nigdy nie zdoła jej posiąść. Nawet na chwilę. Patrzyła na niego z obojętnością graniczącą z niechęcią. Na dodatek matka dostałaby ataku serca, gdyby zobaczyła jedynego syna w towarzystwie dziewczęcia

o takiej reputacji. Lina szybko stała się dla Karola symbolem czegoś, co na zawsze pozostanie poza jego zasięgiem. Czegoś nieosiągalnego jak... jak Szpiczasty Szczyt!

Mimo sukcesów, pieniędzy, wolnego czasu, młodości i pięknej pogody Karol chodził po Szmeksie coraz bardziej nerwowy i milczący. Mieć coś, czego wszyscy pragną, a nikt nie potrafi dosięgnąć, a jednocześnie najbardziej na świecie marzyć o czymś, co mają wszyscy bez najmniejszego wysiłku, a tylko dla niego jednego na świecie jest nieosiągalne. To doświadczenie było dla niego tak przykre, że zdarzało mu się ze zdenerwowania ciskać kamieniami do górskiego potoku, karząc w ten sposób góry.

Pewnego dnia szedł korytarzem sanatorium doktora Szontagha, gdy nagle otworzyły się drzwi jednego z pokojów, wyszła z nich Lina, a za nią wyczłapał czerwony na twarzy, spocony i dyszący przewodnik Hunsdorfer, towarzysz większości jego wypraw. Podziw dla pięćdziesięcioletniego Niemca Spiskiego, który nie słabł w sercu Karola od piętnastych urodzin, kiedy to stary sprowadził go z matką z wierzchołka Łomnicy podczas zamieci śnieżnej, prysł w jednej chwili jak bańka mydlana. Jego miejsce zajęła niemoc i zazdrość, która przerodziła się w nienawiść, gdy stary szepnął mu do ucha, ledwo łapiąc oddech:

— Uff... *Das war ein echter Tornado, Junge.*

Lina zmierzyła stojącego bez ruchu, zupełnie sztywnego Karola lodowatym wzrokiem, chwyciła go obiema rękami za koszulę, przyparła do ściany i wysyczała:

— Co się tak gapisz, maminsynku? Kim jesteś, żeby mnie oceniać? Wcale nie jesteś lepszy niż ja. Mamusia wie, że mnie śledzisz? Zapamiętaj sobie: nigdy nie będę twoja. Nawet jeśli... A zresztą...

I odeszła, zostawiając mokrego od potu, drżącego i zbaraniałego Karola na pustym korytarzu. Cały czas opierał się o ścianę i bał się poruszyć. Czuł się, jakby spadła na niego kamienna lawina. Chciał wyjechać. Zostawić góry, wrócić do Krakowa, zaszyć się w bibliotece. Nie mógł wytrzymać w Smokowcu ani chwili dłużej. Ale przecież obiecał matce, że nazajutrz dokona pierwszego wejścia na Czarny Szczyt. Aż zgrzytał zębami na myśl, że pójdzie tam ze znienawidzonym Hunsdorferem, który śmiał porównać Linę do tornado i to, co gorsza, najpewniej słusznie. Postanowił obwieścić matce, że nigdzie nie idzie, a już tym bardziej nie ze starym, lubieżnym przewodnikiem. Zostanie w Szmeksie i będzie czytał Przybyszewskiego, bo świat jest zły, ludzie podli, a góry głupie. Potem wróci sam do Krakowa.

Tego wieczoru można było usłyszeć z pokoju pani Antoniny wrzaski i odgłosy przypominające trzepanie dywanu parasolem. Następnego dnia, 24 sierpnia

1898 roku, świeżo upieczony student prawa, jego matka oraz stary przewodnik zostali pierwszymi zdobywcami Czarnego Szczytu, choć po studencie wcale nie było widać radości.

Największymi wrogami Karola była dwójka zaprzyjaźnionych, bardzo zdolnych taterników z Lwowa – Romek zwany Kordianem i Jurek o budzącym grozę pseudonimie Żętyca. Trzecim Muszkieterem był krakowiak Zygmunt, który z racji imienia nie miał pseudonimu, chociaż czasem przedstawiał się jako Klemens, gdyż uważał, że kiedyś zostanie namaszczony na następcę króla przewodników tatrzańskich, Klimka Bachledy. Każdy z nich, mimo młodego wieku, zdobył już wiele tatrzańskich olbrzymów i miał swoje pierwsze wejścia. Chłopcy spali w górach, dzielili się liną, podkreślali swoją samodzielność i lubili wygłaszać tyrady o górach przed przystojnymi dziewczętami. Najlepszy z nich był Kordian stanowiący nieformalnego przywódcę paczki i wygłaszający z emfazą takie oto przemowy:

— Góry rozpaliły w sercach naszych przepotężny ogień namiętności, największego skarbu danego człowiekowi, bo tylko wielka namiętność potrafi oderwać życie człowieka od szarzyzny bytowania i podnieść je ku wyżynom, skąd widać już jasne zorze nieśmiertelności!

Kordian, Żętyca i Zygmunt schodzili do Szmeksu wyłącznie na zakrapiane rauty. Śmiali się z relacji Karola z matką i, co najgorsze, robili to w towarzystwie Liny Konopnickiej, z którą byli w świetnej komitywie.

Karol kilkukrotnie próbował zaprzyjaźnić się z Trzema Muszkieterami. Jako najsprawniejsi chłopacy w Szmeksie byli wymarzonymi partnerami w jego projektowanych wspinaczkach.

Zdawał sobie sprawę, że matka jest coraz starsza, a nawet najlepszy wspinacz nie osiągnie w górach sam tego, co jest możliwe z odpowiednim partnerem. Przestawało go cieszyć chodzenie po Tatrach z przewodnikiem, a już w szczególności z przeklętym Hunsdorferem i jego okropnymi wspomnieniami o tornadzie, które przez niego przeszło zeszłego lata. Z przewodnikiem to byle dziad z Warszawy potrafił wyleźć na Łomnicę. Dodatkowo wkupienie się w łaski Kordiana, Żętycy i Zygmunta, w szczególności zaś tego pierwszego jako szefa i mózgu paczki, oznaczałoby zbliżenie się do Liny. Ale jak to zrobić? Wszyscy trzej nie znosili Karola jak łacińskiej gramatyki, na dodatek ich herszt nie dostał się z powodu lenistwa na prawo, z czego wyciągnął logiczny wniosek, że Karolowi wstęp na studia załatwił tatuś – austriacki serwilista – i przez to znienawidził przyszłego prawnika jeszcze bardziej. Karol natomiast świetnie wiedział, na czym polega znajomość Muszkieterów z Liną i czasami miał ochotę po prostu wybić im zęby. Raz w przypływie zazdrości

napisał erudycyjny artykuł o swoim zdobyciu Jaworowego Szczytu do „Rocznika Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego" i na złość Kordianowi podpisał się jako doktor nauk prawniczych. Niech się ma z pyszna. Potem żałował, ale nie mógł już niczego zmienić.

Przepaść między Karolem a Liną zwiększyła się jeszcze bardziej. Na początku lata 1900 roku miała już rozmiary południowej ściany Szpiczastego Szczytu, która była niezdobyta od stworzenia świata i taka pozostanie zapewne do momentu, gdy ogromne trzęsienie ziemi nie zmieni tatrzańskich wierzchołków w smutne ruiny. Dokładnie takie jak serce Karola, gdy zobaczył, jak Kordian położył pod stołem rękę na udzie Liny, a ta wcale nie dała mu w twarz.

— Siedź prosto — syknęła pani Antonia w uzdrowiskowej restauracji doktora Szontagha do syna garbiącego się nad szklanką mleka. — Jest tutaj pan sędzia Christoph von Mais-Kukuruz z córką Hubertyną. Nie chcesz chyba zrobić na niej złego wrażenia. Czemu nic nie zamówiłeś na obiad? Nie będziesz miał siły jutro wejść na Rogatą Turnię. Na panu sędzim to wejście z pewnością zrobi wrażenie. Łokcie ze stołu.

— Nie jestem głodny — odpowiedział Karol, który nie mógł jeść z powodu natrętnych myśli krążących wokół Liny oraz Kordiana. Rzucił okiem na grubasa w zbyt ciasnej marynarce, ze świecącą łysiną, orlim nosem, monoklem w oku i schowanym do kieszeni zegarkiem na złotym łańcuszku oraz jego córkę różniącą się od niego wyłącznie detalami, a konkretnie seledynową kokardą w czarne grochy we włosach. Oboje pochłaniali łososia i ogromne ilości jaj przepiórczych. Ojciec pałaszował je z pomocą rąk, córka natomiast wsysała ustami złożonymi w trąbkę.

— Pan sędzia nie wie, gdzie jest Rogata Turnia, chociaż powinien, bo podobno jest rogaczem. Pana sędziego i jego córkę interesuje wyłącznie zawartość ich talerza.

— Cicho bądź, jeszcze usłyszy. Ta urocza dziewczynka jest jeszcze panną, ale być może niedługo się to zmieni — Antonina mrugnęła, a Hubertyna włożyła sobie do ust cztery jaja przepiórcze jednocześnie. —To jedna z najlepszych partii w Krakowie. Rodzina von Mais-Kukuruz posiada kamienice na Floriańskiej, na Dietla, na Grodzkiej, Radziwiłłowskiej i na Kopernika. Popatrz na jego zegarek — szczere złoto. A na obiad — jajka przepiórcze. Popija je szampanem. Nawet nas stać tu wyłącznie na wiedeński sznycel z ziemniaczkami i owcze mleko. To twoja szansa.

— Mam się oświadczyć temu czemuś? Ona powinna się nazywać Zwalista Turnia... A jej ojciec Hrubas Chochołowski.

— Karol!

— Szeroka Jaworzyńska.
— Karol!
— Cześć, Karol! — pomachała mu tymczasem pulchną rączką Hubertynka. — Wiesz, gdzie dzisiaj doszłam? Nad same wodospady! Jak tam groźnie! Gdy zajrzałam w kotłującą się wodną kipiel, poczułam na karku, ach, oddech widma śmierci. Od grozy aż zgłodniałam!
— Bańdzioch, Małe Szerokie — kontynuował Karol z kamienną miną. — Baniasta Turnia, Grań Hrubego, Kobyla Dolinka, Bździochowa Kopa... Turnia Dwóch Podbródków.
— Ty dla odmiany jesteś Szalony Wierch, zachowuj się, na litość boską! — szepnęła surowo matka, a na głos powiedziała: — Dzień dobry, panie sędzio! Smacznego! Jak pięknie dzisiaj wygląda Hubertynka, a jaki apetyt! Wspaniała dziewczynka. A ty, Karol — wróciła do szeptu — zamów sobie coś do jedzenia, bo robisz mi wstyd. Łokcie ze stołu.
— Nie jestem głodny.
— Zamów. Sobie. Coś.
Usta matki się zacisnęły, a brwi zmarszczyły. Chyba faktycznie miała poważne matrymonialne plany w stosunku do pięknej córki pana sędziego.
— Dobrze, jak taki jesteś uparty, będę musiała cię sama nakarmić. Am! — oświadczyła nagle pani Antonina, podsuwając synowi pod usta widelec z kawałkiem ziemniaczka oraz kotleta schabowego nazywanego przez wyższe sfery wiedeńskim sznyclem. Uznała pewnie, że karmienie dorosłego mężczyzny przez matkę w systemie wartości pana sędziego i jego córki jest mniejszym wstydem niż posiadanie w rodzinie niejadka. — Am. No, otwieraj buzię, amciu, amciu. Jedzie pociąg z Chabówki do Zakopanego, ciuf, ciuf.
Karol bezgłośnie kręcił głową jak grymaszący trzylatek, pani Antonina goniła jego usta widelcem. Chciało mu się płakać, czuł się poniżony. Postanowił w przyszłym roku nigdzie nie wyjeżdżać z matką. Chwilę walczył, w końcu skapitulował przed uporem, autorytetem i silnym charakterem rodzicielki, grzecznie otworzył dzióbek jak pisklaczek czekający w gniazdku na dżdżownicę i pozwolił włożyć sobie do ust kęs kotleta.
Pani Antonina ukroiła kolejny. Karola dopadła apatia i zobojętnienie. Nie obchodziły go już góry, reputacja, nic. Westchnął głęboko i pozwolił się matce karmić. Przymknął oczy i pilnował tylko, by łza nie pociekła mu po policzku. Pierwszy raz w życiu pomyślał, że nie zrobiłoby mu różnicy, gdyby umarł, bo tak naprawdę wcale nie żył. Niczym się nie różnił od tych wszystkich dzieci z dobrych domów, które nigdy nie były w prawdziwym lesie, które mają służbę, guwernantki, prywatnych nauczycieli, lokajów i które pozwalają, by przeżyli oni życie za nich. Przecież wspinaczka to nie jest życie.

Od uprawiania szpady, floretu, polo czy szachów różni się tylko ładniejszym krajobrazem. Spuścił nos na kwintę.

Nie zauważył, że w tym samym czasie do restauracji weszli dryblas Żętyca, Zygmunt w zawadiacko przekrzywionym berecie i modnych pumpach oraz Kordian pod rękę z Liną. Zamówili dwa puchary lodowe na cztery osoby – Lina postawiła jeden Romkowi, Jurek i Zygmunt-Klemens złożyli się na drugi i poprosili obsługę o dwie łyżki. Dość szybko spostrzegli Karola spożywającego obiad w towarzystwie i przy aktywnym wsparciu mamy. Z miejsca wybuchnęli histerycznym śmiechem.

Karol ocknął się z letargu z widelcem w ustach. Otworzył oczy i jak przez mgłę zobaczył uśmiechnięte, szydercze, złe twarze. Poznał głosy. Gwizdał na to, nic go nie obchodzili jego wrogowie – głupie dzieciaki. Miał w nosie chichoczącą mordę Zygmunta, nic sobie nie robił z zaśmiewającego się do rozpuku Żętycy, lekce sobie ważył rechot Kordiana. Mogli się śmiać cały dzień. Po chwili jednak jego ucho wyłowiło czwarty głos, mózg zaczął pracować i rozmazana rzeczywistość nabrała konturów. Wtedy dostrzegł Linę. Zakręciło mu się w głowie i zebrało na wymioty. Lina położyła się na stole i aż popłakała się ze śmiechu, ledwo łapiąc oddech. Powiedziała do Romka: „Zaraz skonam", na co on objął ją ramieniem i wytarł łzę z policzka w jej żakiecik.

Do akcji wkroczyła pani Antonina.

— Z czego się śmiejecie, dzieci z ulicy? Gdzie są w ogóle wasi rodzice? Karolek musi dużo jeść, żeby mieć siłę zdobywać wielkie góry i przyswajać wiedzę na uniwersytecie, a wy do niczego nie dojdziecie. Puszczone samopas bydlęta! Gdybyście byli moimi dziećmi, dałabym wam w skórę za włóczenie się po brudnych kolebach, bisurmanienie i borsuczenie alkoholem. Łapserdaki! A ty, panienko, zachowujesz się jakbyś była... — zrobiła pauzę, by znaleźć odpowiednio ostre słowo na określenie Liny, i dokończyła triumfalnie — podejrzanego autoramentu!

Karol siedział sztywno i nawet nie mrugał, a w zębach trzymał widelec, który puściła jego matka, by móc sugestywną gestykulacją przywołać do porządku grupę nicponi kpiących z jej jedynego syna. Jurek i Zygmunt zaczęli ze śmiechu wydawać odgłosy przypominające umierającego łosia i nasmarkali do pucharu z lodami. Lina płakała, tylko Kordian przygryzł wargi, przybrał minę możliwie zbliżoną do poważnej i zwrócił się do pani Antoniny spokojnym tonem:

— Szanowna pani E., ma pani rację. Przepraszamy najmocniej za nasze zachowanie, nie wiemy, co w nas wstąpiło. Rozumiemy, że Karol ze względu na delikatny charakter i wyjątkowe talenty ma specjalne wymagania dotyczące diety oraz sposobu serwowania posiłków. Nasza reakcja była nie na miejscu.

My, dzieci z nizin społecznych, czasem reagujemy prymitywnym rechotem na rzeczy, których nie rozumiemy. Obiecujemy zachować spokój i prosimy, by uznała pani animozję za niebyłą oraz powróciła do kontrolowania diety najwybitniejszego alpinisty obu stron Tatr.

— Co ty gadasz, Kordian? — zdziwił się Zygmunt. — Popuściłem przez nich ze śmiechu w pumpy.

Roman dał mu łokciem mocną sójkę w bok i syknął: „Spokój".

— Przeprosiny przyjęte — rzekła wyniośle pani Antonina. — Ale nie myślcie, że zmieniłam o was zdanie. Brudasy, nieroby, wszarze i niebieskie ptaki! Na dodatek cienko się wspinacie.

— Obiecujemy poprawę, szanowna pani — odpowiedział jej Kordian, a jego twarz przybrała tak szelmowski wyraz, że dla wszystkich poza panią Antoniną stało się jasne, że wcale a wcale nie miał zamiaru się poprawiać, a na dodatek coś knuł.

Niewzruszona Antonina powróciła do karmienia syna, a ten jadł grzecznie, gdyż doszła do niego smutna prawda, że godność była już nie do uratowania.

— Amciu, amciu, jedzie pociąg, a w nim hrabia Zamoyski, amciu, amciu, hrabia pójdzie jutro na Rogatą Turnię, musi mieć dużo siły, która jest w wiedeńskim sznycelku.

Kordian nałożył odrobinę waniliowego loda na łyżeczkę i patrząc ciągle na Karola, nakarmił nim Linę. Ta objęła łyżeczkę ustami i przez kilka sekund ją ssała z wyrazem rozkoszy na twarzy. Antonina ukroiła kawałeczek sznycla i wetknęła go do ust Karolowi. Kordian nabrał więcej loda i podawszy go Linie, przejechał powoli łyżeczką po jej dolnej wardze. Antonina nabiła na widelec ziemniaczka, Lina natomiast z zamkniętymi oczyma zlizała powolutku kolejną porcję loda z ustawionej pionowo łyżeczki. Karol zaczął się pocić, matka znowu ukroiła kawałek sznycelka i ćwiartkę ziemniaka z koperkiem, Kordian nabrał bitą śmietanę z pucharu na dwa palce, a Lina włożyła je sobie do ust i zaczęła rytmicznie poruszać szczęką do przodu i do tyłu, którą to metodę, wedle relacji Hunsdorfera, potrafiła zastosować z niemałym sukcesem nie tylko na palcach.

Ostatni kawałek schabowego razem z widelcem wylądował na ścianie, kiedy Karol zerwał się, uderzył na odlew matkę w dłoń, przewrócił stół, zbijając przy tym talerz, porcelanową podstawkę na serwetki oraz dwie szklanki owczego mleka, po czym uciekł z sali restauracyjnej, kradnąc ze stołu zaskoczonego sędziego von Mais-Kukuruza i jego niemniej zdziwionej córki pełną butelkę szampana.

Uroda Miny, młodszej siostry Liny Konopnickiej, była umiarkowanie zachwycająca. Twarz trochę mniej regularna, łydki i biodra nieco szersze, włosy jaśniejsze, oczom brakowało blasku, a policzki pozbawione były dołeczków, którymi u Liny tak bardzo się wszyscy zachwycali. Nie nosiła również kwiatka we włosach. Oczywiście nie była szpetna, jako siostra Liny być nie mogła, po prostu mniej wyróżniała się spośród innych dziewcząt. Każdy, kto z nią rozmawiał, może potwierdzić jednak: inteligencją zdecydowanie przewyższała siostrę. Miała poukładane w głowie, była dowcipniejsza i całkiem oczytana. Jej ojciec czasami się chwalił na rautach w Szmeksie, że gdyby nie była dziewczynką, kształciłby ją na prawnika tak jak pani Antonina Karola. Mina nie dzieliła z siostrą zainteresowania obdarzaniem wdziękami wszystkich naokoło. Jak łatwo się domyślić, była dalece mniej popularna i większość czasu na bankietach w domu uzdrowiskowym spędzała sama.

Kiedy jednak Mina podeszła tego wieczora do Karola siedzącego na kamieniu nieopodal drugiego od dołu wodospadu Kohlbachu z nogami w potoku i niemal kompletnie pijanego, ten bardzo ucieszył się na jej widok. Zresztą ucieszyłby się na widok każdego z wyjątkiem Trzech Muszkieterów, Liny, swojej matki i starego, sprośnego przewodnika.

— Cześć, Karol. Co tu robisz sam, medytujesz? — zagadnęła Mina.

— Piję.

— To nawet lepiej, sama przyszłam z butelką wina. Myślałam, że jesteś taki porządny i zawsze poważny, że forma wspinaczkowa to dla ciebie wszystko, a widzę, że jak nikt nie patrzy, to sobie lubisz trochę golnąć. Wyglądasz strasznie, ale wydajesz się teraz jakiś taki sympatyczniejszy.

— Ty też dziś wyglądasz strasznie. Nawet w świetle gwiazd — odparł chłopak beznamiętnie.

— Nie ma co, wiesz, jak rozmawiać z kobietą — Mina usiadła obok Karola i włożyła mu rękę pod ramię. — Duszę się na tym cholernym zadupiu. Całe wakacje z rodzicami, którym się wydaje, że są arystokratami, stukniętym doktorem, który każe mi pić śmierdzące owcze mleko, tępymi osiłkami-wspinaczami, umierającymi na suchoty dziadygami, maminsynkami z dobrych domów — wbrew pozorom nie chodzi mi tu o ciebie — i głupią, puszczalską siostrą. To katorga. A w Krakowie biblioteki, muzea, absynt, Przybyszewski... Myślałam, że tylko ja dostrzegam beznadzieję Szmeksu, ale sądząc po twojej minie i niemal pustej butelce, myślisz podobnie.

— Nienawidzę mojej matki i nienawidzę tych trzech oszołomów, którzy się ze mnie śmieją — zadeklarował Karol i żeby wydawać się jeszcze bardziej wiarygodnym, rzucił kamieniem w wodę. Oczywiście chlusnęła mu w oczy. Mina parsknęła śmiechem

— Jesteś uroczy. Też ich nie znoszę. Dziwi mnie, że tu znowu razem przyjechali po tym, co się stało w zeszłe wakacje. Nie słyszałeś? Romek, ten Kordian od siedmiu boleści, zadurzył się w Linie, ganiał za nią, prężył muskuły i prawił banały o wspinaczce, wolności, pawiookich stawach i latających kondorach czy czymś równie głupim. To był jeszcze dzieciak, zresztą dalej jest. Mówiłam siostrze, żeby się nim nie bawiła, to nie! Cieszyła się, że jest słodziutki i taki niewinny. Rozdziewiczyła go tutaj, w sanatorium, tydzień chodził dumny jak paw. Problem był taki, że zakochał się w niej nie na żarty i, co gorsza, zaczął uważać za swoją narzeczoną, a ona przez ten czas już o nim zapomniała i w przeciągu kilku następnych dni powtórzyła ten sam numer ze wszystkimi jego przyjaciółmi, włącznie z tą jej słynną sztuczką z językiem, o której zapewne słyszałeś. Najpierw z Żętycą, a potem z tym gorylem Zygmuntem, Klemensem czy jak mu tam. Były kłótnie, bijatyki, nawet jakieś wyzwania na pojedynek na pistolety. Przegapiłeś te wszystkie atrakcje, bo cały czas wspinałeś się z mamusią i tym starym przewodnikiem. Myślałem, że mają jakąś godność, ale jak widać, wybaczyli sobie nawzajem i przyjechali znowu powtarzać te same błędy. Trzech Muszkieterów... Trzech szwagrów-idiotów raczej.

— Nie wiem, co powiedzieć — westchnął Karol. — Skoro dziewczyna się realizuje w ten sposób i jest szczęśliwa, kim jestem, by ją oceniać?

— Lina nie jest szczęśliwa. Już dawno przestało ją to bawić, robi to tylko z przyzwyczajenia. Mówi, że to dla niej jak taniec czy pogawędka. W ogóle nic nie czuje. Ci biedni mężczyźni, którzy myślą, że ją mają... że ją zdobyli dzięki sprytowi czy potędze talentów... Cóż za głupki! — prychnęła Mina. — Nie widzą, że to ona ich wykorzystuje, że mało brakuje, a odgryzałaby im po wszystkim głowy jak modliszka. Zwierzyła mi się, że jest jeden sposób, żeby ją posiąść, jedna rzecz, dzięki której pragnęłaby mężczyznę naprawdę całą sobą, chciałaby mu oddać ciało i duszę, być tylko jego.

— Jaki? — ożywił się Karol.

— I ty, biedaczku? Żal mi ciebie. Nie mogę ci powiedzieć. Każdemu bym mogła, ale tobie nie. Tylko ty jesteś na tyle sprawny i szalony, żeby próbować sprostać temu jej wydumanemu pragnieniu.

— Powiedz, proszę — Karol chwycił dłonie dziewczyny i błagalnie popatrzył w jej oczy.

— Wiesz co, jesteś bardzo przystojny — pochwaliła go Mina. — Czemu taki ładny i mądry chłopiec jak ty nie znajdzie sobie dziewczyny na swoim poziomie, tylko ogląda się za lafiryndą? Ja też jestem sama. Pocałuj mnie.

Karolowi szumiało w głowie i nie wszystko do niego docierało. Myśli kołatały mu się po głowie z zawrotną prędkością: Lina miała sekret, poszła

do łóżka ze wszystkimi Trzema Muszkieterami, gwiazdy pięknie migotały, młodsza siostra chciała się całować, sztuczka z językiem, szum wodospadu, Szmeks. Przytulił Minę i spróbował ją pocałować. Niestety zrobił to tak nieudolnie, że oboje wpadli do zimnej wody potoku Zimna Woda. Dziewczyna pisnęła, ale zaraz zaczęła się śmiać. Zdjęła przez głowę suknię, a następnie koszulę Karola. Całowali się, leżąc w potoku, Karol włożył jej rękę między uda i zaczął próbować sforsować halkę.

— Tylko bądź bardzo delikatny — szepnęła mu do ucha. — Nigdy tego jeszcze nie robiłam

— Ja też — odpowiedział zgodnie z prawdą Karol.

— Nauczymy się wspólnie — zapewniła Mina i był to ten moment, w którym przestałaby się opierać, gdyby wcześniej się opierała.

— Karol! Karol! Wiem, że tu jesteś — głos matki dochodzący zza drzew podziałał na chłopaka jak zimny prysznic, pomimo że właśnie leżał w lodowatej wodzie. — Zaraz cię znajdę.

— Nie możemy... Muszę kończyć... Matka...

— Rozumiem. Karol... Czy ty... chciałeś stracić cnotę tylko po to, żeby wyciągnąć ode mnie sekret Liny?

— Nie — odpowiedział Karol zdecydowanie i pocałował ją w czoło.

Mina patrzyła mu prosto w oczy. Zrozumiał, że mu nie uwierzy.

— Tak.

— Dobrze, powiem ci, biedny głuptasku. Lina oświadczyła, że odda duszę temu, kto zdobędzie Szpiczasty Szczyt. Dobranoc.

Mina pocałowała go w ucho, zerwała się na równe nogi, chwyciła suknię i zniknęła w czerni nocy. Karol czuł, jak przepłynęła przez niego wiązka ciepła, był bezgranicznie szczęśliwy, że dowiedział się, jakim kluczem może otworzyć serce ukochanej. Był zbyt zadowolony, żeby brać pod uwagę fakt, że Szpiczasty Szczyt to góra niemożliwa do zdobycia. Wygramolił się powoli z potoku, pociągnął łyk szampana i poszedł w kierunku ścieżki. Zobaczył matkę między drzewami. Wyskoczył na szlak cały mokry, bez koszuli, z rozpiętym rozporkiem i prawie pustą butelką w ręce, uśmiechnął się od ucha do ucha i krzyknął dziarsko:

— Dobry wieczór, kochana mamo! Wołaj Hunsdorfera, każ osiodłać rumaki i natychmiast wyruszajmy zdobyć Rogatą Turnię!

Pani Antonina zmierzyła syna wzrokiem od stóp do głów i miała wielką ochotę skomentować odpowiednio jego wygląd, powstrzymała się jednak. Wzięła butelkę z jego ręki, przytuliła go i powiedziała:

— Wiesz co, syneczku, pójdziemy na Rogatą Turnię pojutrze.

CZĘŚĆ II
METODA K

Kiedy Karol wysechł i wytrzeźwiał, natychmiast pobiegł na Strzeleckie Pola, górne piętro Doliny Staroleśnej, aby z bliska przyjrzeć się ostatniej niezdobytej górze w Tatrach. Gdy tylko ujrzał jej ostre jak żyletki granie i pionowe czarne ściany, których żlebami spadały kamienie wielkości komody, przełknął ślinę. Wiedział, że próba zdobycia Szpiczastego Szczytu to niemal pewna śmierć. O „pewnej śmierci" pisał w artykułach wielokrotnie, w kontekście prawie każdej swojej wspinaczki, tym razem jednak śmierć czaiła się nie na kartach „Przeglądu Zakopiańskiego", a w prawdziwym życiu.

Zmęczony przekroczył granicę między rozmyślaniami a drzemką. Góra zmieniła się w piękną dziewczynę, która kusiła go i przywoływała podejrzanie słodkim głosem: „Chodź do mnie, nieboraczku, zdobądź mnie, a zdobędziesz ją. Jest ryzyko, jest zabawa, albo piargi, albo sława...".

Gdy tylko Karol się zbliżył, z ust, oczu, uszu i spod sukni dziewczyny wypełzły obrzydliwe, śliskie robaki – płazińce, obleńce, pierścienice, białe larwy muchówek i włochate gąsienice. Próbował uciekać, ale jego nogi zdawały się przyklejone do skał. Pokryło go robactwo, wchodziło za koszulę, do gardła, wgryzało się w skórę. Chwilę walczył, ale na miejsce każdej strąconej larwy wpełzało na niego kilka innych. Lina stała obok i patrzyła, jak znika w kłębowisku oślizłych, ohydnych ciał.

Obudził go świeży podmuch tatrzańskiego wiatru. Nad górami tworzył się wał. Wiedział, że źródłem okropnych wizji była jego wyobraźnia stymulowana przez nadchodzący halny, mimo to strach przed wspinaczką zmienił się w fizyczny wstręt przed dotknięciem skały Szpiczastego Szczytu. Wolałby po zejściu z gór wsiąść w dorożkę, pojechać do Zakopanego, a wieczorem rzucić się w objęcia starego, bezdomnego Kunca na Krupówkach i wdychać zapach jego nigdy nie mytego ciała, zepsutych zębów oraz najpodlejszego alkoholu,

niż przytulić się dziś do ciemnego granitu jednej z najpiękniejszych gór, jakie widział.

— Sekretem gąsienic jest, że ukrywają w sobie piękne motyle... — powiedział do siebie Karol i pierwszy raz w życiu pomyślał o zastosowaniu Metody K.

Metoda K! Zapytajcie jakiegokolwiek wspinacza, taternika, alpinistę, himalaistę, głaźnika czy ambitnego turystę szlakowego o to, skąd wzięła się jej nazwa, a wielu odpowie: „Wiadomo! Od imienia niesławnego Karola E. Oszusta, mitomana, kłamcy, manipulatora. K jak Karol. Metoda Karola. Karolowanie".

Nic bardziej mylnego i krzywdzącego. Choć oczywiście najbardziej znane zastosowanie należy bezsprzecznie do niego, sama metoda jest stara jak wspinaczka.

Od kiedy tylko istnieje chodzenie po górach, istnieje też potrzeba chwalenia się dokonaniami przed zachwyconym audytorium. Początków Metody K należy upatrywać w głębokim średniowieczu, gdy powstały pierwsze opisy górskich wycieczek, ale niewykluczone, że stosował ją już Hannibal. Znawcy są zgodni, że gdyby wódz opisał przejście kartagińskiej armii przez alpejskie przełęcze, z pewnością znalazłoby się w jego relacji miejsce na odrobinę blagi o trudności trasy. Być może nawet wiadomość, że szedł ze słoniami, a nie zwykłymi końmi, jest śladem Metody K.

Rozkwit metody przypada natomiast dopiero na początek dwudziestego wieku, czyli okres, kiedy alpinista stał się wybrańcem Bogów i kimś więcej niż zwykłym człowiekiem, już nie tylko w swoich oczach, ale również w oczach kobiet i dziennikarzy. Niewiasty garnęły się najchętniej do alpinistów młodych i pięknych, dziennikarze natomiast najbardziej podziwiali wspinaczy niedawno zmarłych, najlepiej spektakularnie.

Żywi alpiniści stanowili obiekt nieco mniejszego podziwu środowisk opiniotwórczych, choć czytelnicy przełomu wieków mieli schyłkowe nastroje. Publikowane w rozsądnej ilości opowiadania pełne „zaglądania śmierci w oczy" oraz „balansowania na krawędzi" cieszyły się sporym zainteresowaniem. Literatura taternicka z pewnością była popularniejsza od wierszy patriotycznych oraz nowel poświęconych grze w golfa, polo lub wista, zdecydowanie jednak przegrywała z kronikami kryminalnymi i ploteczkami z życia cyganerii artystycznej, które to dwie rubryki często się ze sobą łączyły.

W Tatrach dotychczas żaden wspinacz nie zginął, dzienniki ogólnopolskie zatem zmuszone były publikować nowele wspinaczkowe ze szczęśliwymi zakończeniami. Takie, w których do Boga zbliżała się jedynie dusza wspinacza, a nie jego makabrycznie pokaleczone ciało, jak po cichu liczono w redakcjach. Niestety, każdy kolejny olbrzym tatrzański znajdował pogromców i nikomu – ani

góralskim przewodnikom, ani nawet ich klientom – nie chciało się przy tym ginąć dla lepszego efektu dramatycznego i urozmaicenia narracji. Oczy redaktorów tęsknie spoglądały na Szpiczasty Szczyt. Der Spitzer Turm, najtrudniejszy niezdobyty szczyt w Tatrach. W odróżnieniu od innych tatrzańskich wierchów, których poskromienie było tylko kwestią wyszukania odpowiedniej drogi, próba zdobycia Szpiczastego oznaczać mogła tylko jedną rzecz: śmierć. Problem w tym, że nikt nie próbował.

Czasem, ale bardzo rzadko, ktoś bąkał w Zakopanem lub Szmeksie o tym, że chętnie poszedłby na tę górę, że na pewno nie jest niedostępna, ale akurat nie ma czasu. Ktoś inny zarzekał się, że nawet wynajął Klimka Bachledę oraz dwóch Hunsdorferów w celu zdobycia Ostrego (takie było drugie imię góry), ale leniwy góral i gnuśni Prusacy nie stawili się na miejsce zbiórki. Koniec końców góra owiana została nimbem wierzchołka niemożliwego do zdobycia i złą sławą szczytu-mordercy, pomimo że nikt nawet nie zbliżył się do piargów pod jego ścianami, nie mówiąc o rozbijaniu na nich głowy.

Pod redakcjami wszystkich poczytnych dzienników wystawali młodzi taternicy. Prowadzili rozmowy według określonego schematu:

— Dzień dobry. Będę zdobywcą Szpiczastego Szczytu. Atak odbędzie się w przyszłą sobotę. Oczywiście mają państwo wyłączność na relację, zobowiązuję się opisać, jak wiszę na rękach nad przepaścią barwniej niż Mickiewicz obronę Jasnej Góry. Czy mogę liczyć na wypłacenie zaliczki w wysokości dziesięciu tysięcy koron w srebrze, zapewnienie dorożki zaprzęgniętej w kare konie rasy arabskiej oraz postawienie mi dzisiaj dwudaniowego obiadu z deserem? Dopiero po osiągnięciu sukcesu albo jeśli się zabiję? Do-do--dobrze... Przyjdę później.... A może mógłby pan mi pożyczyć dzisiaj chociaż na zupę? Jestem filologiem...

Nic dziwnego, że nawet tak przyzwoity chłopak jak Karol uległ magii wierzchołka i zdecydował się na skorzystanie z Metody K. Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć: nie jemu Metoda zawdzięcza nazwę i nie był on jedynym jej użytkownikiem.

Metoda K! Ileż niegdyś popularnych słów zdążyliśmy zapomnieć! Ileż pięknych określeń z taternickiej i turystycznej gwary popadło w zapomnienie! Któż z nas zakłada na górskiej ekskurzyji na plecy rukzak, a na nogi podkute bergsztajgery?! Któż pokonuje w górę aussery, prowadzące przez ściekwy północnej ściany Turni Izabelli lub nimi abzeiluje?! Zjeżdża na skijach z Byczego Ogona podczas wielodniowych narciarskich wyryp?! Któż wie, gdzie w Tatrach znajdują się Wielka Piła, Hakowy Szczyt czy Tatra-Schrekhorn?! Kto zdobył Turnię Krukowskiego, przeszedł grań Noży, pokonał złowrogie

urwiska Totengartenturm i oglądał świat z wierzchołka dumnego Lucifera?! Czy ktoś świadomie uprawia głaźnictwo?! Wie, że cierpi na nieuleczalne *tatritis* lub uzależnienie od *zakopianiny*?! Nikt!

Większość tych pięknych słów wyblakło przez brak użycia, straciło znaczenie, aż w końcu zniknęło we mgle zapomnienia jak imiona Bogów, którzy umierają wraz ze śmiercią ostatniego wyznawcy. Niektóre żyją jeszcze na kartach tatrzańskiej klasyki i żyć będą wiecznie, póki nowe pokolenia pięknych duchem tatromaniaków sięgać będą po *Skalne Lato, Komin Pokutników* lub *Na Bezdrożach Tatrzańskich*. Ale czy wiemy, skąd te słowa się wzięły?

Weźmy słynną, znaną z opowiadań Wawrzyńca Żuławskiego i szeroko stosowaną w dwudziestoleciu międzywojennym Metodę Melzaka. Na czym polegała? W największym skrócie na wciąganiu do siebie partnera w ścianie „jak worek mąki" za pomocą napiętej liny. Sposób ten posiadał dwojakie zastosowanie. Czasem, ale bardzo rzadko, służył do ratowania zdrowia lub życia osłabionego, nieprzytomnego lub rannego towarzysza bądź jako ułatwienie przejść wielkich alpejskich urwisk. Najczęściej używano melzaczenia, by przeciągnąć nieposiadającą najmniejszych umiejętności wspinaczkowych osobę, na ogół płci żeńskiej, przez ścianę tak, by mogła na nią spłynąć chociaż część splendoru związanego z dokonaniem heroicznego wyczynu sportowego. Tajemnicą poliszynela było, że panie zazwyczaj się potem odwdzięczały na najróżniejsze sposoby, najczęściej w naturze – piekąc wspinaczkowym partnerom pyszne ciasta.

Ile poniżeń nie spotkałoby Günthera Mehlsacka, gdyby wszyscy używający słów „melzaczyć", „melzaczenie" i „Metoda Melzaka" wiedzieli, iż sformułowanie to w rzeczywistości nie pochodzi od nazwiska tego bogu ducha winnego austriackiego alpinisty, lecz od niemieckiego słowa *Mehlsack* w jego słownikowym znaczeniu – „worek mąki". Biedny ten człowiek swą żelazną kondycję zawdzięczał morderczym treningom sześć razy w tygodniu, surowemu przestrzeganiu postu, medytacji oraz trwaniu w stanie kawalerskim i był autorem kilku wspaniałych przejść, a mimo to nikt nie traktował jego dokonań wspinaczkowych poważnie przez pechowe nazwisko. Wielokrotnie na zebraniach Austriackiego Alpenvereinu, gdy opisywał swoje przejścia na Eigerze, Dru czy Matterhornie, ktoś z sali rzucał z typową dla Niemców finezją: „Ty, Mehlsack, byłeś na Matterhornie chyba, kiedy cię wciągnęli, ha, ha! Jak worek mąki, ha, ha!", i całe zgromadzone towarzystwo śmiało się, aż niektórym spadały z głów kapelusze z piórkiem.

Metoda K! W umiarkowanych ilościach jest nieszkodliwa i stosuje ją niemal każdy mężczyzna na świecie, kiedy opowiada o swoim życiu atrakcyjnej

kobiecie. W środowisku wspinaczkowym, jak żadne inne na świecie polegającym na bezgranicznym zaufaniu i kodeksie honorowym, już samo podejrzenie o jej stosowanie piętnuje oskarżonego. Jest równe klątwie kościelnej lub skazaniu na banicję. Posądzenie kogoś o tę praktykę to największa obelga i zniewaga. Stąd to tajemnicze „K" w nazwie. Podobnie jak ze strachu przed uderzeniem błyskawicy dawni Słowianie nie wymawiali na głos boskiego imienia „Perun", zastępując je zniekształconymi formami jak „piorun" lub „pieron", a górale nigdy nie mówili o niedźwiedziu, ale o „Nim", by nie wywołać go z lasu, tak taternicy nie wymawiali słowa na „k". Stanowiło ono absolutne językowe tabu, podobnie jak inne słowo na literę „k", którego do dzisiaj żaden szanujący się taternik nie wypowie ze względu na jego nieobyczajność. Kto spędził kiedyś noc w kolebie, ten wie.

Zanim na Metodę K zaczęto mówić „karolowanie", starzy taternicy posługiwali się słowem „kuszlikowanie"... Słowo z pozoru niewinne. Nigdy nie dowiemy się, kto pierwszy go użył ani w jakich okolicznościach. Przez wiele lat trwał zapomniany dziś spór o to, skąd się wzięło.

— Wywodzenie go od jakiegokolwiek nazwiska jest bzdurą, gdyż pochodzi od francuskiego gwarowego sformułowania *couche de liquor,* czyli dosłownie „warstwa alkoholu", oznaczającego przechwalanie się po wypiciu sporej ilości trunków, czyli po prostu „bajdurzenie" — dowodził jeden ze znawców.

— Bzdura! Karolujesz historię! — oburzał się drugi ekspert. — Nazwa wzięła się od pewnego francuskiego eksperymentu, podczas którego jeden z uczniów Franza Mesmera zahipnotyzował dotychczas niezwiązanego z alpinizmem początkującego malarza, Dávida Couchelique'a, który po przebudzeniu opowiadał piękne i pełne szczegółów opowieści o szalenie trudnych wspinaczkach niezdobytymi północnymi ścianami Eigeru, Matterhornu i Grandes Jorasses, a nawet po kilometrowych klifach dalekiej Grenlandii, podczas gdy w rzeczywistości wszyscy mieszkańcy Paryża wiedzieli, że biegał po ulicach miasta w piżamie ze szlafmycą na głowie i wspinał się na rynny w północnych ścianach jednopiętrowych kamienic, gdacząc jak kura.

— Skandal wybuchł dopiero — uściślił z przejęciem kolejny sędziwy tatrolog — gdy okazało się, że sprytny hipnotyzer wykorzystywał Coucheliqu-e'a do kradzieży kosztowności i drogiej zastawy stołowej. Gdy ten zamiast oczyszczać się z zarzutów, uraczył sąd kilkoma pięknymi alpinistycznymi bujdałkami o wspinaczkach w najdalszych zakątkach ziemi, uznany został za nieudolnie udającego wariata przestępcę i skazany na dwa lata więzienia wraz ze swoim wspólnikiem. Od tego momentu jego nazwisko miało stać się synonimem opowiadania grubymi nićmi szytych opowieści z górami w tle.

Sprawa „złotego lunatyka" rzekomo była jednym z najgłośniejszych procesów w historii Francji.

— Zarówno jedna, jak i druga historia dotyczy Karola E.! — oburza się kolejny profesor. — Znałem go! Był szpiegiem i kłamcą. Gdy musiał opuścić nasz Kraj Rodzinny, przeciwko któremu tak zdradliwie knuł i mataczył, pojechał na Zachód i tam dalej oszukiwał i mataczył. Słowo „kuszlikowanie" również odnosi się do niego. Couche de liquor to pseudonim nadany mu przez bohaterskich polskich wspinaczy, by napiętnować jego hulaszczy tryb życia, pełen alkoholu, pyłku kwiatowego, kobiet oraz motyli.

— Nawet karolowanie nie odnosi się do Karola. Wzięło się po prostu od słowa „rolować". Kiedyś jeden góral podszedł do znanego z bujnej fantazji i powodzenia u kobiet taternika i zapytał go: „Ka rolujesz baby?", i tak zostało.

— Jedna wielka bujda na resorach i kaczka dziennikarska — zawyrokował sąsiad poprzedniego, również historyk, pokłócony z nim o miejsce parkingowe pod blokiem na jednym z zakopiańskich osiedli. — Karolowanie wzięło się od angielskiego *carol* oznaczającego kolędę, tylko nie wiadomo, dlaczego. Niezbadane są wyroki boskie.

— Panowie, troszkę subtelności — do kłótni wkroczył emerytowany taternik-humanista. — Kuszlikowanie to zwykłe, nieszkodliwe bajdurzenie dla sławy, a karolowanie to coś dużo poważniejszego.

Jaka jest zatem prawda o Metodzie K? Chyba nigdy się nie dowiemy, gdyż wszystkie wyjaśnienia noszą ślady zastosowania Metody K, piętno osobowości autorów i są zupełnie niewiarygodne. Dawniej mówiono o kuszlikowaniu, potem o karolowaniu, w przyszłości zapewne powstaną nowe określenia i nowe historie rzekomo za nimi stojące.

Metoda K! Czym zatem jest dokładnie? Chodzi o drobne zmyślenie czy może bardziej dyplomatycznie – retuszowanie rzeczywistości dla osiągnięcia jakiejś korzyści. O kreatywne podejście do własnej przeszłości. O zrobienie fotografii na kamieniu stojącym na łące w kieleckim i wysłaniu do cioci w Pcimiu z podpisem: „Ja na wierzchołku Kilimandżaro". O przemianę wycinka swojego zmyślonego życia w prawdziwą legendę. O znalezienie miejsca w Wielkiej Historii bez dotknięcia Wielkiej Historii. O magiczną funkcję słowa. W największym skrócie: mówiąc Metoda K, mamy na myśli po prostu Kłamstwo.

Filistrzy karolowali dla pieniędzy, taternicy natomiast – dla sławy. W tym ostatnim wypadku trzeba jednak zachować umiar w osądach. Takie samo opowiadanie, ale napisane bezinteresownie, będące skutkiem silnej neurozy lub w najgorszym razie wynikające z chęci zaimponowania kobiecie (ale tylko niebędącej wcześniej dziewczyną innego wspinacza) nazywane było „bujdałką

taternicką" i stanowiło po prostu sympatyczny element folkloru środowiskowego. Granica między bajdurzeniem a karolowaniem była płynna i zależała przede wszystkim od opinii środowiska, która z kolei zależała od opinii najbardziej prominentnych osobistości. Postacie te najczęściej same bardzo lubiły bajdurzyć i oskarżać o karolowanie swoich przeciwników, najczęściej lepszych od siebie wspinaczy. Ci z kolei zazwyczaj twierdzili, że sami nie karolują ani nie bajdurzą, czyli przeciwnie do swoich oponentów, którzy nie tylko bajdurzą, ale nawet karolują. Tamci z kolei odpowiadali, że zarzuty o karolowanie i bajdurzenie zostały przykarolowane i tak to wszystko sobie spokojnie płynęło przez kilka pokoleń, budząc zainteresowanie zaledwie garstki ludzi. Z wyjątkiem przypadku Karola...

Po sporze o etymologię terminu „Metoda K" nie ma już śladu, podobnie jak po czasowniku „karolować" oraz po samej metodzie. W XXI wieku nikt nie ośmieliłby się jej zastosować, gdyż wiadomo, że prawda zawsze wyjdzie na jaw. Od wielu lat nazwę tę kojarzą tylko pasjonaci historii taternictwa przesiadujący w ciemnych bibliotekach w poszukiwaniu artykułów o Karolu, który karolowanie doprowadził do perfekcji. Lub do granic absurdu, o ile to, rzecz jasna, nie to samo. Jeżeli ktoś kiedyś natknie się na to słowo, niech pamięta, jak starego zjawiska dotyczy.

Ten długi i rzetelny wywód historyczny być może zbyt wiele nie rozjaśnił, ale był niezbędny. Ileż poniżeń oszczędzilibyśmy Karolowi, pamiętając o tym, by nie łączyć nazwy „Metoda K" z jego nazwiskiem? Dużo. Ale... Z pewnością mniej, niż sam by sobie oszczędził, gdyby jej nie zastosował.

— Nie wygląda to najlepiej. Dalej nie pójdziemy — powiedział czerwony ze zmęczenia stary Hunsdorfer, wskazując dalszą część grani, tak kruchą, że kamienie obrywały się z niej i leciały w przepaść przy najmniejszym podmuchu wiatru. — Przeklęty pies, ten Szpiczasty. *Verfluchtes Hund*.

Ten dzień od początku był pechowy. Pani Antonina upuściła pod ścianą swój nowiuteńki lornion, który wpadł wprost do świstaczej nory, chwilę później przyszły chmury, a kiedy całe towarzystwo znajdowało się w odwrocie, wysoko na wschodniej grani na dobre się rozpadało.

W oddali błyskały pioruny. Mieszek aneroidu gwałtownie się rozszerzał. Po pokonaniu żlebu całe towarzystwo, przemoczone do suchej nitki, dotarło do letniego płatu śniegu, ostatniej przeszkody przed dojściem do bezpiecznego pola piargów. Hunsdorfer wybijał stopnie góralską ciupagą, Karol turystycznym czekanem z Tyrolu. Pani Antonina, jako kierownik wyprawy, dawała im obu dobre rady. Syn słuchał jej jednym uchem, a przewodnik w ogóle. Był to błąd, gdyż wbrew zdecydowanym zaleceniom pani Antoniny, by

nikt się nie pośliznął, pośliznęli się obaj i zanim zdołali się zatrzymać, hamując ostrzami siekierek, zjechali kilkanaście metrów, nie robiąc sobie na szczęście krzywdy. W siną dal odleciał jedynie kapelusz Karola. Nie jedyny tego dnia. W sąsiedniej dolinie, w epicentrum burzy proboszcz Walenty Gadowski oraz jego przewodnik Jakob Horvay siekani gradem wiali z Durnego Szczytu tak prędko, że zostawili pod wierzchołkiem nie tylko kapelusze, ale również płaszcze, a nawet czekany.

Po powrocie do Szmeksu pani Antonina udała się na spoczynek, przewodnik Hunsdorfer zrobić dobry użytek z przewodnickiej dniówki, a Karol opisać wycieczkę w brudnopisie. Póki co ich próby na Szpiczastym Szczycie utrzymywane były w tajemnicy, za co stary przewodnik otrzymywał nawet drobny dodatek do wypłaty. Karol wiedział jednak, że jeśli kiedyś w przyszłości chce napisać o swoim największym wyczynie ciekawą relację do „Rocznika Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego", „Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego", a kto wie, może nawet czasopism zagranicznych lub poczytnych periodyków nie-taternickich, to musi utrwalić w piśmie na gorąco jak najwięcej interesujących szczegółów, póki je pamięta dokładnie takimi, jakimi były w rzeczywistości.

Przygryzł ołówek w zadumie nad pierwszym, najważniejszym zdaniem. Napisał: „W blasku pełni księżyca przekroczyliśmy Rubikon". Nie, to nie przejdzie. Nie było pełni, poza tym jeszcze ktoś pomyśli, że potok koło Szmeksu nazywa się Rubikon, a nie Zimna Woda.

„Sierp księżyca odbijał się w naszych oczach, gdy szliśmy w stronę ściany Szpiczastego przez jar, jak trzystu Spartan pod wodzą Leonidasa". Też niedobrze. Czytelnik gotów pomyśleć, że faktycznie szli w trzysta osób, jak na wycieczkach bez programu doktora Chałubińskiego.

„Wkroczyłem do Doliny Staroleśnej pod opieką Hunsdorfera, jak Dante przewodzony przez Wergiliusza, a na bramie ponad naszymi głowami widniał złowieszczy napis: Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodzicie." Świetne! Jakbym tak zaczął, mógłbym umieścić Kordiana i jego znajomych w którymś z kręgów piekielnych głową w dół w kloace, ucieszył się Karol, ale jego entuzjazm szybko opadł. Przecież tam nie ma żadnej bramy, a co gorsza wyjdzie na to, że ja tylko szedłem jak baran za Hunsdorferem. Stary się obrazi, że go porównuję do jakiegoś ślepego Włocha, a ludzie będą spekulować, kim jest moja Beatrycze. Trzeba zmienić."

Każde zdanie wprowadzające miało swoje minusy. Trzy pokreślone kartki wylądowały na podłodze. W końcu zdecydował się na: „Księżyc w pełni uroczo wypłynął ponad góry, wszystko zapowiadało pogodny dzień, kiedy znowu

w pełnym rynsztunku bojowym zmierzaliśmy na pole walki albo lepiej mówiąc – ku górom"*. Był zadowolony. Ładne, melodyjne i eleganckie. Świetne retorycznie. Księżyc w pełni jednak musi zostać. Przydaje opowiadaniu niesamowitej atmosfery – dzięki niemu wyprawa ma klimat dramatów Maeterlincka czy obrazów Böcklina, a nie jakiejś *Panienki z Okienka,* jak opowieści starego Witkiewicza. Lina będzie pod wrażeniem, kiedy to przeczyta.

Szybko opisał drogę doliną pod ścianę Szpiczastego Szczytu oraz jednocześnie przewieszone i pełne luźno wiszących kamieni, ważące wiele tysięcy cetnarów ściany ciemnego komina, którym się wspinali, kiedy doszedł do momentu, w którym zaczął padać deszcz.

Pociągnął łyczek z ukrywanej przed matką piersiówki, potem drugi i trzeci. Obraz burzy w głowie zaczął się krystalizować.

„Piorun za piorunem – zaczął nowy akapit. – Jeden uderzył w grań o kilka kroków od nas. Ja właśnie fotografowałem poczciwego Hunsdorfera, wiszącego na turni w grani. Błyskawica i migawka mojego obiektywu strzeliły jednocześnie". Świetna scena, jaki dynamizm, jaki anegdotyczny zbieg okoliczności, to mi się udało, pochwalił w myślach sam siebie i zbliżył piersiówkę do ust. Rozochocony stwierdził, że pójdzie na całość: „Nie chcę być niedyskretny, ale mój przewodnik ma na zdjęciu minę tak rozpaczliwie głupią, że prawie trudno byłoby w nim rozpoznać dzielnego Hunsdorfera". Cóż za komizm – zachwycał się sam sobą Karol – akcja żywsza niż u Sienkiewicza. Mam nadzieje, że nikt mnie nie spyta o to zdjęcie, będę musiał mówić, że mi staruszek nie pozwala pokazać.

„Przedziwny wir powietrzny próbował zrzucić nas z grani. Odnosiło się wrażenie, że w ściany górskie bije skrzydłami ogromny ptak, z rzędami lotek wielkich jak maszty, aby znów umknąć gdzieś w półmrok. Potem na moment wszystko się uspokoiło, by nagle wybuchnąć z nową furią i szaleńczą siłą. Wiatr wydobywał najróżniejsze tony, furkotał w ścianach, jak gdyby tańczyły tam w górze bose stopy z upartą gwałtownością. Gwizdał i wzdychał w szczelinach, a w przerwach jego nawalności dobiegał ryk i szum wezbranych potoków. Odwrót, odwrót, Don Rodrigo!"

Karolowi pisało się coraz lepiej, a piersiówka coraz mniej ciążyła w ręce. Bardzo podobała mu się scena z tajemniczym, mitycznym ptakiem, bijącym skrzydłami w skały. Ciekawe, jak to odczytają przyszłe pokolenia? Świetny, wieloznaczny symbol. Niemal alegoria. A tym „Don Rodrigo" to sam siebie zaskoczył, takiej wstawki nie powstydził by się pan Bolesław Prus, choć oczywiście ze względu na lęk wysokości to mógłby sobie co najwyżej pisać o dro-

* Ten i pozostałe fragmenty w tłumaczeniu Józefa Nyki ze strony: http://www.nyka.home.pl/bibl_his/pl/10.htm. Niemiecki oryginał w XVIII tomie rocznika „UKV" z 1901 roku.

dze przez Skupniów Upłaz na Halę Gąsienicową, a nie o wspinaczce na najtrudniejszy szczyt świata!

Piersiówka Karola stawała się coraz lżejsza, głowa coraz cięższa, myśli coraz szybsze, a pióro wolniejsze.

Ostatni fragment tekstu, ten, gdzie z szaloną prędkością spadali głowami w skalną gardziel przez potężny i niemal pionowy język lodu, po którym to locie, ku zgrozie przewodnika, wybuchli wraz z matką gromkim śmiechem, tworzyło się mu już dużo gorzej. Widać to zresztą po rozchwianym, niewyraźnym charakterze pisma.

Kiedy piersiówka była pusta, Karol stwierdził, że czas kończyć. Postawił kropkę i założył szlafmycę. Potem się rozmyślił i postanowił pospacerować po labiryncie korytarzy sanatorium doktora Szontagha w Nowym Smokowcu. Szedł chwiejnym krokiem. Podłogi były śliskie jak lód, na dodatek ruchome. Kręciły się jak karuzele na Praterze. Czasami sufit i podłoga zamieniały się miejscami, by jeszcze bardziej utrudnić mu przejście. Ale on pokona wszystkie przeciwności losu, bo jest taternikiem, a od niedawna jeszcze pisarzem.

Na dole, niedaleko sali balowej spotkał Linę Konopnicką idącą pod rękę z jego imiennikiem – młodym Karlem Jurzycą ze Śląska. Dziewczyna posłała mu pełne wyższości spojrzenie, a Karl spytał z uśmiechem, czy jadł już dzisiaj kolację i zaoferował, że jeśli zajdzie taka potrzeba, może go nakarmić.

Karol zareagował na szykany w nietypowy dla siebie sposób. Zazwyczaj sama obecność Liny wystarczyła, by cztery najdłuższe spośród jego członków sztywniały, oczy stawały w słup, a język chował się głęboko w gardle. Tego wieczora jednak czuł wyjątkowy przypływ sił witalnych i pewności siebie. Podbiegł do Karla Jurzycy, zderzył się z nim klatkami piersiowymi, naprężył muskuły i zaśpiewał głupkowatym głosem znaną z dzieciństwa wyliczankę: *Eins Zwei Polizei, Drei Vier Grenadier, Funf Sechs Alte Hex, Sieben Acht Gute Nacht,* po czym pokazał swojej tajemnej ukochanej język i uciekł, śmiejąc się przy tym jak opętany przez złe duchy siedmiolatek. Gdy rozwinął nadmierną prędkość, przewrócił się na śliskiej podłodze i uderzył w ścianę tak mocno, że aż spadło na niego trofeum myśliwskie właściciela sanatorium. To rozśmieszyło go jeszcze bardziej. Siedząc po turecku, podniósł poroże jelenia nad głowę i wybełkotał: *Ja, ja, ja – was ist los, was ist Das?.* Po trzeciej próbie udało mu się wstać. Zabrał poroże i odbiegł długim korytarzem w stronę swego pokoju.

Lina i Karl jeszcze po kilku minutach słyszeli jego rozkoszny śmiech, przerywany tylko odgłosami przypominającymi spadające po schodach worki ziemniaków. Oboje stali w milczeniu i patrzyli na siebie szeroko otwartymi oczyma.

— Droga Lino, mam podejrzenie graniczące z pewnością, że syn pani Antoniny jest zwyczajny wariat — powiedział Jurzyca. — Niedługo zacznie mieszkać w beczce i tytułować się Księciem Obojga Smokowców, mówię pani. Pewnie spotkał w Krakowie tego Przybyszewskiego i poprzestawiały mu się klepki.

— Ma pan absolutną rację. To szaleniec. *Komplette irre* — przytaknęła mu Lina, ale po jej oczach było widać, że ma odmienną teorię dotyczącą zachowania Karola, którą wolała zatrzymać dla siebie. Ku zaskoczeniu Karla Jurzycy pożegnała się grzecznie, powiadomiła go, że jest już późno i poszła do pokoju sama.

Wy, Polacy, to wszyscy kiedyś będziecie mieszkać w beczkach, pomyślał Karl rozczarowany i udał się na spoczynek.

Śniło mu się, że wspina się na Batyżowiecki Szczyt z wielkim, rozgałęzionym porożem jelenia na głowie. Po kilku dniach, wraz ze słowackim przewodnikiem, Jozefem Galko-Rusnákiem, rzeczywiście został zdobywcą Batyżowieckiego. Na głowie miał jednak tylko zwykły kapelusz. Wracając do Szmeksu, rozmyślał o przyszłych, jeszcze ambitniejszych celach wspinaczkowych.

Po dwóch tygodniach, kiedy już przestała go boleć głowa i oddał doktorowi Szontaghowi pieniądze za zniszczone poroże dwunastaka, Karol znowu zjawił się w największej tajemnicy pod ścianą Szpiczastego Szczytu.

Postanowił spróbować wejść na wierzchołek od północy, ze strony posiadłości księcia Hohenlohego w Dolinie Jaworowej, przez Hunsdorfera zwanej pięknie Zegarowym Ogródkiem, gdzie doszli razem przez Lodową Przełęcz.

Zawczasu, jeszcze w Szmeksie, Karol napisał fragment relacji odpowiedzialny za wprowadzenie pożądanego nastroju grozy i napięcia:

„O tym, jak w tym pustkowiu śmierć wszędzie zdaje się pozostawiać swoje ślady, świadczy krzyż na samotnym skłonie piargowym, upamiętniający turystę, którego góry posłały w krainę cieni: przed laty znaleźli go tu zamarzniętego przewodnicy."

Podczas śniadania na Lodowej Przełęczy nawiedziło całą czwórkę – przewodników Janów Hunsdorferów tym razem było dwóch, ojciec i syn – widmo Brockenu. Tajemnicze i groźne zjawisko, które według tatrzańskich legend widziane pierwszy raz wieszczyło turyście śmierć w górach, przy trzecim spotkaniu obracało koło fortuny i zapewniało dożywotnie bezpieczeństwo w górach. Karol odetchnął teatralnie z ulgą. Śmiał się, gdyż właśnie otrzymał szczęśliwą wróżbę, napotkał widmo po raz trzeci. I to tego samego roku.

Podszedł kawałek granią w stronę Lodowej Kopy i podniósł czekan w górę triumfalnym gestem. Patrzcie, państwo! Widoczny na chmurach, otoczony tęczową aureolą, cień Karola również potrząsnął długim jak wieża cze-

kanem! Nie był szczególnie zainteresowany legendami powtarzanymi przez przewodników, widmo Brockenu nie przerażało go ani trochę. Traktował je natomiast jako rodzaj lustra, w którym odbija się takim, jakim jest naprawdę – on i jego dusza. Albo takim, jakim będzie. Albo jakim chciałby być. Olbrzymem mieniącym się wieloma pięknymi kolorami, zachwycającym pawimi skrzydłami, wznoszącym w triumfalnym geście czekan niczym Thor swój młot, Posejdon trójząb lub Zeus złote błyskawice. Przez moment czuł się półbogiem, a chwilę później dopadły go chmury i pogrążył się w ponurej szarości skał ponad asfodelowymi łąkami Doliny Jaworowej, gdzie na powrót stał się po prostu Karolem. Młodym chłopakiem stojącym przed dużą górą.

Po godzinie kluczenia popod skałami potężnej Roter Turm – zwanej dzisiaj przez Polaków Małym Lodowym, a przez Słowaków Širokou Vežou – znaleźli się na przełęczy, na której przed nimi stali tylko Jurgowscy kłusownicy-koziarze. Uzgodnili, że na cześć przewodników po wsze czasy zwana będzie Jancsyjoch – przełęczą Jaśkową. Znajdowali się niemal dwa tysiące trzysta metrów ponad lustrem Adriatyku.

Atak został zakończony połowicznym sukcesem. Jak wyglądał ze wszystkimi szczegółami, możemy dowiedzieć się dzięki niemieckojęzycznej relacji Karola, zamieszczonej w dwudziestym ósmym „Roczniku Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego":

„Przebijamy się wąziutkimi półkami ponad najstraszniejszymi z otchłani. Nagle drogę zamyka nam lita skała, a jedyna droga prowadzi w górę, zupełnie pionowymi kominami. Niezbędne jest użycie liny. Pokonujemy jednak tę przeszkodę. Dochodzimy na grań tak kruchą, że zdaje się rozsypywać pod naszymi stopami. Jest stroma i eksponowana. Mijamy trzy turnie szczytowe i osiągamy maluteńkie siodełko w grani. Obok nas trzymetrowa turnia sterczy dumnie, niczym miecz skierowany w stronę nieba. Jedynym sposobem, by dalej iść, jest usiąść na grani i poruszać się na niej okrakiem, jak na koniu. Docieramy do głazu wielkości sofy, który chwieje się na jedną i drugą stronę jak wierzba na wietrze. Oto Szczyt Południowy, niższy wierzchołek Szpiczastego Szczytu. 2348 metrów ponad poziom morza. Miejsca jest tak mało, że nie ma najmniejszych szans, by usypać tutaj piramidę z kamieni, nie ma mowy nawet o krótkim odpoczynku. Z narażeniem życia można jedynie wysunąć głowę, by spojrzeć w twarz głównemu wierzchołkowi. Szczyt, na którym stoimy, opada gładkim, niemożliwym do przejścia pionowym uskokiem. Za nim wznosi się potężny, nieprzystępny z trzech stron, prostopadłościenny Szczyt Północny, wyższy o 12 metrów. Niestety, najprawdopodobniej zachowa on swe dziewictwo."*

* Oparte na tłumaczeniu J. Nyki.

Zatem szczyt doczekał się prawie-zdobycia! W trzech czwartych stracił dziewictwo! Teraz już oczy całego Szmeksu, Zakopanego, wszystkich schronisk i koleb (a w przyszłości z pewnością całego świata), skierowały się na Karola. Oczywiste było, że podejmie dalsze próby zdobycia Północnego Wierzchołka, mimo iż wydawało się to niewykonalne. Z najlepszego taternika swoich czasów awansował wręcz na cudotwórcę. Człowieka, który jest w stanie dokonać rzeczy niemożliwych.

Sława i szacunek bardzo mu się podobały. Widać było to po jego kroku, postawie, minie. Niegdyś wchodził do sali bankietowej sanatorium doktora Szontagha przygarbiony, z owijaczami na nogach, siadał w kącie, a kiedy tylko skończył posiłek, wychodził cicho jak myszka. Teraz niemal defilował przez środek sali w pięknej marynarce, z krawatem i ułożoną na brylantynie fryzurą z przedziałkiem. Zabawiał rozmową dziewczęta, zaś chłopcom rzucał ironiczne i lekceważące spojrzenia.

— Zaiste, było trudno, było. Ale to drobnostka. Wystarczy ćwiczyć. No dobrze, przyznaję. Trochę talentu też potrzeba... — kokietował Karol, wpatrując się w równo przystrzyżone paznokcie.

Dziewczyny zgodnie odpowiadały:

— Ach, dużo talentu! Talentu i odwagi! Ach, dużo!

Karol kiwał głową z uśmiechem i nie potwierdzał ani nie zaprzeczał, czyli właściwie potwierdzał.

— Piękny motyl wyrósł z tej gąsieniczki — chwaliła go stara doktorowa. — Kiedyś taki szary, zawsze oczy spuszczone, zdenerwowany, a teraz wysysasz z życia cały nektar. Wszystko, co najlepsze. I ssij. Ssij, pókiś młody, mój piękny motylku!

Trzej Muszkieterowie oczywiście nadal nie przyjaźnili się z Karolem. Kiedyś jednak sprawiało mu to przykrość, teraz ostentacyjnie siadał do nich plecami, przy stoliku obok. Nie narzekał na samotność, gdyż zawsze znajdowała się jakaś młoda kuracjuszka chętna posłuchać o powietrznej grani Szpiczastego Szczytu i uczuciu, kiedy niebo znajduje się pod nogami.

W międzyczasie Karol zaliczał do kolekcji nienazwane do tej pory turniczki, zęby skalne i wszystkie możliwe wypukłości terenu, na których tylko był w stanie zostawić swój delikatnie „przykarolowany" bilecik wizytowy: „Karol Ritter von E... de Payne, doktor nauk prawniczych". Kręcił się także naokoło Szpiczastego Szczytu, lustrował ściany, szkicował w notatniku szczegóły jego rzeźby.

Ludzie mówili, że Karol postradał rozum. Plotkowano, że kazał wykonać na podstawie tych szkiców kilka szaf i komód do swojego pokoju, odpowiadających wysokością i proporcjami poszczególnym miejscom w graniach Ostre-

go i wieczorami się po nich wspinał, ciesząc się z każdego zdobytego wierzchołka jak małe dziecko. Znalazł się nawet człowiek podający się za stolarza, który potwierdził, że wykonał takie meble, tyle że Karol ciągle mu nie zapłacił za robociznę i on teraz jest w tak trudnej sytuacji materialnej, że musi prosić o pożyczkę, którą oczywiście ureguluje jego wierzyciel.

Karol cały czas łapał motyle do kolekcji i nie przejmował się ludźmi zawracającymi mu głowę absurdalnymi historiami o uregulowaniu rachunku za jakieś głupie meble w kształcie gór.

Pewnego dnia w Szmeksie zjawił się najpiękniejszy i najbardziej pożądany przez niego okaz – Lina.

Tym razem nie zachowywała się w stosunku do Karola arogancko, nawet przyszła się z nim przywitać w sanatoryjnej jadalni i porozmawiać o poezjach Paula Verlaine'a. Konwersacja przedłużyła się, a po kieliszku wspaniałego egri bikáver Karol zaczął snuć opowieść o zdobywaniu Ostrego, o strasznych przepaściach, kruchej skale, bijących piorunach, w końcu o olśniewającym widoku z Południowego Wierzchołka i o absolutnej niemożliwości dostania się na Północny, czego z pewnością kiedyś dokona. Lina słuchała go z zapartym tchem

Wtem na salę weszło dwóch mężczyzn w strojach turystycznych sprawiających wrażenie dusz, które dopiero co uciekły z Hadesu. Jeden wciąż owinięty był grubą konopną liną. Karol poznał w nich przewodnika Jana Hunsdorfera Młodszego i Ślązaka Karla Jurzycę, pogromcę Batyżowieckiego. Chwilę coś do siebie szeptali, a przewodnik wskazał ostrzem czekana Karola i Linę. Jurzyca przytaknął i zaczął zbliżać się do stolika. Oparł ręce o blat i wlepił wzrok w Karola. Milczał.

Karol poczuł się trochę nieswojo, ale nie spuścił z tonu. Zapytał lekko aroganckim tonem:

— Co tam słychać, Karl? Widzę, że mieliście z przewodnikiem ostrą potyczkę z jakimś drugorzędnym szczycikiem w Krasnoludkowych Turniach czy czymś równie poważnym. A może cały dzień wam zajęło znalezienie wierzchołka bez mojej wizytówki?

Lina zachichotała. Na Jurzycy zaczepka Karola nie wywarła żadnego wrażenia. Ludzie przy sąsiednich stolikach przyglądali mu się z zaciekawieniem. Wziął głęboki oddech i powiedział:

— Karol... Południowy Wierzchołek Szpiczastego Szczytu nie istnieje.

CZĘŚĆ III
SZPICZASTY WZIĘTY

Zejdź mi z oczu — powiedział Karol do Karla.

— Zejdź mi z oczu — powiedziała Lina do Karola.

— Zejdźcie mi wszyscy z oczu — powiedział Karol do wszystkich i wyszedł.

Karl Jurzyca kręcił głową z niedowierzaniem, patrząc na trzaskającego drzwiami jadalni kolegę.

Młodszy Hunsdorfer czekał na wypłacenie mu premii.

— Zejdź mi z oczu — powiedział do niego Karl i opuścił salę.

— Zejdź mi z oczu — powiedział Stary Hunsdorfer do Młodego, kiedy dowiedział się, że nie udało mu się wynegocjować dodatku za próbę dokonania pierwszego wejścia na szczyt.

Kuracjusze udawali, że nie zwrócili uwagi na zaszłą przed chwilą scenę, a w rzeczywistości czekali, kiedy jej pozostali bohaterowie wyjdą, żeby zacząć plotkować. Sędzia von Mais-Kukuruz jadł kotleta de volaille, Hubertyna pałaszowała zrazy w sosie ze spiskich borowików. Roman, Jurek i Zygmunt szeptali konspiracyjnie, a chwilę później zamówili butelkę tokaja. Podobnie postąpili siedzący stolik dalej taternicy niemieccy Alfred Martin i Thomas Reizend, Szwajcar Günter Oskar Dyhrenfurth oraz ich węgierski kolega Gyula Komarnicki. Pół godziny później całe towarzystwo siedziało przy jednym stoliku, pijąc i żywo o czymś dyskutując.

Twarz Liny przybrała kolor wina Egri Bikavér.

Siedząca w kącie Mina wycierała serwetką łzy z policzków.

Pani Antoniny nie było na sali.

Karl Jurzyca opublikował w prasie artykuł, w którym delikatnie zasugerował, że słynny taternik E. odrobinę się pomylił. Być może przez złą pogodę, a może z innych powodów w swojej relacji ze zdobywania Szpiczastego napisał o jego południowym wierzchołku, co stanowi ewidentne nieporozumienie,

gdyż nic takiego nie istnieje. Nie musiał długo czekać na odpowiedź. Argumenty Jurzycy zostały wprost wyśmiane przez Karola. Zarzucił mu, że jego oskarżenia były bezpodstawne i wynikały z zazdrości oraz chęci zaistnienia w środowisku taternickim. Karl był mizernym turystą wysokogórskim i jedynym sposobem, by ktoś o nim mówił w Szmeksie, było opluwanie największych. Przez „największych" Karol rozumiał siebie. Porównał Jurzycę do kanapowego pieska potrafiącego tylko głośno szczekać i chować się za nogami swojej pańci przy najmniejszej groźbie konfrontacji z prawdziwym brytanem. Tego typu barwnych sformułowań w tekście znalazło się całkiem sporo.

Z pewnością wiele osób uznałoby słowa Karola po prostu za przejaw urażonej dumy narcyza, któremu wytknięto błąd, gdyby artykuł nie był zilustrowany pięknymi, wyraźnymi zdjęciami, na których czarno na białym widać taternika dumnie stojącego na niższym z dwóch wierzchołków Szpiczastego Szczytu. Wyższy znajdował się w tle i oddalony był maksymalnie o kilkanaście metrów.

Zdjęcie robiło ogromne wrażenie. Iglica, na której stał Karol, na wszystkie strony urywała się strasznymi pionowymi urwiskami, przyprawiającymi czytelników z lękiem wysokości o zawroty głowy. Druga, wyższa wydawała się niemożliwa do zdobycia przez człowieka, chyba że przy użyciu balonu. Zwycięstwo Karola było niepodważalne.

Nie mogło być inaczej. Zdjęcie wyretuszował sam wielki Henryk Schabenbeck, który tego roku pierwszy raz był w Tatrach i zakochał się w nich do tego stopnia, że postanowił w przyszłości przenieść się do ich podnóży z Lwowa i założyć tam zakład fotograficzny. Wizyta Karola wyrwała go z zadumy. Rozmyślał, czy lepiej otworzyć studio w Zakopanem i nazwać je „Stefa", czy w Szmeksie i nazwać je „Lina". Obie te perspektywy niezmiernie go kusiły, ale znając kobiety, wiedział, że musi się zdecydować tylko na jedną. Pragnienia jego klienta były natomiast wprost odwrotne. Przyniósł zdjęcie, na którym widniał jeden wierzchołek, a chciał, żeby były dwa.

Szczyt koniecznie trzeba zdobyć, dumał Karol w pociągu z Lwowa, ściskając przykarolowane fotografie w kieszeni marynarki. Teraz albo nigdy. Nie istnieją góry nie do zdobycia, a już na pewno nie w Tatrach. Kiedyś z pewnością nadejdą takie czasy, że człowiek stanie na szczytach Himalajów. Może za pięćdziesiąt lat, może za sto, ale przyjdzie pora, że nawet Mount Everest zostanie zdobyty. Trzeba walczyć, nie można skulić ogona po porażce i uciec. Dzielny Whymper też nie od razu wszedł na Matterhorn. Toczył heroiczny bój z górą, podejmował nieustanne próby, aż w końcu osiągnął sukces. Czym jest Szpiczasty przy tamtym olbrzymie? Chociaż z drugiej strony tylu towa-

rzyszy Whympera nie powróciło z wyprawy... Góra zabrała Croza, pierwszorzędnego przewodnika... Nie chcę, żeby komuś się coś stało... Żeby zginął stary Hunsdorfer, żeby matka pozostała sama. Ojciec jest już przecież słaby i schorowany. Ale jeśli teraz się wycofam, to stchórzę, a górę zdobędzie w końcu ktoś inny. I będzie miał Linę. Nie. Szczyt koniecznie trzeba zdobyć teraz.

Nie chodziło przecież tylko o Linę. Karol od dziecka odczuwał dziwne przyciąganie górskich wierzchołków. Od kiedy tylko potrafił chodzić, wspinał się na krzesła, stoły, a nawet szafy w całym domu oraz na drzewa na krakowskich plantach. Pierwsze wspomnienie Karola z dzieciństwa w latach osiemdziesiątych nie mają kolorów ani nie są ostre. Istnieją w jego pamięci jako trochę zdjęcia, trochę drzeworyty i trochę rysunki, narysowane za pomocą ciemnego brązu, wypłowiałej bieli oraz z każdym rokiem mocniej zanikającej sepii. Prawie wszystko, co pamięta z Zakopanego i północnej strony Tatr, jest prześwietlone, historie nie mają początków ani końców. Swoje ostatnie wspinaczki, gdy zamknie oczy, widzi jak film wyświetlony za pomocą kinematografu. Wszystkie wspomnienia z czasów, zanim zaczął chodzić po górach, są bardziej zbliżone do archaicznych dagerotypowych fotografii. Jedno jedyne wspomnienie żyje w głowie Karola jako spójna historia. Ma początek, zakończenie, ostre kształty, soczyste barwy, a nawet dźwięk. Jako jedyne zdaje się czymś, co Karol faktycznie przeżył, a nie podsuniętą przez kogoś ilustracją ukazującą świat widziany oczyma kogoś innego. Jakiegoś obcego Karola. Jest nim pierwsza zdobyta przez Karola góra. Sfinks. Kamień leżący w trawie nieopodal szałasu pasterskiego na Polanie Strążyskiej pod ogromną ścianą Giewontu.

Siedział na kocu rozłożonym na polanie razem z rodzicami. Była to jedna z niewielu, a może nawet jedyna wycieczka w góry, w której uczestniczył jego ojciec – sędzia E. Mama częstowała go ciasteczkami, ojciec gwarzył o czymś ze starym bacą o orlim nosie i pił żętycę z drewnianego czerpaka. Małego Karola fascynowała ściana Giewontu, zapytał mamę, czy mogą pójść na wierzchołek. Pani Antonina uśmiechała się łagodnie i tłumaczyła, że na takie wielkie góry przyjdzie jeszcze czas, że musi zacząć od czegoś mniejszego. Opowiadała, że tu, w Tatrach Zachodnich, jest bardzo dużo mniejszych górek, a raczej zalesionych wzgórz zwanych reglami, od których może zacząć przygodę z taternictwem. Karol płakał. Krzyczał, że koniecznie chce iść na Giewont, tylko na Giewont i że nie interesują go regle, bo regle są dla dzieci. On chce zdobyć wszystkie największe góry świata, a nie najmniejsze!

Wtem furką na polanę wjechała druga rodzinka. Elegancki, wyprostowany jak struna ojciec z sumiastym wąsem, młoda kobieta w szerokiej sukni i taki jak on brzdąc. Malec, mimo zachęt ze strony rodziców, nie chciał wejść

do szałasu, bawić się z owcami ani pić żętycy. Szarpał mamę za rąbek sukni i wskazywał palcem wysoko w górę, na pusty, dziki, milczący, oddalony o setki tysięcy mil wierzchołek Giewontu. Kobieta uśmiechała się, kręciła głową i zachęcała go, żeby podszedł bliżej do pasterza, żeby się nie bał. Malec spuścił nos na kwintę i zaczął smętnie wrzucać kamyczki do potoku. Po chwili wyraźnie zainteresował się jakimś punktem na polanie, wlepił w niego wzrok i wpatrywał się jak zahipnotyzowany. Karol również tam spojrzał i doznał olśnienia: na polanie stał ogromny, większy niż krakowskie kamienice – a przynajmniej tak się mu wówczas wydawało – głaz. Zapytał mamę, co to jest. Pani Antonina powiedziała mu, że turyści nazywają ten kamień Sfinksem. Sfinks! Mama pokazywała mu kiedyś w książce ryciny przedstawiające egipskie piramidy oraz tajemniczego Sfinksa, ten jednak wydał się stokroć większy i dostojniejszy niż jego starożytny pierwowzór.

— Mamo, czy ktoś kiedyś był na Sfinksie? — zapytał Karol.

Pani Antonina uśmiechnęła się szeroko.

— Och, mój mały zdobywco. Nie wiem, nigdy nie widziałam, żeby ktoś tam wszedł. Wiesz, dorośli często kierują swój wzrok nie wiadomo gdzie, a nie zwracają uwagi na rzeczy, które mają na wyciągnięcie ręki. Jak chcesz, możesz zostać zdobywcą Sfinksa.

— Nie wyrażam zgody — powiedział surowo pan prokurator E. — To zbyt niebezpieczne. Można złamać nogę. Nie chcę, żeby w Krakowie mawiano, że jestem wyrodnym ojcem, który pozwala synowi na takie głupstwa.

— Ależ, papo... — zasmucił się Karol.

— Puść go — wstawiła się za synem pani Antonina. — Ciągnie go do gór, alpinizm to najlepsza szkoła charakteru.

— Ależ, moja droga, my nie mówimy teraz o alpinizmie, tylko o wspinaczce na głaz. To małpie figle, a nie alpinizm.

— Karol jest dzieckiem. Przecież jako dorosły człowiek nie będzie się wspinał po kamieniach, gdy już odkryje prawdziwe góry. Kiedyś trzeba zrobić pierwszy krok. Ty też nie od razu zostałeś prokuratorem.

— Dobrze. Pozwalam. Ale wiedz, Karolu, że mi się takie wygibasy wcale nie podobają, powinieneś spoważnieć...

Pan prokurator pewnie ciągnąłby wywód jeszcze długo, gdyby jego dotychczas wpatrujący się w niego błagalnym wzrokiem syn nie odwrócił się z okrzykiem: „Dziękuję, Papo!", i nie pobiegł galopem w stronę głazu.

W połowie drogi Karol zreflektował się, że nie może tak dziko biec w stronę głazu, gdyż ten drugi chłopiec mógłby zauważyć, że dzieje się coś podejrzanego i samemu zapragnąć zostać pierwszym zdobywcą Sfinksa. Zwolnił i począł się teatralnie rozglądać wkoło, że niby podziwia piękne tatrzańskie

kwiaty, cudowne owieczki i wsłuchuje się w mowę potoku. Udawanie niewiniątka przerwał mu nagły dreszcz na plecach: gdzie jest ten drugi bachor? Jeszcze przed chwilą, zanim ojciec zaczął przynudzać, bawił się przy wodzie. Spojrzał w stronę kamienia i z przerażeniem odkrył, że od drugiej strony wystaje czubek głowy i dwie wczepione kurczowo w skałę dłonie.

Pobiegł co sił w nogach, okrążył kamień i zobaczył pierwszego w życiu wroga, jak próbuje się podciągnąć na rękach, położyć prawe kolano i łydkę na grani wierzchołkowej Sfinksa. Półtora metra nad ziemią. W instynktownym odruchu chwycił go za stopę i ściągnął w dół. Chłopiec upadł na ziemię i zaczął płakać. Karol, który wcześniej wypatrzył najlepsze chwyty i stopnie, skoczył na ścianę głazu, wbił palce w to samo miejsce, gdzie przed chwilą trzymał je jego przeciwnik i usiłował się z całych sił podciągnąć. Nie potrafił, nogi wydawały się zrobione z ołowiu. Po chwili poczuł szarpnięcie i przy dźwiękach straszliwych wyzwisk: „Ty ośle dardanelski! Poczwaro! Trutniu!", zaczął spadać w otchłań. Poczuł ciepło na kolanie, a po chwili buty na plecach. Stanowił podnóżek dla swego ostrzyżonego „na grzybka" adwersarza w króciutkich porteczkach, który tym sposobem, bezwiednie, stał się pionierem stosowania w Tatrach techniki sztucznych ułatwień. Karol niczym koń próbował go strącić, nie udała mu się jednak ta sztuka, gdyż chłopak szybkim ruchem przeskoczył na skałę. Od wierzchołka dzielił go tylko krok.

Obmyślającego taktykę Karola zawiódł mózg, zawiodły ręce i zawiodły nogi. Postanowił więc skorzystać z ostatniej deski ratunku. Z zębów. Wpił się najsilniej, jak potrafił, w łydkę chłopczyka, który zawył jak nieboskie stworzenie, przez chwilę próbował potrząsać nogą, żeby pozbyć się wgryzionego w siebie intruza, w końcu jednak skapitulował i z bólem puścił głaz. Chłopak był unieszkodliwiony. Leżał w kurzu, cały brudny, z zakrwawioną łydką i beczał. Karol najspokojniej w świecie ułożył ciało na chwytach i stopniach oraz trzema zwinnymi ruchami znalazł się na najwyższym punkcie głazu.

Nigdy później Karol nie potrafił osiągnąć już takiego stanu. Głaz wznoszący się kilkadziesiąt centymetrów nad trawą wydawał się mu najwyższym wierzchołkiem świata, przewyższającym o całe mile pułap chmur, a on sam był najprawdziwszym zwycięzcą. Rozłożył szeroko ręce i skierował twarz w stronę słońca, wydawało mu się, że po drabinie promieni bez problemu doszedłby i tam. Czuł na twarzy delikatny wietrzyk, słyszał płacz upodlonego przeciwnika, a z oddali dochodziły do niego nieco nierealne, przytłumione głosy: „Ale dostaniesz lanie!" i „Co ten barbarzyńca zrobił naszemu Romusiowi?!". Wiedział, że za tę chwilę triumfu zostanie ukarany, ale nie robiło to na nim najmniejszego wrażenia. Było mu tak dobrze.

Drugiego przewodnika do wejścia na Szpiczasty Karol musiał szukać w Szmeksie przez tydzień.

Wszyscy pamiętali ciężką ranę głowy Johanna Hunsdorfera i na sam widok Karola od razu krzyczeli, że jadą odwiedzić rodzinę do Pressburga, że wcześniej obiecali wyprowadzić uczniów ewangelickiego liceum w Kieżmarku nad Zielony Staw, że są obłożnie chorzy lub po prostu uciekali.

Jedynym, na którym obrażenia starego przewodnika nie robiły żadnego wrażenia, był sam Hunsdorfer. Od razu zadeklarował chęć ponowienia ataku. Miał porachunki z górą. Udało mu się nie bez trudu namówić do uczestnictwa w tym zuchwałym przedsięwzięciu drugiego najdzielniejszego spośród smokowieckich Bergführerów – Johanna Strompfa.

Chętnym do towarzystwa był jeszcze syn Hunsdorfera, mimo iż w swojej poprzedniej próbie również przeżył chwile grozy, a nawet załamanie nerwowe, w czasie którego klient – Karl Jurzyca – musiał opuszczać na linie lamentującego przewodnika, wykrzykującego: „Jesteśmy zgubieni, umrzemy tu z głodu!".

Karol nie zgodził się na jego udział. Niech sobie chodzi z Jurzycą, skoro się tak dobrze dogadują.

U kowala zamówili wykonanie długich metalowych haków zakończonych pierścieniami. Musieli płacić gotówką, gdyż i do niego dotarła nowina o stolarzu, który nie otrzymał od Karola należności za mistrzowską robotę meblarską. Cała trójka zamieszkała w schronisku imienia doktora Téryego w Dolinie Pięciu Stawów Spiskich. Zaczęła się żmudna praca nad przygotowaniem drogi na szczyt.

Codziennie wyruszali ze schroniska o świcie i nielegalnie przeprawiali się przez Lodową Przełęcz na północną stronę grani, do włości księcia Hohenlohego, do których turyści nie mieli wstępu. Wykuwali otwory w ścianie, wkładali w nie haki tak, żeby wystawało ucho i zalewali dziury siarką oraz ołowiem za pomocą lamp lutowniczych. Każdego dnia udawało im się osadzić jeden, maksymalnie dwa haki. Gdy już wszystkie dziesięć znalazło się w północnej ścianie, wejście na Szpiczasty niemalże stało otworem. Tylko ta ostatnia część grani wiodącej na wierzchołek z Trupiej Szczerby ponad otchłanią Komina Karola, jak w przyszłości będzie się nazywał... Nikt na świecie nie widział jej z bliska, a z daleka wydawała się ostra jak żyletka i gładka jak lustro. To tam rozegra się prawdziwa walka.

Na dzień przed atakiem szczytowym Karol nie mógł spać. Wyszedł ze schroniska i położył się na trawie niedaleko zarośli litworu. Niebo było rozgwieżdżone, a udające drzemkę tatrzańskie olbrzymy obserwowały go jednym okiem.

Jest 25 sierpnia 1902 roku, pogoda piękna, pierwsze promienie wschodzącego słońca różowieją na wierzchołku Szpiczastego. Przypomina on teraz starożytną latarnię morską. Już niedługo będą widzieli świat z jego szczytu, Karol jest tego pewien. Sanatorium doktora Szontagha śpi, książę Hohenlohe chrapie w myśliwskim dworku w Jaworzynie, w Chacie Téryego młodzi taternicy sapią i dygoczą z zimna pod dziurawym kocem, a Karol w towarzystwie dwóch Johannów wyrusza z Lodowej Przełęczy ścieżką wiodącą do Żlebu Gradu Kamieni.

Doszli do miejsca, gdzie żleb rozdziela się na dwie części – łatwą, prowadzącą na Trupią Szczerbę i niemal pionową wiodącą w stronę wierzchołka. To właśnie tam osadzali haki przez cały poprzedni tydzień.

Było trudno, było pełno przepaści, były luźne kamienie. Nie wydarzyło się jednak nic dramatycznego ani nawet szczególnie ciekawego. Karol był zdeterminowany i w świetnej formie, obyty z przepaściami, obaj przewodnicy to doświadczeni fachowcy. Wszystko szło sprawnie i dość szybko stanęli w miejscu, gdzie komin, którym pieli się do góry przez ostatnią godzinę, doprowadza do zachodniej grani Szpiczastego, tej opadającej na Trupią Szczerbę. Tak wysoko jeszcze nigdy nie byli. Hunsdorfer i Strompf uczcili to solidnym łykiem spiskiej borowiczki, ich klient natomiast uraczył się kofolą.

Dalsza droga okazała się trudniejsza niż cokolwiek, co Karol przeszedł do tej pory. Grań Szpiczastego szczytu spiętrzała się pionowym uskokiem i przypominała gładkością wypolerowaną płytę nagrobną z marmuru. Prowadził Hunsdorfer. Podciągnął się na rękach i wygramolił na dwumetrowy stopień, następnie stanął twarzą do ściany i zaczął posuwać się po małym gzymsie, aż zniknął za przewinięciem grani. Mimo iż naruszał granice posiadłości hrabiego Hohenlohe, w tym miejscu mógł czuć się bezpieczny przed uzbrojonymi strażnikami państewka myśliwskiego. O ile człowiek, którego bose pięty wystają spoza kruchej półeczki ponad trzystumetrową przepaść, może w ogóle czuć się bezpieczny.

Drugi na linie był Strompf. W końcu i on zniknął za winklem. Karol szedł trzeci. Dotarł na półeczkę, przytulił się do ściany i powolutku zaczął posuwać się w stronę swoich przewodników, dostawiając nogę do nogi. Kolana mu się trzęsły. „Po co ja właściwie to robię?" – to pytanie, które pojawiło się w jego głowie bez ostrzeżenia, było początkiem końca. Nagle ogarnęło go nieznane dotychczas uczucie strachu. Dygotał nad przepaścią, widząc między nogami piargi Doliny Jaworowej i nie był w stanie posunąć się ani o centymetr.

Po co narażam życie? – myślał. – Dla poklasku? Żeby lubili mnie polscy taternicy? Dla Liny? Tępa dziewucha wymarzyła sobie romans ze zdobywcą

Szpiczastego Szczytu, pewnie zaraz potem, jak przeszło jej fantazjowanie o zdobywcy Bieguna Północnego, nieznanym synu księżniczki Sissi, pogromcy lwów lub słynnym tenorze, a ja jak ostatni głupek wiszę dla niej nad przepaścią w ciemnej i ponurej ścianie. Ona nie jest tego warta. Co by się stało z matką, gdyby została sama?

Z wolna Karol ruszył i posunął się o parę kroków. Był już bardzo blisko przewodników. Stali na szerokiej półce. Hunsdorfer palił fajkę i pokazywał cybuchem w stronę dalszej części grani, cmokał z niezadowolenia, kręcił głową i powtarzał:

— Przeklęty pies ta góra.

Od półki dzielił Karola jeden duży powietrzny krok ponad przepaścią, gdyż gzyms, po którym pełzł, zatracał się zupełnie.

Czy jeśli runę w dół, to Hunsdorfer mnie utrzyma, czy pociągnę go za sobą jak Douglas Hadow Michela Croza na Matterhornie? A jeśli lina pęknie? Jeśli przetrze się o skały, spadnie na nią ostry kamień? – zastanawiał się.

— No, młody — zachęcał go przewodnik. — Jeden krok i jesteś bezpieczny. Dalsza część grani nie wygląda tak źle, wierzchołek za pięć minut.

Karol wziął głęboki wdech. Nie udało mu się podnieść nogi, była jak z ołowiu.

— W Szmeksie wszystkim oczy zbieleją, wszystkie panny będą twoje, nie tylko Lina — rechotał Hunsdorfer.

Nie chcę jej, nie chcę, powtarzał w myślach Karol. Chodzi o piękno gór, o samopoznanie, o zdobycie najtrudniejszego szczytu w Tatrach.

Nie o tę lafiryndę.

Dalej nie mógł się poruszyć. Wiedział, że manewr nie jest skomplikowany, ot, trzeba po prostu zrobić duży krok. Wystarczy się zdecydować i śmiać się po drugiej stronie z wcześniejszych wahań. Nogi miał mięciutkie, a buty przyklejone do skały.

Nigdy wcześniej nie stchórzył, a nawet nie odczuwał minimalnego strachu. Pomykał chyżo i bez zawrotów głowy. Wiedział, że ten jeden krok dzieli go od wiecznej sławy największego taternika epoki. Ale czy naprawdę tak bardzo chciał tej sławy? Czy po to się chodzi po górach? I czy to uczciwe, żeby on zgarnął śmietankę, mimo że na dobrą sprawę całą robotę wykonali za niego przewodnicy?

— Karol, *geradeaus*! Bo się ściemni!

Wziął głęboki wdech. Chwycił się mocno skały, przygryzł wargi, zamknął oczy i podniósł lewą nogę. Teraz wystarczy się odrobinę wychylić i...

Usłyszał szepty przewodników.

— Co z nim? Chory?

— *Donnerwetter,* jakby pił borowiczkę jak człowiek, to byśmy już dawno byli na wierzchołku... Kofola bez borowiczki. To musi być obrzydliwe!
— Skoro lubi się bać i płaci, niech się poboi...
— Ale czego? Ten odcinek jest łatwy jak ta młoda Konopnicka.
Karol położył nogę z powrotem na gzymsie.
— Cicho — parsknął śmiechem Hunsdorfer. — Bo usłyszy, to jego luba. Zresztą w tym roku już tak łatwo nie jest o jej wdzięki, zaczęła wybrzydzać.
— No. Odmówiła staremu Hansowi Grossowi, bo ma dziewięćdziesiąt lat i ani jednego zęba. I chyba tylko jemu.
— W zeszłym roku miałby szansę — teraz śmiali się już obaj. — Młody chyba dla niej tu lezie na Szpiczasty. To romantyk i jej nie zna. Zaraz się przemoże i tu dojdzie do nas.
— Mam nadzieję. Piździ trochę.
— Ja tam trzymam za niego kciuki. Każdy powinien poznać tę jej sztuczkę z językiem. Wiesz, o czym mówię?
— *Natürlich!*
— No to nie muszę nic dodawać — zakończył poufną rozmowę Hunsdorfer. — Karol! Żyjesz tam? Chodź tu do nas! Jeden duży krok i jesteś na półeczce! Asekuruję cię! Jesteś zupełnie bezpieczny.
Karol przygryzł wargi i zdecydował się iść dalej. Spiął wszystkie mięśnie, oderwał od skały nogę, która wydawała się tak ciężka, jakby ktoś na niej wisiał i kiedy już niemal zrobił krok, poczuł przeszywający ból w łydce, jakby ktoś go ugryzł. Spojrzał w dół, kończyna wyglądała zupełnie normalnie, ale jednak wyraźnie czuł żelazny uścisk zębów.
Przypomniał sobie, jak wspaniale czuł się na wierzchołku Sfinksa, ale równocześnie doświadczył tego paskudnego uczucia spadania w otchłań, gdy po raz pierwszy z kamienia ściągnął go jego kilkuletni przeciwnik. Po sekundzie ból minął i do Karola dotarło, że to jedynie głupia halucynacja. Pomimo to ogarnęła go beznadziejna i niemożliwa do wytłumaczenia niemoc. Dostawił nogę do nogi, a po chwili, ku ogromnemu zaskoczeniu obu Johannów, zaczął powoli wycofywać się ze spuszczoną głową i łzami w oczach.
— Wycofujemy się — zarządził. — Jest zbyt niebezpiecznie.
— Ale, Karol! Co ty opowiadasz?! Już widać wierzchołek, kilka minut i Szpiczasty Szczyt zdobyty. To nie kolejna nieznacząca turniczka do kolekcji, będziesz jak doktor Paccard na szczycie Mont Blanc, jak Whymper na Matterhornie! — krzyczeli przewodnicy.
— Wracamy — pisnął Karol.
— Walcz! Tyle pracy na nic...
— Wracamy.

— Osadziliśmy tyle haków w ścianie... Jutro, pojutrze, za tydzień ktoś tu przyjdzie i z nich skorzysta. Zdobędzie Szpiczasty, będzie dawał wywiady, organizował bankiety...

— Wracamy. Wyprawa skończona.

— A co z Liną? Nigdy się nie dowiesz, co to znaczy...

— ...sztuczka z językiem.

— Zamknijcie się! Wracamy, do stu piorunów! — wybuchnął Karol, który stał już w bezpiecznym miejscu. — Natychmiast do mnie!

Hunsdorfer i Strompf wymienili zaskoczone spojrzenia i z kwaśnymi minami rozpoczęli odwrót. Nad głowami świeciło słońce, wiał lekki wietrzyk, kilka chmurek majaczyło na horyzoncie. Było naprawdę pięknie. Karol siedział na półce skalnej z głową ukrytą między kolanami.

Hunsdorfer położył mu rękę na ramieniu.

— Uspokój się, Karol... Weź się w garść, weź sobie łyk borowiczki i atakujemy jeszcze raz. Jest wcześnie, damy radę.

Chłopiec milczał przez dłuższą chwilę. W końcu podniósł się, wytarł nos w chusteczkę.

— Dziękuję wam bardzo, panowie.

— To jak, pięć minut przerwy i idziemy na wierzchołek? — spytał z nadzieją Strompf.

— Wracamy do Szmeksu.

Cały komin w dół pokonali w milczeniu, nie odzywali się w drodze na Lodową Przełęcz, milczeli koło chaty Téryego, w zupełnej ciszy weszli do lasów Doliny Zimnej Wody i zaczęli schodzić ścieżką ku Wodospadom.

— Dostaniecie wypłatę jak za pierwsze wejście — powiedział w końcu Karol, gdy zbliżali się do Siodełka, a światła Smokowca były na wyciągnięcie ręki. — Tylko proszę was... Nikomu nie mówcie, co widzieliście.

— Obiecujemy — powiedzieli obaj przewodnicy.

Karol wyglądał jak wrak człowieka. Powłóczył nogami, był blady, po drodze dwukrotnie wymiotował. Nie wyleczyła go nawet słynna słowacka nalewka z jałowca, która przecież miała być lekiem na wszystko.

W Szmeksie podziękowali sobie, uścisnęli dłonie i rozstali się w grobowych nastrojach. Karol został sam. W ogóle nie był w stanie wytłumaczyć sobie, co się wydarzyło na górze, czego się przestraszył. Był przekonany, że ruch, którego nie udało mu się wykonać, był bardzo łatwy. Wolnym krokiem udał się w stronę sanatorium, by powiedzieć matce, że atak zakończył się niepowodzeniem.

Nagle odwrócił się na pięcie i udał w stronę urzędu pocztowego. Czuł, jakby prowadziła go tajemnicza siłą, niezależna od jego woli. Stanął przed wej-

ściem i położył rękę na klamce. Kolejny raz tego dnia wziął głęboki wdech i ogarnęły go wątpliwości. Wejść czy nie wejść? Wiedział, że następny krok będzie dalece niebezpieczniejszy niż ten, którego nie udało mu się wykonać kilka godzin wcześniej pod granią Szpiczastego Szczytu.

Zdecydował się. Otworzył drzwi i wszedł na pocztę. Po paru minutach wybiegł. Popełnił największy błąd w życiu i nie było już odwrotu. Do Zakopanego, do Janusza Chmielowskiego, największego autorytetu wśród polskich taterników, nazajutrz dotrze telegram „Szpiczasty wzięty – Carolus Victor".

Do tego czasu trzeba działać. Trzeba użyć Metody K...

Stojąc przed pokojem matki, Karol czuł, że będzie to najtrudniejsza rozmowa w jego życiu. Zostanie wydziedziczony? Wyrzucony z domu? Wyklęty? Czy zostanie spoliczkowany? Czy matka napluje mu w twarz? Na wszystkie te rzeczy jak najbardziej zasłużył. Zapukał.

— Wchodź, Karolku!

— Dobry wieczór, pani matko — przywitał się ponuro.

— Coś taki smutny? Spotkałam Johanna. Jak tylko mnie zobaczył, uciekł. Ty masz minę jak tysiąc nieszczęść. Nie wyszło wam na Szpiczastym, prawda?

— Nie... — odpowiedział Karol i spuścił głowę.

— Co się stało? Było zbyt trudno? Faktycznie jest niedostępny?

— Nie... Trudności są znaczne i jest sporo przepaści, ale do zrobienia...

— A więc? Zabrakło ci siły? Mówiłam: nie włócz się z tymi nicponiami wieczorami, tylko trenuj, trenuj, trenuj. Nic dobrego z tych znajomości nie wyniknie.

— Siły miałem mnóstwo.

— Mieliście wypadek? — zaniepokoiła się Antonina. — Nie widziałam pana Strompfa. Mój Boże, czy coś mu się stało?

— Nie, pani matko. Strompf cały i zdrowy. Zapewne siedzi już w karczmie i pije Bororo.

— Co pije?

— Borowiczkę z kofolą.

— Jedno paskudniejsze od drugiego!

— To jego ulubiony trudnek.

— Powinnyśmy byli zatrudnić tego Klimka Bachledę z Zakopanego. Może i góral, ale przynajmniej by cię nie nauczył tak plugawych słów jak „bororo"... Wracając do tematu: co się zatem stało, panie Karolu? Wiesz, że nazwanie mnie „panią matką" od razu daje do zrozumienia, że coś przeskrobałeś?

— Jeszcze raz powiesz do mnie „pani matko", a zacznę się gniewać. A zatem, co się stało, panie Karolu?

— Stchórzyłem...

— Jak to?

— Tak po prostu. Przestraszyłem się i wycofałem. Nie wiem, czemu. Strach mnie obleciał. Sfuszerowałem. Zrejterowałem. Zdezerterowałem! Jestem tchórzem! Jestem nikim!

— Oj, Karolku, nie płacz — pani Antonina przytuliła nerwowo wymachującego pięściami syna. — Wszystko będzie dobrze. Nie będziesz wychodził po osiemnastej, będziesz się dobrze odżywiał, pił owcze mleko, dużo ćwiczył, pójdziecie z Johannem na kilka innych szczytów dla rozgrzewki i potem zaatakujecie Szpiczasty jeszcze raz. Wiesz, jakie to dla ciebie ważne.

— Nie. Już tam nie wrócę. Nigdy. Nienawidzę tej góry, ona mnie odarła z godności, pokazała mi, jaki jestem naprawdę. Pełzający robak! Larwa! Gąsienica! Poczwara!

— Przestań, Karolku, każdy czasem przegrywa. Nic się nie stało. Weźmiesz się w garść i zdobędziesz górę. Cały świat usłyszy, że to właśnie ty byłeś pierwszym człowiekiem na wierzchołku Szpiczastego!

— Już poniekąd usłyszał... — przecedził przez zaciśnięte zęby.

— Co masz na myśli? — pani Antonina chwyciła go za ramiona i popatrzyła prosto w oczy.

— Ja... Ja... Ja ogłosiłem, że zdobyłem Szpiczasty...

— Co?!

— Wysłałem do Zakopanego, do pana Chmielowskiego telegram, że wyszedłem na wierzchołek. Napisałem też artykuł... Jutro wszyscy będą myśleć, że byłem pierwszym człowiekiem na Szpiczastym Szczycie.

— Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę — pani Antonina zaczęła coraz mocniej oddychać.

— Zabrakło mi tylko dwudziestu, może trzydziestu metrów... — pisnął Karol.

— Kim jesteś?! Nie możesz być moim synem! Karol był uczciwy...

— Mamo, to ja. W artykule napisałem, że zatknęliśmy na wierzchołku biało-czerwoną flagę, która będzie przypominała pruskiemu magnatowi Hohenlohemu, że „jeszcze nie zginęła" — zaczął, siląc się na entuzjastyczny ton. — Że będzie mu stała ością w gardle... Że będzie miał się z pyszna, szczególnie kiedy przegra spór o Morskie Oko... To ważniejsze niż wyjście na głupią górę! Ja pokrzepię serca rodaków!

Przemowę przerwał mu pierwszy w życiu policzek wymierzony przez matkę.

— Oszust będzie pokrzepiał serca! Brzydzę się tobą — pani Antonina nie wytrzymała i zaczęła okładać syna parasolem. — Ty szujo! Łotrze! Kanalio! *Gauner! Ganove! Halunke! Hundekerl! Bastard!* Zejdź mi z oczu! *Raus!* Do pokoju! Spać! Przyniosłeś wstyd całej rodzinie.

Wyszedł.

Nie mógł spać. Przez okno widział szyderczo wykrzywioną twarz księżyca. Leżał w łóżku w turystycznym ubraniu, w podkutych butach, koło niego leżała lina. Być może niedługo jej miejsce zajmie Lina. Ludzie będą go kochać. Wszyscy z wyjątkiem matki i samego siebie. Już czuł na sobie kainowe brzemię sławy.

Drzwi do pokoju się nagle otworzyły. Stali w nich jego matka, stary Hunsdorfer i sprawiający wrażenie mocno pijanego Strompf.

— Ubieraj się, pokrzepiaczu serc — wycedziła przez zęby matka.

— Musimy zejść przed obiadem i nie dać się zobaczyć — obwieściła pani Antonina na wysokiej przełęczy Czerwona Ławka tuż przed wschodem słońca.

— Ty wiesz, Karol, że kiedy weszłam do karczmy, ten tutaj łajdak — wskazała na Strompfa — pił to obrzydliwe Bororo i właśnie opowiadał jakiejś rumianej babie o swoim ostatnim kliencie, który płakał nad przepaścią jak dziewczynka i trzęsły się mu portki? Nie jest pan wzorem dyskrecji, panie Strompf... Idziemy — zakomenderowała.

Po trzech kwadransach cała czwórka znajdowała się na wysokości 2461 metrów na wierzchołku Małego Lodowego Szczytu. Droga okazała się bardzo łatwa, ponadto znana już Hunsdorferowi. Sąsiedni Szpiczasty Szczyt było widać jak na dłoni.

Antonina wyciągnęła z wora turystycznego długi kitel i kapelusz z szerokim rondem. Niezawodny znak, że za chwilę poprosi przewodnika o wykonanie zdjęcia. Pozwalała się fotografować wyłącznie w takim stroju, każdy inny uważała za wysoce nieprzyzwoity.

— Usypcie wysoki kopiec z kamieni — zarządziła, a kiedy mężczyźni już to zrobili, zaczęła ich ustawiać. — Karol, ty staniesz tutaj. Johann, ty połóż nogę na tym głazie, unieś jedną rękę. Masz sprawiać wrażenie bardzo dumnego i zadowolonego. Pan, panie Strompf, wykona fotografię. Uśmiechaj się, Karol. Natychmiast.

Zaraz po zrobieniu zdjęcia zarządziła zejście. Pół godziny później stali na Czerwonej Ławce, a niedługo później już zbliżali się do schroniska imienia doktora Téryego.

— Może mi pani wreszcie wytłumaczy, czemu wyciągnęła mnie pani z karczmy, nawet nie dała dopić Bororo i poganiała całą noc, skoro chciała pani tylko wyjść na Roter Turm?

Karol spojrzał na matkę. Przez całą wycieczkę zastanawiał się, o co jej chodzi, ale bał się zapytać. W ogóle bał się odzywać i bez szemrania wykonywał wszystkie polecenia.

— Dobrze, panowie. Sprawa jest trudna i delikatna, ale gwarantuję, że się wam opłaci — zaczęła Antonina.

— Zamieniamy się w słuch — odpowiedział Hunsdorfer, szczęśliwy, jak zawsze, gdy coś miało mu się opłacić.

— Otóż wszyscy wiemy, jak zakończyła się wasza wczorajsza ekskursja na Szpiczasty Szczyt. Połowicznym sukcesem, że tak pozwolę sobie wasze dokonanie określić. Byliście niemalże na wierzchołku, o mały włos, brakowało wam dosłownie kilku metrów.

— Pani kochana, kilkunastu minut przynajmniej. I to trudnej grani.

— Niech pan nie umniejsza swych zasług, panie Strompf. Z pewnością tylko kilku. Z pana sprawnością... Otóż w podziękowaniu postanowiłam wam wypłacić premię, jakbyście dokonali pierwszego wejścia.

— To już nam wczoraj powiedział Karol... — rozczarował się Hunsdorfer.

— Za każdy dzień pracy — dokończyła Antonina. — Dniówka jak przy pierwszym wejściu za tydzień wbijania haków. Na budowie w Budapeszcie by panowie tyle nie zarobili.

Hunsdorfer i Strompf sprawiali wrażenie zachwyconych.

— Co więcej, uważam, że to nie jest wystarczająca gratyfikacja za wasze oddanie i poświęcenie.

— Kochana pani Antonino, jest pani naszą najlepszą klientką — obaj Johannowie ucałowali jej dłonie.

— Postanowiłam zapłacić wam podwójnie również za dzisiejszą wycieczkę. Dziś wieczorem nie będzie pan, panie Strompf, pił borowiczki z kofolą, ale prawdziwego szampana!

— Kiedy ja wolę Bororo... — zmieszał się przewodnik.

— Jak pan woli. Będzie pana stać na beczkę Bororo.

Oczy Strompfa zrobiły się maślane na samą myśl o tym. Był kupiony.

— Kochana pani Antonino, mam wrażenie, że czegoś pani od nas oczekuje...

— To błahostka...

— Słuchamy — rzekł Hunsdorfer i zakręcił wąs.

— To absolutnie wykluczone! Nie chcę nawet o tym słyszeć! *Ausgeschlossen!* — grzmiał Hunsdorfer.

— Ależ Johannie, to drobnostka. Przecież byliście na grani, a to niemalże wierzchołek.

— Niemożliwe! Nie zgadzam się, przez usta mi to nie przejdzie.

— Powtórzę jeszcze raz: oferuję wam obu roczną pensję.
— Nie będę mógł spojrzeć w lustro. Przykro mi, pani Antonino, nie mogę na to przystać.
— Ale jakoś możesz, Johannie, patrzeć w lustro, kiedy wprowadzasz kolejnych „pierwszych" zdobywców na szczyty, które wcześniej zwiedziłeś z Karolem, tylko inaczej je nazywasz, co?
— To co innego.
— Myślę, że twoja reputacja bardzo by na tym ucierpiała, gdyby ktoś się dowiedział. To byłby koniec pięknej przewodnickiej kariery. A twój syn? Z takim nazwiskiem mógłby prowadzić wycieczki, ale co najwyżej po okolicznych wioskach. W góry nikt by go nie wynajął. Duże macie zapotrzebowanie na przewodników po Spiszu? Był w ogóle kiedyś chociaż w Popradzie? Zna się na architekturze? Historii?
— Czy pani mnie szantażuje? — spytał surowo Hunsdorfer.
— Gdzież bym śmiała — odpowiedziała Antonina, nie pozostawiając wątpliwości, że tak właśnie jest.
— Jeszcze raz. Dniówki za cały sezon, siedem premii za pierwsze wejścia za nasze milczenie, albo zniszczy nam pani życie, dobrze się zrozumieliśmy?
— Nie tylko. Zapytani musicie przytakiwać, że byliście na Szpiczastym. Nasze zdjęcie z Małego Lodowego po retuszu będzie dowodem w prasie.
— To obrzydliwe — ocenił Strompf. — *Das ist widerlich*...
— Ohyda.
— Czyli zgadzacie się, panowie?
— A mamy inne wyjście?
— Kocham cię, mamo — bąknął Karol. — I... przepraszam.
— A ty, mój mały patrioto, siedź cicho i wytłumacz panom, co mają mówić.

CZĘŚĆ IV
CAROLUS VICTOR

Ręce i uśmiechy atakowały zza każdego drzewa.

— Gratuluję, panie Karolu.

— Gratuluję, to było coś wielkiego.

— Najserdeczniejsze gratulacje, to był mały krok dla człowieka, ale ogromny krok dla taternictwa.

— Pańska matka może być z pana dumna.

— Dzisiaj serce każdego Polaka jest rozradowane, że to właśnie pan, nieodrodny syn tej ziemi, zdobył jako pierwszy Szpiczasty Szczyt.

— Gratuluję, panie Karolu. Zawsze w pana wierzyłem, jako jedyny nie zwątpiłem ani na chwilę w sukces pańskiego przedsięwzięcia. Będę nosił do końca mych dni dumę w sercu. Ma pan może pożyczyć do jutra drobną sumę...?

— Pokazał pan tym Szwabom, temu Hohenlohemu, co to znaczy zadzierać z Polakami!

— Szanowny panie Karolu, od zawsze…

Dużo się zmieniło. Zdobywca Szpiczastego Szczytu nie mógł liczyć na jakikolwiek spokój w Starym Smokowcu. Każdy chciał uścisnąć dłoń, przywitać się, porozmawiać przez chwilkę, dać się zauważyć, szczerze pogratulować, a nierzadko poprosić o drobną przysługę. Karol otrzymał kilka propozycji matrymonialnych, niejeden wąsacz w kapeluszu poprosił go o trzymanie do chrztu syna, wnuka, córki czy wnuczki, zapewniając, że dziecku absolutnie nie trzeba kupować zbyt wielkich i przesadnie drogich prezentów. Gałęzie drzew uginały się od dzieciaków bawiących się w zdobywanie Szpiczastego. Zmieniła się również w powszechnej świadomości narodowość Karola. Dla każdego jasnym jak słońce było, że Karol to Polak z krwi i kości oraz że w razie potrzeby stanie murem za rodakiem w potrzebie.

Początkowo te wszystkie oznaki szczerej sympatii bardzo Karola krępowały. Spuszczał wzrok, bąkał pod nosem: „To nic wielkiego", dłonie ściskał lekko i niepewnie, ręce trzęsły mu się podczas rozdawania autografów, a od

zalotnych spojrzeń młodych dziewcząt po prostu uciekał. Dostał nauczkę. Sława, jeśli nie jest zasłużona, nie przynosi radości. Większość dnia spędzał w pokoju, czytając o motylach lub po prostu gapiąc się w sufit. Unikał lustra. Zły sobowtór stojący w owalnej ramie obserwował każdy jego krok. Gdy Karol zbierał się na odwagę, by spojrzeć mu w oczy, ten drugi uśmiechał się szyderczo.

— Idź, porozdawaj trochę autografów — mówił. — Klep ludzi po ramionach, całuj dzieci w policzki, umawiaj się z panienkami. Pozwól, żeby nosili cię na ramionach. Czapki z głów przed zdobywcą Szpiczastego!

Po dwóch dniach zakrył lustro fioletową kapą z łóżka.

Po tygodniu Karol jednak przyzwyczaił się do sławy, a nawet zaczęła mu się ona podobać. Matka wyjechała do Krakowa, po części by opiekować się schorowanym mężem, po części dlatego, że nie mogła wytrzymać brzemienia sławy syna. Człowieka z lustra nie było słychać spod przykrycia, dwaj przewodnicy siedzieli z młodymi mieszkankami okolicznych wsi w karczmie przy borowiczce z kofolą, a ich twarze wyrażały bezgraniczną wdzięczność za zapewnienie im godnego życia i dobrej rozrywki na starość. Nie uciekał od uśmiechów ludzi. Odwzajemniał je początkowo półgębkiem, potem skinieniem głowy, w końcu ukazując wszystkie zęby. Pozdrawiającym go dziewczynom zaczął nawet odpowiadać zawadiackimi mrugnięciami oczkiem.

Przestał unikać rozmów. Zdradzał coraz więcej szczegółów ze zdobycia szczytu: trudności skały, gigantyczną ekspozycję, konieczność przezwyciężenia strachu, czyhające z każdej strony niebezpieczeństwa. Roześmiał się, gdy pewnego poranka obudził go tłumek ludzi skandujących na podwórzu sanatorium doktora Szontagha „Szpiczasty wzięty – Carolus Victor". Wszystkich miło pozdrowił z okna. Pomachał, wygłosił krótkie orędzie. Niektórym z gratulujących mu rodaków pożyczał niewielkie sumy pieniędzy. Stawiał wino, kupował tytoń.

Carolus Victor. Te słowa stały się rodzajem sloganu, powtarzanego przez kobiety i mężczyzn, starych i młodych. Witano się z nim w ten sposób, gdziekolwiek nie poszedł. Tak też zatytułowana była większość artykułów prasowych dotyczących jego osoby w wielu krajach Europy, a nawet w Stanach Zjednoczonych. Nie potrafił zliczyć, ile otrzymał wiadomości tej treści od nadawców znanych i nieznanych, podpisanych i anonimowych.

Pierwszy telegram otrzymał już nazajutrz od zdobycia najtrudniejszej góry w Tatrach. Nieznany adresat wyraził zachwyt w owych dwóch słynnych słowach, które Karol nadał wcześniej do Zakopanego: „Carolus Victor". Gratulowały mu sukcesu niemalże wszystkie liczące się postaci tatrzańskiego i alpejskiego świata. Wiadomości przychodziły z całych Austro-Węgier, z zaborów

ruskiego i pruskiego, z Włoch, Francji i Wielkiej Brytanii. Długi i sympatyczny list przysłał Janusz Chmielowski, od Thomasa Reizenda natomiast otrzymał lakoniczną depeszę ze zdaniem: „Gratuluję wykonanego zadania". Karol szczerze się roześmiał, kiedy przeczytał to zdanie. Niemieccy wspinacze, a szczególnie wojskowy Reizend, nie potrafią wspinać się, zanim nie wyobrażą sobie, że ktoś im wydaje rozkazy: wejdziesz na tę, a potem na tamtą górę, tą, a potem tamtą drogą. Turystyka dla czystej przyjemności nie mieści im się w głowie, nie są w stanie cieszyć się widokiem ani pocałunkami tatrzańskiego wiatru, dopóki nie wyobrażą sobie, że są na wojnie.

Jednak większość wiadomości była anonimowa i zawierała tylko dwa słowa: „Carolus Victor". Przychodziły każdego dnia. I to nie jedna czy dwie, ale kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt. Carolus Victor, Carolus Victor, Carolus Victor, Carolus Victor, Carolus Victor... Zanim Karol pogodził się ze swoją sławą i zaczął czerpać z niej przyjemność, każdą z tych wiadomości traktował jak list nadany przez wyrzuty sumienia, jak depeszę od ukrytego pod kapą złośliwego człowieka z lustrzanego odbicia, który wiedział wszystko o okolicznościach zdobycia Szpiczastego. Z czasem telegramy zaczęły mu pochlebiać, sprawiać radość i wprawiać w doskonały nastrój.

Cieszyło go, dla jakiego ogromu ludzi stał się ważną osobą. Jak wielu postanowiło poświęcić czas, by wysłać mu wiadomość, ilu zapragnęło oddać mu cząstkę siebie w postaci listu czy depeszy. Wiedział, że dla większości stał się chociaż na chwilkę inspiracją, ważną osobą, a nawet kimś bliskim.

Może mój czyn – rozmyślał Karol – choć wcale go nie było, zainspirował innych do zrobienia czegoś dobrego? Może te wszystkie listy to podziękowania? Jeśli tak... postąpiłem dobrze.

Kilka minut dziennie wpatrywał się w rosnące stosy kartek, karteluszków i kopert, które po dwóch tygodniach zapełniały już trzecią część szafy, cały blat stołu i walały się po wszystkich kątach najbardziej luksusowego apartamentu sanatorium doktora Szontagha, gdzie został zakwaterowany na znak szacunku, z drobniutkimi tylko sugestiami, by w wywiadach prasowych wypowiadał się jak najlepszymi słowy o panującym tu luksusie, świetnych warunkach higienicznych, doskonałej obsłudze i wyśmienitym jedzeniu. Rozpierała go duma, choć od pewnego czasu nie czytał ani nie otwierał przeszło połowy wiadomości.

Pewnego dnia, gdy jak zwykle spiski poczciarz wysypał na biurko całą torbę listów, jedna koperta zwróciła jego szczególną uwagę. Otwierał ją tak łapczywie i gorączkowo, że aż przeciął sobie skórę o ostrze papieru. Był to list od państwa Konopnickich.

„Nasz najdroższy Karolu, zdobywco setki szczytów! Serdecznie gratulujemy Pańskiego wielkiego sukcesu na tej wielkiej górze, na którą pan wszedł.

Nasze serca przepełnione są radością. Za tydzień planujemy zjawić się z curkami w Szmeksie. Mamy ogromną nadzieję, że jak co roku będzie tam pan i okaże nam tę łaskę, iż jako długoletni przyjaciel rodziny przyjmie nasze zaproszenie i uświetni organizowane przez nas obchody na cześć Pańskiego sukcesu. Z wyrazami najwyższego szacunku, Konopniccy wraz z curkami".

Słowo „curki" za każdym razem, gdy pojawiało się w tekście, zostało podkreślone podwójną linią. Karol otarł pot z czoła.

Cóż za obrzydliwa pretensjonalność, oburzył się. Pomijając już ten bufoniasty, ohydny język, godny Krakusów, pięknie, że państwo Konopniccy wreszcie sobie o mnie przypomnieli.

Zanim zdobyłem najtrudniejszy wierch tatrzański, Szpiczasty Szczyt, niebotycznego olbrzyma, byłem dla nich nikim. A teraz? Nazywają mnie przyjacielem rodziny, chcą swatać ze mną córeczki. Niezłe ziółka zresztą, jedna dziwka, a druga przemądrzała. Nie dziwię się, że chcą je szybko podrzucić jak kukułcze jaja jakiemuś dobrze ustawionemu frajerowi. Nic z nich dobrego nie wyrośnie.

Tego samego dnia spakował się, wsiadł na furkę i udał się w nieznanym kierunku, co nie uszło uwadze plotkarskiego „Głosu Szmeksu", który poświęcił temu zagadnieniu cały artykuł, zatytułowany „Szok! Nie uwierzysz, dokąd wyjeżdża Pogromca Szpiczastego!!!", ilustrowany zdjęciem Karola wchodzącego do konnego omnibusa.

Tekst, rzecz jasna, niczego nie wyjaśnił.

Po powrocie oczekiwały na niego na podłodze dwa solidne wory listów. Nie przeczytał żadnego, wiedział, jakiej będą treści. Dziesiątki, setki razy te same dwa słowa – „Carolus Victor."

— Kochani, dobrzy nadawcy tych wszystkich listów, trzymajcie kciuki, żebym mógł zakrzyknąć „Carolus Victor" raz jeszcze, tym razem zdobywając coś nieskończenie wyższego niż granitowy bałwan...

W połowie września do Szmeksu przyjechała wypocząć rodzina Konopnickich, a noce stały się dużo zimniejsze, zatem coraz więcej taterników zaczęło schodzić z gór do sanatorium doktora Szontagha na noc.

Rano ściągnął Karola z łóżka listonosz, ale go nie obudził, gdyż biedak nie zmrużył oka całą noc na myśl o nowych gościach w Smokowcu.

Korespondencji było mniej niż zwykle. Około sześćdziesiąt listów od nieznanych nadawców, z których pierwszych dziewięć zawierało słowa „Carolus Victor", a kolejnych pięćdziesiąt jeden nie wiadomo co, gdyż nie zostały otworzone, ale zapewne to samo. Był tam również pachnący bilecik wizytowy od państwa Konopnickich. Informowali Karola, że w „mieście" są już za-

równo oni, jak i ich piękne „curki" i proszą przyjaciela rodziny o informację zwrotną, czy istnieje możliwość zorganizowania nazajutrz rautu na jego cześć.

Karol napisał karteczkę, że przyjęcie organizowane przez tak wspaniałych ludzi to najwyższy honor i że wprost nie może już się doczekać spotkania. Pobawił się chwilę powykrzywianym złotym pierścionkiem w najmodniejszym stylu sezonu – art nouveau – i rzucił okiem na elegancko zapakowany obraz Gustava Klimta leżący pod ścianą między stosami „Carolusów Victorów" – prezent dla rodziców przyszłej panny młodej.

„Jutro czas na świętowanie, dzisiaj trzeba działać!" – pomyślał Karol i wyciągnął z szuflady butelkę Egri Bikáver. Gdy był w połowie, usłyszał spod fioletowej zasłony głos człowieka z lustrzanego odbicia:

— Kup sobie kalendarzyk z poradami, jak się najmodniej oświadczać w tym sezonie! Nie możesz pozwolić, żeby formułka odstawała od tego pięknego pierścionka świeżo zakupionego w Wiedniu. Zapytałeś chociaż w galerii, jaki krój marynarki będzie się najlepiej komponował z obrazem Klimta? Chociaż nie, po co miałbyś pytać. Pewnie sam doskonale to wiesz. Jesteś taki sam jak oni i myślisz tak samo.

— Zamknij się! — burknął Karol do wystającego spod stosów listów fioletowego kształtu.

— Denerwujemy się, co? — zaśmiało się coś pod zasłoną. — Nie dziwię ci się. Lęk przed brakiem akceptacji wyższych sfer to poważna sprawa. Spędza sen z powiek każdego filistra. Nie spało się dzisiaj, co? Ale nie bój się! Jako zdobywca góry jesteś największym hitem sezonu. Popatrz, ile listów dostajesz! Zrobisz większe wrażenie na Konopnickich niż tygrys bengalski w klatce!

— Zamknij mordę! — wrzasnął Karol.

— Nie krzycz tak, bo nabawisz się nerwicy. Przecież jako alpinista stoisz ponad nieoświeconym tłumem! Przy następnej wizycie w Wiedniu koniecznie odwiedź gabinet pana Sigmunda Freuda. Cała śmietanka towarzyska do niego chodzi, nie może przecież zabraknąć na kozetce zdobywcy Szpiczastego Szczytu.

— Cicho bądź! Cicho! Cicho! Zamknij się! Zamknij! — zawył Karol.

— Spokojnie. Radziłbym już tam pojechać. Może zdiagnozuje u ciebie kompleks Edypa, będziesz miał wymówkę do końca życia. Będziesz mógł wszystkim mówić, że nie jesteś oszustem. Że twoje kłamstwa to wina matki.

Niewidoczny człowiek z lustrzanego odbicia śmiał się szyderczo pod fioletowym całunem. Karol łapczywie pił cierpkie wino koloru krwi.

— Ha, ha! Carolus! Raczej Lolek... Loluś. Nie jesteś nawet krok dalej, niż kiedy zrzuciłeś dziecko z kamienia w Dolinie Strążyskiej. Nawet jako gwiazda alpinizmu nie wystajesz spod sukienki mamu...

Karol zamachnął się i z całej siły rzucił niemal pustą butelką w przykryty materiałem kształt. Szyderstwa przerwał odgłos tłuczonego szkła. Walające się po podłodze depesze „Carolus Victor" poczerniały od byczej krwi.

Muszę się uspokoić... Pobiegnę nad wodospady, zbiorę myśli i *wykonam zadanie,* jak to określił poczciwy Thomas Reizend w depeszy gratulacyjnej. Potrzebuję tylko kilku minut, żeby wyjść z domu...

Wyszedł po trzech godzinach, zignorował każdego, kto chciał uścisnąć mu dłoń, poklepać po plecach, wycałować policzki, dać do podpisania artykuł z „Przeglądu Zakopiańskiego" z pięknymi zdjęciami wspinaczek na strome iglice skalne oraz wszystkich innych, którzy zaczepiali go z sobie tylko znanych powodów.

Nad Wielkim Wodospadem, najbardziej uroczą spośród wszystkich kaskad Zimnej Wody, było niemalże pusto. Między kamieniami, przez które przelewała się topiel potoku, przemykały pluszcze. Biegały po tafli wody sprawniej niż najlepsi lekkoatleci igrzysk olimpijskich w Paryżu, a następnie nurkowały z wdziękiem i gracją dalece przewyższającą najsprawniejszych pływaków. Był to czas ich podwieczorku. Karol obserwował kotłujące się i machające ogonkami przy polowaniu ptaszki ze spokojnym uśmiechem. Huk wody odbijany stukrotnym echem przez mokre skały, wiatr szumiący między gałęziami niemal czarnego lasu... Idealne miejsce, by się wyciszyć i zebrać siły przed konfrontacją z dalece trudniejszym przeciwnikiem niż olbrzymie, przyprószone śniegiem góry. Z kobietą.

— Tak bez wina? — z rozmyślań wyrwał go znajomy głos.

— Rozbiła mi się butelka... — westchnął Karol. — Witaj, Mino. Co u ciebie słychać? Jak minęła droga z Krakowa?

— Przyjechaliśmy z Wiednia. Mama miała sesję z panem Sigmundem Freudem, zresztą tak samo jak wszystkie jej znajome. Początkowo była zachwycona, ale kiedy doktor zaczął tłumaczyć jej, o czym tak naprawdę śni każdej nocy, rzuciła w niego trzewikiem, nazwała zboczeńcem i wybiegła z gabinetu. Wszystkim koleżankom powiedziała, że było wspaniale, a Freud to prawdziwy dżentelmen. Rzygać mi się chcę od tego. Lina też do niego poszła, a jak wróciła, to tylko głupio chichotała — Mina wyciągnęła z torby turystycznej butelkę wina, otworzyła ją i usiadła na kamieniu. — Parszywa rodzina.

— Dostałem od twojej matki list...

— Wiem. Już w bardziej bezczelny i pretensjonalny sposób nie można zasugerować komuś znanemu, żeby przygarnął córeczkę i pomógł tym samym rodzicom awansować w hierarchii społecznej. Wydałam córkę za sędziego

— Mina udawała piskliwe głosy pretensjonalnych paniuś. — A moją ma admirał, moją sobie wziął inżynier, a ja... Ja moją oddałam zdobywcy Szpiczastego Szczytu. Okropne.

— Liścik faktycznie był nieco pretensjonalny...

— Pretensjonalny? Proszę cię. To nic w porównaniu z prezentem dla ciebie. Wiesz, co oni ci kupili? Obraz Gustava Klimta. Nigdy wcześniej nie słyszeli, że ktoś taki istnieje, ale u fryzjera jakieś wiedeńskie baby im powiedziały, że to modny malarz i świetna inwestycja. Będziesz miał portret mojej matki, cieszysz się?

— Niezmiernie — odparł nieco zawstydzony.

— Napijesz się wina? Nie wiem, czy samej uda mi się zmęczyć całą butelkę. W sumie to mam w worku jeszcze jedną na wszelki wypadek.

— Przykro mi, ale mam pilną sprawę do załatwienia w Szmeksie. Jestem umówiony dosłownie za kilkanaście minut. Muszę lecieć. Do zobaczenia jutro.

— Jutro?

— No, na przyjęciu na moją cześć.

— Nie wiem, czy chcę w tym uczestniczyć. Myślałam, że ty też nie. Wiesz, że jesteś takim chłopakiem, który robi co prawda wyjątkowe rzeczy, ale szczerze lubi te swoje góry i nie interesuje się sztywnymi bankietami organizowanymi przez krakusów, którzy nawet nie wiedzą, z jakiej okazji świętują i na co wszedł ich bohater. No, nic to... Ananke! Skoro mówisz, że przyjdziesz, pewnie zmuszę się i też przyjdę.

— Trzymam za słowo. Miłego winka. Pluszcze pięknie dzisiaj nurkują.

— Nie wątpię.

Karolowi bardzo trudno było przejść przez Smokowiec niezauważonym.

— Psst — idącego szybkim krokiem, zamyślonego i nerwowym ruchem obracającego obrączkę w kieszeni marynarki Karola z zadumy wyrwał syk dochodzący zza krzaków dzikiej róży. — Psst, tutaj, tutaj.

Westchnął i zszedł z alejki. W miejscu, które stuprocentowo demaskowało człowieka mającego wiele do ukrycia, siedział elegancki mężczyzna w angielskim żakiecie w paski i kapeluszu przewiązanym modną brzoskwiniową wstążeczką, strzygł wąsami i uśmiechał się przyjaźnie. Włożył dużo wysiłku, by wyglądać najuczciwiej, jak tylko się da, kiedy czai się za krzakiem i syczy na przechodniów.

— Panie Karolu, pragnę wyrazić ogromny szacunek dla pańskiego dokonania. Zdobycie Spiskiego Szczytu to naprawdę wielki wyczyn, proszę mi wierzyć jako koneserowi alpinizmu.

— Szpiczastego...

— Tak, Szpiczastego, drobne przejęzyczenie, zdarza się, nieprawdaż? Ale nie wcho- dźmy w detale. Czy lubi pan, panie Karolu, Zakopane?

— Nienawidzę.

— A czy mógłbym się dowiedzieć, czemu? Może przez słabą kuchnię? Źle tam karmią, nieprawdaż?

— A czy ja mógłbym się dowiedzieć, kim pan, u licha, jest i co pan ukrywa?

— Och, przepraszam, gdzie się podziały moje maniery? Nazywam się Hugon B. Adder, jestem reporterem „Przeglądu Kucharskiego" z Lwowa i publikuję pod pseudonimem Pan Ciasteczko, a w zagranicznej prasie jako Black Adder. Moje artykuły tłumaczone są na wszystkie języki i o-pi-nio-twór-cze. A co ukrywam? Słoik eks-klu-zyw-nych konfitur z moreli naszej produkcji specjalnie dla pana, proszę bardzo.

— Szanowny Panie Ciasteczko, jest dla mnie oczywistym, że te morele stanowią preludium do propozycji niejasnych interesów, więc mógłby pan przejść do rzeczy, gdyż bardzo się spieszę.

— Twardy z pana orzech do zgryzienia. A więc wyłóżmy kawę na ławę. Nasz redaktor naczelny, Stanisław Karpowicz, myśli nad założeniem gastronomii pod Tatrami, chrześcijańskiej gastronomii dodajmy. Zakochał się w tych pięknych górach od pierwszego wejrzenia.

— W Zakopanem?

— Tak! Jako żarliwy patriota chciałby na powrót ściągnąć polskich turystów ze Szmeksu i Szczyrbskiego Jeziora na galicyjską stronę. Przyzna pan, że to szczytny cel? Lokal ma mieścić się na Krupówkach, tam, gdzie teraz jest pensjonat Ferdynanda Muchowicza, wie pan, gdzie?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Przez złą kuchnię! Gdyby restauracja należała do Karpia, dawno by pan o niej słyszał. Karp jest niezrównanym restauratorem.

— Naprawdę robi się późno.

— Dobrze, przechodzę do rzeczy. Dzisiejsze czasy nie sprzyjają prowadzeniu restauracji. Szczególnie w Zakopanem. Klientela jest kapryśna i działa według sobie tylko wiadomych praw. Jakość potraw i wypieków nie stanowi jedynego kryterium popularności, teraz potrzeba reklamy, rozgłosu. Rozumie pan. Sam pan dobrze wie, jak ważny jest rozgłos. Kiedyś chrześcijanin zawsze stołował się u chrześcijanina, kupował chrześcijańskie wypieki, a teraz? Żyd się dobrze rozreklamuje i wszyscy wolą zjeść u Żyda ciasteczka mikado oblane lukrem śmierdzącym czosnkiem i cebulą...

— Czego oczekujecie ode mnie? Mam w waszej gazecie napisać, żeby stołować się wyłącznie u chrześcijan, a najlepiej u Karpowicza? Jestem taternikiem, prawnikiem i lepidopterologiem, nie smakoszem.

— Jest pan przede wszystkim znakomitą osobowością, cieszy się pan wielkim autorytetem, nieskazitelną reputacją i jest pan sławny. Pan Karpowicz przeciera w kuchni nowe szlaki, tak jak pan w górskich ścianach, macie wiele wspólnego. Jest też człowiekiem bardzo nowoczesnym. Łopatologiczna, nachalna promocja już nie chwyci w dzisiejszych czasach. To dziewiętnastowieczny przeżytek! Teraz reklamę trzeba uprawiać zupełnie inaczej. Naprawdę liczy się wyłącznie wizerunek i oryginalność. Pan, człowiek, który dokonał czegoś jako jedyny na świecie, a na dodatek posiada wyjątkowy talent literacki, przecież wie o tym najlepiej. Jest pan też świadom, że o ile któryś z pana towarzyszy nie zabije się podczas wspinaczki w spektakularny sposób, pana sława jako alpinisty nie przetrwa zbyt długo. Czasopisma napiszą o kolejnej górze zdobytej przez pana, może o trzeciej, ale opis wejścia na czwartą nie zainteresuje psa z kulawą nogą. Będzie pan musiał wymyślić siebie na nowo, by pozostać na świeczniku, a nie oszukujmy się — sława uzależnia. I tu z pomocą przychodzi „Przegląd Kucharski"!

— Twierdzi pan, że by nie stracić popularności, mam zostać cukiernikiem? Czy też może pisać elaboraty o jedzeniu? To niemożliwe. Człowiek, który doświadczył uczucia podziwiania świata z setek metrów ponad chmurami, nie zdobędzie się na entuzjazm przy opisywaniu smaku napoleonki z konfiturą... Te dwie rzeczy do siebie nie przystają. Polecam w tej kwestii zwrócić się do sędziego von Mais-Kukuruz lub jego córki Hubertyny, będą doskonali do tej pracy.

— Sędzia od dawna jest naszym korespondentem...

— Mogłem się domyślić.

— Nie chcemy pana zatrudnić w redakcji. Mamy dużo ciekawszą propozycję.

— Zamieniam się w słuch.

— Otóż wiemy o pewnym... zdarzeniu z pana życia.

Karola przeszedł dreszcz. Zachował jednak kamienną twarz.

— Jakim?

— Pamięta pan swoją pierwszą zdobytą skałę? Dawno temu, gdy był pan malutki?

— Tak, Sfinks na Polanie Strążyskiej.

— Dokładnie! Tam, gdzie ugryzł pan w nogę kolegę, który chciał pana wyprzedzić. Umiał pan walczyć o swoje, nie ma co!

— Skąd pan o tym wie?

— Mamy swoje źródła informacji...

— Do czego to doszło, jestem inwigilowany przez cukierników! Co będzie dalej? Podsłuchujący kelnerzy? Sprzątacze? Koniec świata! Uprzedzając jednak

wszystko, co chce mi pan powiedzieć: nie dam się zastraszyć. Liczyłem sobie wtedy pięć lat i nie mam żadnych powodów, by się tego wstydzić.

— Ależ, panie Karolu, nie chcemy pana szantażować. Chcemy, by opisał pan to zdarzenie w humorystycznym felietonie, a potem... uczynił to jeszcze raz!

— Jak to jeszcze raz?

— Zwyczajnie. Niech pan znowu pogryzie Kordiana. Na Garłuchu, Łomnicy, nie wiem, na Giewoncie choćby. W jakimś malowniczym i rozpoznawalnym przez czytelników miejscu. O! Wiem! Najlepiej na Spiskim Szczycie!

— Pan ma kuku na muniu, jak mniemam?

— Niczego pan nie rozumie — Ciasteczko pokręcił głową z wyrazem dezaprobaty na twarzy. — To będzie najlepsza kampania reklamowa w całych Austro-Węgrzech. Na dodatek pierwsza, o której ludzie nawet nie będą wiedzieć, że jest reklamą. Koniec ze sztampowymi sloganami typu „Cukiernia W. Chmielewskiego poleca znane ze swej dobroci ciasta, torty, cukry i lody" i bla, bla, bla, że produkty wykwintne, a ceny przystępne.

— Teraz jestem pewien, że jest pan świrnięty, Panie Ciasteczko.

— Proszę dosłuchać do końca. Opublikuje pan wspomnienie o swoim pierwszym w życiu szczycie i pierwszym pogryzieniu. Mamy już adres do pewnego profesora z Krakowa, który zarzeka się, że ma pan ciągotki kanibalistyczne. Następnie będziemy umiejętnie podsycali skandal z pogryzieniem pana Romana na Spiskim Szczycie. Nasi rysownicy przygotują ciąg satyrycznych karykatur, w których przedstawiony pan zostanie jako groźny pies, wampir, lew, tygrys, wilkołak i tak dalej. Do tego nasi specjaliści wymyślą żartobliwe podpisy w rodzaju: „szarlotka z rabarbarem u Karpia smaczniejsza niż mięso alpinisty". Gdy nadejdzie dzień otwarcia naszej restauracji, najbogatsi goście będą mieli możliwość zapłacenia sporych pieniędzy za bycie pogryzionymi przez pana. Odlew pana szczęki zostanie umieszczony również na szyldzie restauracji. Według naszych badań już za dwa lata gryzący się wzajemnie dorośli mężczyźni interesować będą opinię publiczną dużo bardziej niż jakieś tam hasanie po górach. Płacimy gotówką, dyskretnie. Dodatkowo oferujemy dożywotni prowiant w postaci eklerek, ptysiów, babeczek z poziomkami i galaretką oraz pączków z dziką różą. Już nigdy nie będzie pan w górach głodny.

— Nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo jestem zażenowany pańskim pomysłem. Jest to najgłupsza oferta, jaką złożyło mi jakiekolwiek przedsiębiorstwo, a już dzisiaj odmówiłem trzem bardzo durnym propozycjom współpracy, które składali mi ludzie pana pokroju w sąsiednich krzakach. Żegnam.

— Będzie pan żałował.

— Żegnam.

— Ostrzegam pana! Już moja w tym głowa, żeby wszyscy się dowiedzieli, jaka z pana kreatura.

— Żegnam.

— Wampir! Kanibal! Zwyrodnialec! Żydek!

Karol oddalał się szybkim krokiem, nie zwracając uwagi na obelgi rzucane przez wymachującego pięściami Pana Ciasteczko, dochodzące zza krzaka dzikiej róży. Po kilkudziesięciu metrach przestał myśleć o propozycjach współpracy ze znakomitym restauratorem i wrócił do powtarzania w myślach zdania, którym za kilkanaście minut miał się oświadczyć ukochanej.

— Psst… Tutaj! — zasyczał do niego krzew wilczej jagody, za którym wyraźnie widać było kulący się ciemny kształt zwieńczony modnym kapeluszem. Karol zaczął biec.

Przemierzając ponure korytarze gmaszyska sanatorium Szontagha, denerwował się, że nie znajdzie pokoju Liny, jednak spotkany na schodach, czerwony na twarzy, spocony i ledwie zipiący nieznany mężczyzna wskazał mu właściwy numer.

Zapukał, choć nie był do końca do tego przekonany.

— Karolek! Karolek Zwycięzca — Lina otworzyła mu ubrana skąpo, choć w granicach przyzwoitości, za to z uśmiechem dość wyniosłym i ironicznym.

Stała w drzwiach wygięta jak puma z zawadiacko uniesioną jedną brwią, opierając się o górną futrynę. Nawet największy samiec alfa Austro-Węgier miałby na jego miejscu kłopoty z pewnością siebie, a co dopiero Karol, który właśnie w tym momencie z przerażeniem odkrył, że zaczął się jąkać i ma nerwowe tiki na twarzy.

— Cześć, Li-li-lina. Ja-ja przyszed-dłem ci coś po-powiedzieć — zaczął chyba dużo bardziej nieporadnie niż w najczarniejszym z rozpatrywanych przez siebie scenariuszy.

— Taak? — Lina udała zaciekawienie. — A cóż takiego chcesz mi powiedzieć, Karolku?

Jej podniesiona brew wyprowadzała go z równowagi. Nie tak sobie to wyobrażał. Lina powinna mieć maślane oczy i nogi z waty, przecież stoi przed wielkim zdobywcą Szpiczastego Szczytu, jedynym mężczyzną, o jakim śni, o którym fantazjuje i którego pragnie, a tymczasem nic sobie z tego wszystkiego nie robi i jeszcze ironicznie brew unosi, jakby stał przed nią jakiś maminsynek czy uzurpator, a nie największy alpinista swoich czasów.

— Zamurowało cię, kochaniutki? Co takiego chciałeś mi oświadczyć?

Karol każde słowo cedził, jakby wypluwał kamień o średnicy większej od gardła.

— Ja... Chciałem...

Pierścionek w kieszeni piekł mu dłonie.

— A więc... Ja... Chciałem...

Jeszcze raz.

— No... Zatem... Lina... Ja chcę... Chciałbym...

— No śmiało, słodziutki. Nie spiesz się zbytnio, jeśli potrzebujesz czasu — naśmiewała się Lina. — Umieram z niecierpliwości, żeby dowiedzieć się, co takiego masz do powiedzenia, ale poczekam.

Przymrużyła oczy i przygryzła końcówkę palca wskazującego. Karol wziął trzy głębokie wdechy i zdecydował się wykrztusić wszystko na jednym wydechu. Oświadczy się, a potem będzie cieszył się najpiękniejszą kobietą Galicji na wyłączność albo naje się wstydu. Jak w górach: zwycięstwo albo śmierć. Lub wstyd. Gdy przez gardło na świat przedostał się kamień pierwszej głoski, spostrzegł obrączkę na palcu Liny. Złotą, misternie zdobioną, powyginaną, jak najbardziej w stylu art nouveau i jak najbardziej świadczącą o byciu czyjąś żoną. No, ale cóż, skoro już zaczął zdanie, głupio byłoby nie dokończyć...

— Lina, chciałem ci powiedzieć, że zaręczyłem się dzisiaj z twoją siostrą — wypalił.

Lina zbladła i opuściła figlarnie uniesioną brew. Pewność siebie opuściła ją jak powietrze przekłuty balon. Jej oczy na chwilę powiększyły się do wielkości tych tatrzańskich stawów, do których tak często porównywały je trzy pokolenia podtatrzańskich grafomanów. Nie była to jednak kwestia poetyckiej metafory, a ogromnego zdziwienia. Nie w ten sposób miał dla niej szczekać ulubiony piesek. Chwila sflaczenia trwała krótko. Lina błyskawicznie wzięła się w garść.

— A czy moja siostra o tym wie?

— Tak. Zostałem przyjęty. Będziemy niedługo małżeństwem. Uczcimy to podczas jutrzejszego bankietu. Tak jak ty i... No właśnie: i kto? Kordian? Żętyca? Któryś z taterników niemieckich lub węgierskich? Stary Hunsdorfer? A może wszyscy naraz?

— Chyba zgłupiałeś. Nigdy nie wyszłabym za nikogo, kto zbyt często chodzi w góry. Ojciec mnie przestrzegał, że alpiniści to najnudniejsi ludzie świata, że już lepiej mieć męża-awanturnika, hazardzistę i alkoholika niż ponuraka. Dzień w dzień wysłuchiwać jak wisiał na opuszkach palców nad przepaściami jakiegoś Piczastego Szczytu czy Dupiastego Wierchu i patrzeć, jak całuje na dobranoc swoje bicepsy? Po moim trupie!

— A więc kto jest tym szczęśliwcem?

— Ktoś dobry, bogaty, świeżo owdowiały, szalenie mnie kochający i pobłażliwy dla moich, że się tak wyrażę, słabostek.

— Cesarz Franciszek Józef?
— Nie, ale byłeś blisko. Jestem teraz panią sędziną von Mais-Kukuruz.
— Chyba się przesłyszałem! Wyszłaś za stutrzydziestokilowego nudziarza z córką cięższą od fortepianu?
— Zapewniam, że się nie przesłyszałeś. Wyszłam za sędziego Christopha Kukuruza, który zresztą jest teraz moim mężem. Nie byłam początkowo zachwycona, ale przekonał mnie do siebie z biegiem czasu. W sumie to jestem teraz bardzo szczęśliwa. Tego właśnie oczekiwałam od życia. Stabilizacji, zrozumienia i bezpieczeństwa. Ostatnio nawet z Krzysiem się zastanawialiśmy, czy nie byłbyś dobrą partią dla naszej Hubertyny. Bardzo się jej podobasz, mimo że uważa cię za takiego troszkę dzikuska. Ona chyba lubi sportowców.
— Pewnie dlatego, że sama sportowo zajmuje się jedzeniem bez i pikli...
— Ten żart rozbawiłby mnie rok temu. Teraz jestem jej macochą i stoję za nią murem — oświadczyła surowo Lina. — Nie wiedziałam, że kochasz moją siostrę — dodała po chwili.
— Świetnie się maskowałem.
— Jakoś nie wspominała, że ma zamiar wychodzić za mąż, a już tym bardziej nie wspominała, że chce wyjść za ciebie. Kiedy matka zasugerowała Minie, że powinna zainteresować się Zdobywcą Trudnej Górki, dostała po głowie tomem wierszy Micińskiego.
— Twoja siostra również świetnie się maskowała. Jak przystało na przyszłą żonę niemieckiego szpiega, którym, jak zapewne wiesz, byłem do dwudziestego piątego sierpnia. Przynajmniej według wszystkich wokół.
— Ciężko mi w to uwierzyć. Jej zawsze podobał się Thomas Reizend.
— Reizend? — niemal krzyknął.
— Wiesz, ten Niemiec od stawania na baczność, salutowania, wykonywania zadań, rozkazów, nakazów i pilnowania porządku. Jako jedyny w Szmeksie nie leciał na mnie. Poza tobą, rzecz jasna, koteczku.
— Wiem, który, chodziłem z nim trochę po górach. Nie miał o tobie najlepszego zdania, to porządny człowiek. Może byłoby inaczej, gdyby mu wmówić, że posiadanie wielu kochanków to rozkaz, który wydało ci centrum dowodzenia czy coś takiego. Z pewnością by nie drążył, czy w ogóle coś takiego istnieje, po prostu cieszyłby się, że jest jakaś instancja, która to reguluje, i z radością pomógłby ci wykonać rozkaz. On lubi takie instancje.
— Dokładnie. Nie wiem czemu, ale imponowało to mojej siostrze. Ja też oczywiście przez pierwszy sezon rozmyślałam, jak go zwabić do swojego pokoju. Intrygował mnie. Ambicja nakazywała mi znaleźć jakiś sposób, żeby go uwieść, wytrącić z codziennej rutyny, sprawić, żeby wyszedł ze skóry nakręcanego żołnierzyka. Jednak był twardy i nie uległ. Złościłam się, ale szybko

mi przeszło. Dotarło do mnie, że to nie człowiek, tylko chodząca dusza narodu niemieckiego. To już wolę takich dzikusów jak ty — pogłaskała Karola po ramieniu.

Wyraźnie podobało mu się, kiedy Lina zdradzała się ze swym wyrachowaniem.

— Nigdy nie zwracałaś na mnie uwagi...

— Właśnie po to, żeby ją zwrócić. Mój mąż wróci z Popradu za trzy godziny, pojechał po pachnące mydła.

— I zapasy jedzenia dla córki. Słyszałem plotkę, że w zeszłym roku zakradła się nocą do kuchni doktora Szontagha, zjadła cały gar zupy szczawiowej i dwa kurczaki.

— A ja słyszałam, że wcale nie byłeś na tym Szpiczastym Szczycie, tylko zrobiłeś sobie zdjęcie na kupie kamieni i przekupiłeś przewodników za dożywotnie zapasy ginu z jałowca. Nie trzeba wierzyć we wszystko, co ludzie gadają. Zresztą Hubertyna wcale tak dużo nie je. Potrzebuje więcej kalorii niż rówieśniczki, bo dużo się rusza. A tę zupę zjadła całą, bo światło było zgaszone i w ciemności myślała, że łyżka jest dużo mniejsza. Trzy razy podniosła ją do ust i zupa znikła. Twoje złośliwości są bardzo urocze. Twoje poczucie humoru jest ostre jak brzytwa. Kobiety to cenią.

— Obiecuję nie słuchać i nie powtarzać już plotek. Niedługo przecież zostaniemy rodziną. Bardzo się cieszę, że porozmawialiśmy. Do zobaczenia, idę do narzeczonej.

— Zamknij drzwi.

— Zawsze zamykam za sobą drzwi, też jestem z dobrej rodziny.

— Nie, Karol. Zamknij drzwi, ale zostań w środku. Jest jeszcze jedna sprawa, ale musimy ją załatwić w pokoju.

Zamknął drzwi jak kazała i poszedł za nią dokładnie tak posłusznie, jak miał się zachowywać od samego początku rozmowy.

Niektóre pieski trzeba tresować dłużej niż inne, pomyślała Lina.

Takiego widoku w górach Karol nie doświadczył jeszcze nigdy. Jedyne, do czego potrafił porównać owo nowe przeżycie, to moment, w którym po mozolnym podejściu trawiastym, wilgotnym zboczem poprzetykanym niewielkimi skałkami, wychodził na siodło przełęczy, a druga strona grani ukazywała nagle wszystkie wdzięki. To moment, gdy przez przeszło godzinę wpatrywał się tylko w czubki podkutych butów i ręce wczepiające się w kępki stromych traw, aż w jednej chwili twarz zaczynały smagać podmuchy wiatru, do uszu docierały odgłosy pasterskich dzwonków, a oczy atakował widok dziesiątków postrzępionych grani i kilku mrugających w dole błękitnych stawów. Tak!

Jedynie do widoku z niezdobytej przełęczy potrafił porównać to, co ukazało się jego oczom w sypialni Liny.

Podobnie jak w przypadku ujrzenia setki znanych wierzchołków z nowej perspektywy i w nieznanej wcześniej konfiguracji, potrzebował kilku sekund, by ułożyć tańczące plamy kolorów, cieni i świateł w ciało Liny. Kiedy zrozumiał, co widzi, odebrało mu zmysły. Nie mógł się poruszyć, gdyż każdy ruch był Liną. Nie mógł nic usłyszeć, gdyż każdy dźwięk wypełniony był Liną. Widział tylko Linę, czuł tylko Linę i smakował tylko Linę. Lina oplatała go.

Zaczął wędrować po niej wzrokiem. Muskał spojrzeniem jej obojczyki i nakręcał w wyobraźni loki na palec. Opuszkami palców pieścił wewnętrzne części ud, uczył się na pamięć wgłębień i wypukłości żeber. Lizał uszy i pępek końcówką języka. Wąchał puszystą kępkę włosów na łonie, delikatną niczym przekwitła sasanka. Patrzył na jej piersi. Sutki w jego wyobraźni stwardniały jak granit. Chwycił je delikatnie dwoma rękami i zaczął pieścić kciukami. Nigdy dotąd nie dotykał dziewczęcych piersi, chociaż nie do końca wiedział, czy dzieje się to na jawie, czy tylko we wnętrzu głowy. Czuł je jednak palcami i jeśli było to złudzenie, to najpiękniejsze w jego życiu. Piersi Liny były doskonałego kształtu wylizanych przez lodowiec otoczaków i idealnie mieściły się w dłoni.

Cóż za wspaniałe chwyty, pomyślał. Trudność zero plus. Łatwo, co najwyżej nieco trudno. Gdybym mógł się czegoś takiego złapać w drodze na Szpiczasty...

Chwilę napawał się tą piękną myślą, aż nagle zrozumiał pewną rzecz lepiej, niż kiedykolwiek wcześniej. Doszło do niego, jaki jest jeszcze dziecinny.

Otrząsnął się. Nie wiedział, ile trwała jego wyobrażona podróż po ciele Liny. Kilka sekund? Kilkanaście? Minutę, kwadrans, godzinę? Piękna sędzina patrzyła na niego przymrużonymi oczyma z lekkim uśmiechem polującej lwicy.

Możesz mnie mieć ten jeden jedyny raz.

— Ale ty masz męża... A ja na-na-na-rzeczoną — wyjąkał.

— Możesz mnie mieć jeden jedyny raz — wycedziła Lina zimno, jakby wydawała rozkaz.

Po chwili dodała bez większych emocji w głosie:

— Dowiesz się, na czym polega moja sztuczka z językiem.

— Czy to dlatego, że zdobyłem Szpiczasty Szczyt?

— Nie. Chcę, żeby mój mały Karoluś Wiktuś wreszcie naprawdę poczuł się zwycięzcą. Chociaż przez chwilę. Taka przyjacielska przysługa. Nic nie powiem siostrze ani mężowi, nie bój się.

Na przełęczy... Wspinać się dalej granią ku niezdobytemu wierzchołkowi czy wycofać w doliny? Czy wejście na szczyt to naprawdę zwycięstwo? Zawsze,

gdy targały nim wątpliwości w górach, rozmawiał z mamą. Rozejrzał się. Pani Antoniny w sypialni nie było.

Nigdy nie biegł przez Smokowiec tak szybko. Chciał zdążyć nad Wodospady Zimnej Wody z pierścionkiem, zanim Mina sobie pójdzie. No i zanim wytrzeźwieje.

CZĘŚĆ V
WIELKA WERYFIKACJA

Karol długo się zastanawiał, co napisać w liście do pani Antoniny. Jak się usprawiedliwić ze spoufalenia z niewłaściwym towarzystwem? Jak wytłumaczyć, że jest już dorosły? Ostatecznie postawił na krótki i oszczędny w środkach przekaz: „Mamo, chyba się żenię".

Na suto zastawionym stole stały dwa pięknie udekorowane kandelabry oświetlające wykwintne potrawy, w tym lodowe desery specjalnie sprowadzone na tę okazję konnymi omnibusami z Wiednia. O ścianę oparte były dwa obrazy Gustava Klimta oprawione w złote rzeźbione ramy, z których jeden udekorowany był piękną kokardą w seledynowe grochy. Zgromadzonym przy stole czas umilały rozpoetyzowane, romantyczne walczyki grane przez najlepszych górnowęgierskich muzyków, którzy do Szmeksu ściągnięci zostali z dalekiego Pressburga. Z kwaśnymi minami obserwowali ich z boku sali członkowie kameralnej orkiestry ze Szmeksu. Kelnerzy donosili coraz to nowe butelki wytrawnego wina, ciasta, sorbety oraz talerze egzotycznych owoców.

Prawie wszyscy zgromadzeni na sali balowej sanatorium doktora Szontagha wiedzieli, że oto najmłodsza córka państwa Konopnickich znalazła partię godną swego wysokiego urodzenia i przyjęła zaręczyny największego alpinisty swoich czasów, zdobywcy Szpiczastego Szczytu, doktora praw, Karola von E. de Payne. Kto natomiast tego nie wiedział, mógł łatwo uzupełnić wiadomości z leżącej na każdym stole okolicznościowej ulotki wydrukowanej już kilka tygodni wcześniej w Wiedniu, na polecenie matki Miny, lub dopytać o szczegóły jednego z wynajętych przez jej ojca szeptanych informatorów robiących sztuczny tłok na sali, wychwalających urodę młodej narzeczonej i przypominających o osiągnięciach jej wybranka.

Pan Konopnicki strzygł wąsami i dolewał wszystkim wina. Co jakiś czas wybuchał głośnym śmiechem i krzyczał tubalnym głosem: „Ho, ho, ho, moja córcia, kto by pomyślał?". Jego żona rzucała ukradkowe, nerwowe spojrzenia

na przyszłego członka rodziny, na przepełniającą ją dumą kokardę w grochy, którą sama wybrała do udekorowania obrazu Klimta, oraz na szarą masę ludzi siedzących przy innych stolikach. Widok miała rozległy, gdyż zarezerwowała dla rodziny miejsce na podwyższeniu, na scenie. Miała pięknie ułożone włosy i pomyślała, że ten alpinizm wcale nie jest taki głupi, skoro umożliwia obserwowanie ludzi z góry. Sędzia von Mais-Kukuruz wkładał do ust nogi kurczaków. Jego córka również wkładała do ust nogi kurczaków. Lina patrzyła w drugą stronę, piła wino i obdarowywała całą salę uśmiechem. Karol sprawiał wrażenie dość zdenerwowanego. Brudził co chwilę obrus, mankiety jego koszuli nurkowały w zupie, przebierał nerwowo nogami i przygryzał skórki palców. Raz na jakiś czas ktoś podchodził poklepać go po plecach, pogratulować, poprosić o autograf lub o drobną sumę. Czasami był to kelner wręczający mu drobny karteluszek, perfumowany liścik lub rulonik przewiązany kokardką w seledynowe grochy. Nie wyglądał na zbytnio zadowolonego z ich treści, choć zapewne były bardzo miłe. Z tyłu sali plotkowano, że jest bardzo wyniosły i nie szanuje swoich miłośników, którzy przecież ciężko harują na takich jak on bogatych, zadufanych w sobie darmozjadów. Obserwowany z daleka sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie czytał listów, tylko rozkładał i rzucał je z powrotem na tacę kelnera z rozczarowanym wyrazem twarzy człowieka, który z góry znał ich treść. Chwilami próbował bezskutecznie rozmawiać lub żartować z przyszłą żoną. Mina natomiast bawiła się apatycznie groszkiem nabitym na widelec, nie odzywała się do nikogo i nie cieszyła chwilą. Marzyła o tym, żeby zniknąć. Albo lepiej – nigdy się nie urodzić. Wino natomiast piła. I to dość szybko. Nikt jednak z tego powodu nie zwracał jej uwagi, gdyż każdy zajęty był własnymi sprawami.

Wtem na salę weszło pięciu mężczyzn w strojach turystycznych sprawiających wrażenie dusz, które dopiero co uciekły z Hadesu.

Znowu... – pomyślał Karol.

Mężczyźni powolnym krokiem sunęli w stronę sceny, łypiąc dzikimi oczyma na lewo i prawo niczym wyjęci spod prawa kowboje w czarnych kapeluszach. Przy każdym stole, który mijali, milkły rozmowy i gasły świecie. Tatrzańska wersja gangu Daltonów doszła do stolika państwa Konopnickich. Cała piątka stanęła w rozkroku, z założonymi rękami i groteskowo groźnymi wyrazami twarzy. Kordian miał zmrużone oczy, zmarszczony nos, a w kąciku ust źdźbło trawy. Zygmunt-Klemens, Jurek Żętyca i Karl Jurzyca brzęczeli złowrogo hakami. Hugon B. Adder, zwany Panem Ciasteczko, uśmiechał się ponuro i mlaskał demonicznie.

Demonicznie mlaskał również sędzia von Mais-Kukuruz, który nie przerwał jedzenia. Mina milczała tak jak dotychczas, ale nie zaprzestała zabawy

groszkiem. Pozostali biesiadnicy jednak zamilkli i wpatrywali się we wpatrujących się w nich mężczyzn. W końcu Pan Ciasteczko dał sygnał, a Trzej Muszkieterowie i Jurzyca skierowali na Karola odrapane od szorstkiego tatrzańskiego granitu paluchy i chóralnie zakrzyknęli:

— Metoda K! Metoda K! Metoda K!

Karol ziewnął.

— Carolus Victor? Raczej „Couche de liquor"!

— Panowie, czy moglibyście mówić do mnie w zrozumiałym języku? Niekoniecznie po polsku. Może być francuski, pod warunkiem, że poprawny.

— Metoda K! Metoda K! Metoda K!

— Miał pan rację, kiedy mówił córkom, że od wspinaczki się wariuje — zwrócił się Karol do zaskoczonego ojca Liny i Miny, któremu z wrażenia oklapły wąsy. — Ci tutaj to najlepszy na to dowód. Jak widać, dotyczy to przede wszystkim alpinistów ambitnych, ale bez znaczących sukcesów.

— Panie Karolu — wtrącił się Hugon B. Adder. — Tym dżentelmenom chodzi dokładnie o to, że i pan nie posiada na swoim koncie znaczących sukcesów, a jedynie o nich mówi. Gdyby zbliżył się pan odrobinę do naszego środowiska taternickiego, którym pan, jako niemiecki arystokrata z pochodzenia, pogardza, wiedziałby pan, że nazywa się to, bardzo zresztą adekwatnie, „karolowaniem". W największym skrócie: ci panowie twierdzą, że pan bajdurzy.

— Bajdurzy w jakiej kwestii? — zainteresowała się matka Miny.

— W kwestii Szpiczastego Szczytu, psze pani — odpowiedział Kordian.

— Nie jestem odpowiedzialny za fotografie w prasie. Te faktycznie nie oddają do końca rzeczywistości. Są nieco zbyt... pionowe — sprostował Karol.

— Nie chodzi o retuszowane przez pana Schabenbecka fotografie... — zaczął Karl Jurzyca.

— Ale o to, że Karol wcale...

— Wcale co!? — warknął na Kordiana Karol.

— Że wcale na Szpiczastym Szczycie nie był.

— Powtórz to, psie.

— Nie byłeś na Szpiczastym Szczycie! — wrzasnął Kordian. — Chodziło ci o sławę, kobiety, pieniądze, zainteresowanie i leczenie swoich kompleksów. Karol ma kompleks Edypa, jak nie wierzycie, to poczytajcie dzieła Zygmunta Freuda.

— A ty masz kompleks Karola, żałosny nieudaczniku — niespodziewanie stanęła w jego obronie Lina. — I małego...

Nie zdążyła dokończyć, gdyż ojciec zatkał jej usta ręką.

— Pani sędzino. Nie wypada... — parsknął śmiechem Kordian. — Wszyscy wiemy, co Karol chciał zdobyć najbardziej. Może to nawet zdobył. Zna-

jąc panią, zaryzykuję stwierdzenie, że niemal na pewno to zdobył. Nie był to jednak Szpiczasty Szczyt.

Karol chciał wstać, powstrzymała go pani Konopnicka.

— Ma pan jakieś dowody?

— Pan Strompf przyznał się, że zgodził się kłamać o zdobyciu wierzchołka za...

— Cały Szmeks wie, że pan Strompf jest alkoholikiem. Wszyscy wiedzą również, że przyzna się do każdej niedorzeczności za butelkę borowiczki.

— Tym razem jednak nie kłamał...

— Skąd pan wie? Ma pan jakiś dowód?

— Szanowna pani — odpowiedział jej Pan Ciasteczko. — W tej właśnie sprawie przyszliśmy. Jako tatrzański korespondent lwowskiego czasopisma „Przegląd Kucharski" bardzo leży mi na sercu przyszłość i dobre imię środowiska taternickiego. Zależy mi też na honorze waszej rodziny, w końcu jej członkiem jest pan sędzia Kukuruz, jeden z największych galicyjskich koneserów kulinarnych oraz mój serdeczny przyjaciel. Nie chcemy, żeby szacowna familia Konopnickich stała się przedmiotem szyderstw przez niewłaściwe zachowanie i konfabulacje tego oto młodego człowieka.

— Co ma pan zamiar zatem zrobić? Zjeść mnie? — zapytał Karol.

— Proszę nie być nietaktownym. Mam zaszczyt ogłosić wszem i wobec, iż „Przegląd Kucharski" jako pierwsze w historii czasopismo obejmie patronatem i będzie sponsorować wyprawę tych trzech dzielnych, młodych Polaków i jednego prawie Polaka ze Śląska. Celem będzie dokonanie pierwszego wejścia na Szpiczasty Szczyt oraz weryfikacja przeinaczeń, konfabulacji i karolowań pana Karola. Będzie to pierwsza w historii alpinizmu Wyprawa Weryfikacyjna.

— Ale co i jak chcą panowie zweryfikować? Sprawdzić, czy nie ma mnie na wierzchołku?

— Wiadomym jest, że pan E. na każdym szczycie zostawiał wizytówki — ciągnął dalej Adder — mające poświadczyć, że to właśnie on jest jego pierwszym zdobywcą. Jeśli na wierzchołku Szpiczastego nie znajdziemy jego bilecików wizytowych, może to oznaczać tylko jedno — informacja, jaką opublikował w prasie, jakoby był on pierwszym zdobywcą tej pięknej góry, jest fałszywa. Dodatkowo uczestnicy Wyprawy Weryfikacyjnej wykonają na wierzchołku fotografię z płachtą, na której wyszyty będzie slogan reklamujący restaurację pana Karpowicza oraz zjedzą wspaniałe ciasto biszkoptowe z nadzieniem z ćwikły polanej delikatnym musem czekoladowym, najnowszej kulinarnej innowacji Karpia.

— Pychota! — Hubertyna aż klasnęła w ręce. Karol na nią syknął.

— Panie Ciasteczko. Alpinizm zawsze był sztuką i drogą życia. Pan swoją wyprawą zmieni go w cyrk.

— To pan zmienił go w cyrk. Czy chce pan tego czy nie, nasza wyprawa odkryje przed opinią publiczną pańskie kłamstwa, zajadając się przy tym wyśmienitymi frykasami z kuchni pana Karpowicza. Wielka Wyprawa Weryfikacyjna wyrusza jutro, szczyt planujemy zdobyć maksymalnie za trzy dni. Poprowadzi ją doświadczony przewodnik pan Johann Strompf, który zna masyw Szpiczastego jak własną kieszeń. Ja natomiast, jako opiniotwórczy i tłumaczony na wiele języków dziennikarz, zajmę się jej dokumentacją. Żegnam.

Kordian, Żętyca, Klemens i Jurzyca synchroniczne unieśli czekany w stronę nieba, ukrytego przed ich wzrokiem za sufitem sali balowej.

— Żegnamy cię, Karolku.

— Żegnam was, idioci.

Dalsza część kolacji przebiegła w bardzo napiętej atmosferze. Tylko pan sędzia i jego córka debatowali z uśmiechem na temat potraw, które Wyprawa Weryfikacyjna zabierze ze sobą na wspinaczkę. Mimo że sami należeli do ludzi raczej najedzonych, zazdrościli młodym taternikom perspektywy objadania się podczas wycieczki. Hubertyna żałowała, iż nie zasugerowała Panu Ciasteczko, żeby chłopcy zjedli na wierzchołku Szpiczastego karpia. Byłaby to taka metaforyczna reklama. Karp jako danie reklamą Karpia – restauratora. Sędzia Kukuruz popatrzył na córkę.

— Moja krew! — powiedział, wysysając szpik z kurzego udka.

Pani Konopnicka patrzyła na Karola surowym wzrokiem.

— Mam nadzieję, że ci panowie nie posiadają żadnych podstaw, by twierdzić, że nie byłeś na Szpiczastym Szczycie. Sam rozumiesz, że z oczywistych powodów, jeśli się tak okaże, będziemy musieli zerwać zaręczyny.

Mina nie wytrzymała, cisnęła w ścianę tacką, na której stało kilka salaterek z waniliowym budyniem, po czym – zanim Hubertyna zdążyła się z tego powodu rozpłakać – wstała i odeszła od stołu nerwowym krokiem.

Karol przeprosił zgromadzonych i wyszedł za nią. Kilka osób buczało na niego zza stołów, krzyczano: „oszust", „zdrajca" i „karolowanie". Inni z kolei klaskali w dłonie i skandowali „Ca-rolus-vic-tor! Ca-rolus-vic-tor!".

Długo pukał do drzwi Miny, zanim zdecydowała się otworzyć. Miała spuchnięte oczy i poczerwieniałą od płaczu twarz. Na stoliku nocnym stały dwie butelki wina: pesymistycznie pusta i optymistycznie w połowie pełna.

— Przyszedł do ciebie cały worek listów — bąknęła Mina. — Pierwsze trzy były o treści „Carolus Victor", dalszych nie czytałam. Leżą w kącie. Gratuluję!

— Mina, ja cię przepraszam za tę całą sytuację — Karol usiadł koło narzeczonej. Spuściła głowę i się nie odzywała. Próbował ją objąć w pasie, ale się wyrwała.

— Zrozum, to nie jest moja wina, że tak wyszło... Też mi się nie podobała muzyka, ta cała pretensjonalna otoczka, te obrazy Klimta. Te ulotki na wszystkich stołach były żenujące. Nie wiedziałem, że oni przyjdą i będą gadać takie rzeczy. Ja naprawdę przesadziłem z tymi retuszami fotografii i trochę przekoloryzowałem te artykuły, ale uwierz mi, nie kłamałem, że byłem na wierzchołku. Naprawdę tam byłem, nie obrażaj się. Słyszysz, ślicznotko... Nie okłamywałem cię ani przez chwilę. Ani nikogo... My zrobiliśmy tę drogę z Hunsdorferem i Strompfem. Trzy dni wbijaliśmy haki i...

— Zamknij się wreszcie! — wrzasnęła Mina. — Długo jeszcze będziesz mówił o sobie i o jakiś górkach?

— Myślałem, że o to się obraziłaś...

— Bo jesteś zadufanym w sobie kretynem.

— Czyli nie obchodzi cię, czy byłem na Szpiczastym Szczycie?

— Powiedz jeszcze jedno zdanie o sobie... to ci pierdolnę!

Tak sformułowana istota problemu przez drobną i delikatną dziewczynę zadziałała natychmiastowo. Karol przejrzał na oczy.

— Przepraszam, jeśli poczułaś się ostatnio pominięta...

— Pominięta? Wychodzę za mąż i nikt mnie nie pyta o zdanie w żadnej kwestii. Nie odezwałam się dzisiaj ani słowem i nikt nawet tego nie zauważył! Matka drukowała ulotki o tym, że wychodzę za mąż za zdobywcę Trudnej Górki, jeszcze jak byliśmy w Wiedniu, zanim nawet pomyślałeś, żeby mi się oświadczyć. Nawet Lina pewnie wiedziała przede mną...

— To nieprawda, ukochana — Karol przytulił ją, pocałował w policzek i dyskretnie otarł o jej włosy kroplę potu, która pojawiła się mu na czole ze zdenerwowania. — Przecież oświadczyłem się z własnej woli, a nie z powodu listu od twojej matki. I przyjęłaś mnie osobiście.

— Świetny wybrałeś moment. Obudziłeś mnie, jak spałam pijana nad rzeką, zacząłeś coś wrzeszczeć o ślubie i wsadziłeś mi pierścionek na palec.

— Ale zgodziłaś się...

— Tak.

— Czemu?

— Nie wiem. Wiem, że jesteś zakochany w mojej siostrze i że dla niej robiłeś tę całą szopkę w górach. Rzygać mi się chciało, kiedy patrzyłam, jak się przechwalasz, jak chodzisz po Szmeksie, pusząc się jak paw, jak klepiesz się z ludźmi po plecach. Byłeś absolutnie obrzydliwy...

— Spróbuję cię kochać...
— Wspaniała deklaracja. Każdemu życzę, żeby usłyszał coś takiego po zaręczynach.
— Naprawdę spróbuję. Już zacząłem. Kocham cię. Twoja siostra nic już dla mnie nie znaczy.
— Od kiedy?
— Od dawna...
— Nie kłam, bucu.
— Od kilku minut. Zrozumiałem, że to o ciebie mi chodziło, kiedy zagroziłaś, że mi, jak to określiłaś, pierdolniesz... To tak wulgarne, że nawet nie wiem, co to znaczy.
Mina zaśmiała się.
— Jesteś straszliwie głupi. Głupi i dziecinny. Miałam powiedzieć: „ale przynajmniej szczery", lecz teraz już wiem, że jesteś szczery bardzo rzadko.
— Czemu zatem przyjęłaś oświadczyny? Tylko dlatego, że byłaś pijana...
— Nie wiem... Chyba po prostu lubię głupków...
— A serio?
— Zawsze mi się podobałeś — wyznała i od razu wróciła do normalnego, ironicznego tonu. — No i było mi przykro, że przeze mnie wpakowałeś się w ten cały burdel z tą górą. Powiedziałam ci, że Lina chce się oddać zdobywcy Szpiczastego, bo chciałam cię ukarać za to, że za nią latałeś jak jakiś piesek kanapowy, chociaż powinieneś być ponad to. Jej natomiast powiedziałam, ha, ha, to strasznie głupie, że podoba mi się Thomas Reizend.
— Czemu?
— Przecież go znasz. Wiedziałam, że Lina od razu się na niego rzuci. Nigdy nie interesowało go latanie za spódniczkami. To chłop z zasadami, w odróżnieniu do ciebie. Jedyny przyjeżdżał do Szmeksu i chodził po górach dla siebie i gór, a nie z setki innych powodów. Ją też chciałam ukarać. Ani z jednym, ani z drugim mi nie wyszło.
— A ja już miałem ukręcić łeb temu Thomasowi z zazdrości...
— Tak? A ja byłam na Szpiczastym Szczycie w zimie...
— Masz charakter...
— Teraz zauważyłeś? Szkoda, że późno, ale chwała ci za to, że i tak jesteś pierwszy. Jak zawsze i wszędzie.
— Ja...
— Ty to bądź cicho... — przerwała mu Mina i przyłożyła usta do jego ust. Wstała i pchnęła go na łóżko, siadła na nim okrakiem i zaczęła rozpinać koszulę. Karol całował ją po szyi.
Tego wieczora oboje kochali się po raz pierwszy w życiu.

Leżeli nago przytuleni do siebie, oświetleni bladym światłem księżyca.

— Karolku, opowiedz mi bajkę na dobranoc — szepnęła mu do ucha.

— O czym chcesz usłyszeć?

— O górach.

— O górach? — zdziwił się Karol.

— Tak, ale nie o wspinaczce. Coś ładnego. Coś jak... Tetmajer. Potrafiłbyś?

— Spróbuję — powiedział Karol i zamyślił się na chwilę.

Pocałował ją w ucho i zaczął snuć opowieść…

W Dolinie Staroleśnej juhasi śpiewali, zaganiając owce do koszaru. Wrześniowy wieczór cieniem wspinał się po zboczach Jaworowego Szczytu, Strzeleckiej Turni i, z najwyższą przyjemnością, po graniach Szpiczastego Szczytu, na których nie stanął jeszcze żaden człowiek. Stary baca w szałasie pucył, czyli ugniatał ostatniego tego dnia oscypka, pykając przy tym fajkę. Miał niespodziankę dla młodych juhasów Karola i Miny. Z Liptowskiego Mikułasza przez Szczyrbskie Jezioro przyszedł do Szmeksu stary druciarz Jano i sprzedał mu litr wybornej palenki. Takiej wódki, jaką tylko po węgierskiej stronie u stóp Liptowskich Hol potrafią zrobić. Zostało jeszcze pół. Rozgrzeją się przed snem. Owce beczały, a ich dzwonki zbyrcały, szczekały owczarki – cała polana wypełniona była tą wspaniałą, starodawną muzyką hal i fioletem jesiennych goryczek. Nagle spostrzegł, że jedna owieczka stoi na skraju lasu pod cieniem smreka i nie idzie za stadem, nie zważając nawet na groźne ponaglenia psów pasterskich. Stary Baca poszedł sprawdzić. Podszedł do owieczki, a ta wybeczała smutnym głosem:

— Bee, baco. Inne uowiecki robią sobie ze mnie śpasy... Jest mi przykro.

— Cemu? — zapytał baca, drapiąc się ciupagą za uchem.

— Bo jestem albinosem... — owca spuściła pyszczek i popatrzyła sobie w raciczkę.

— Ale, śliczniuchna moja uowiecko, przeca jesteś jak syćkie inne. Pódź hań do potoka i pożryj do wody. Kufa jak syćkie uowiecki, bioła wełna jak syćkie uowiecki, raciczki jak syćkie uowiecki.

— No właśnie. Białe owce-albinosy wyglądają zupełnie jak normalne... — rozpłakała się owca i odwróciła do bacy zadem.

Baca wrócił do szałasu. Dokończył pucenie oscypka. Jak to robił, to sobie tak dumał:

— Jak Jano będzie tu następny roz, to mu powiem, coby wódkę wzion z Popradu, a nie z Mikułasza, bo ta Luptowska to jakasik mocnawa.

Zawołał Karolka i Minę. Spali tej nocy dobrze, ale jakoś tak straszno im było.

Mina również spała. Karol pocałował ją jeszcze raz w ucho i obiecał sobie, że będzie jej wierny.

Naga kobieta, obok której leżał Karol, rozpłynęła się w nocnych mgłach i okazała się po prostu turystycznym czekanem o długim stylisku. Obudził się pod gołym niebem Doliny Staroleśnej. Spał na przyniesionym z sanatorium Szontagha kocu, pod głową miał linę. Chwilę głaskał czekan pieszczotliwie, a potem podpalił przygotowane poprzedniego dnia gałązki kosodrzewiny i zagotował wodę na herbatę. Napił się, zjadł kilka plasterków schabu i marcepanowe pralinki, które podkradł ze smokowieckiej kuchni, wstał i przeciągnął się.

Szpiczasty Szczyt wyglądał jak baszta zaklętego zamczyska, na którą olbrzymy założyły wielki, czarny surdut. Mimo iż wznosił się tuż obok, wydawał się zupełnie nierzeczywisty. Karol nie bał się go w ogóle.

Ja jestem tu, a szczyt jest tam. Jedyne, o co mi chodzi, to żebym ja był tam i zobaczył z góry moje tu. Nic więcej. Wszystko, co pomiędzy, jest nieistotne. Mogę po drodze nawet śpiewać, choć nie umiem.

Przejaśniło się w okolicach Trupiej Szczerby, którą zdobył bardzo szybko. Posiedział na niej chwilę, racząc się mocno uwędzoną kiełbasą myśliwską i bez zbędnej zwłoki wszedł na grań. Chyżo przemknął przez gładką płytę, która kiedyś skojarzyła mu się z nagrobkiem, a teraz z niczym konkretnym i dalej piął się w górę ostrzem grani. Doszedł do miejsca, gdzie dalsza droga granią stawała się zupełnie niemożliwa i bez zastanowienia ruszył poziomym trawersem prowadzącym w urwiska północnej ściany.

Doszedł do półki, na której tak długo kiedyś stał sparaliżowany strachem. Rozśmieszyła go tylko. Przeszedł ją dwoma susami i usiadł na początku żeberka, do którego za pierwszym razem dotarli dwaj doświadczeni przewodnicy. A więc to było takie łatwe? A więc istota wyczynu polega na tym, żeby dokonać go na tyle wcześnie, aby wszystkim innym ludziom wydawał się trudny? Zanim będzie tu przychodzić stu turystów dziennie? Czy może chodzi tylko o to, żeby zostawić niewidzialny ślad i przypieczętować go widzialnym bilecikiem wizytowym? Czy tak niewiele trzeba, by być sławnym i kąpać się w pieniądzach?

Karol siedział na żeberku, zbierając siły na nietknięty dotychczas ludzką stopą fragment Węgier, a okoliczne góry zaczynały rozpalać się czerwoną łuną. Spisz i Podhale spały pod płonącymi chmurami. Wtem na skale obok jego ręki usiadł motyl.

Co to jest? – pomyślał. – Nigdy takiego nie widziałem. Tak wysoko? To będzie jeden z najlepszych okazów do mojej kolekcji... Jakaś górówka? Za wysoko i zbyt późno. Nawet na halnika kruczaka zbyt ciemny i za duży.

Owad wystartował i siadł na skalnym występie kilka metrów wyżej. Karol zerwał się i kocimi ruchami doskoczył do niego. Motyl był ogromny i nie-

mal zupełnie czarny. Jego skrzydła nie wydawały się płaską powierzchnią, lecz bezdenną dziurą. Ich ciemność nie tyle przyciągała oko, co hipnotyzowała. Znów odleciał i znalazł sobie miejsce oddalone o jakieś dziesięć kroków.

Zawsze, kiedy Karol dochodził do śledzonego motyla, ten zmieniał miejsce. Leciał wyżej i wyżej, a chłopak gonił go w trudnym skalnym terenie. Nie zwracał uwagi na przepaści ani na widoki. Wokół pokazywały się coraz dalsze plany, postrzępione łańcuchy płonących czerwonym blaskiem gór za łańcuchami.

W końcu motyl zniknął za zębem skalnym. Żeby się na niego dostać, trzeba było mocno podciągnąć się na rękach. Karol chwycił kamień oburącz i z przerażeniem odkrył, że jest luźny. W ułamku sekundy udało mu się puścić głaz i odskoczyć na niewielką platformę. Obserwował z mocno bijącym sercem wantę wielkości szafy, która leci w dół i rozbija się na coraz mniejsze kawałki, powodując przeraźliwy huk odbijający się od skalnych ścian stukrotnym echem. Hałas jeszcze nie ucichł, kiedy w powietrzu pojawił się czarny motyl. Najwidoczniej siedział na szczycie głazu, z którego przed chwilą Karol niemal spadł na same dno Doliny Jaworowej, kończąc życie. Owad chwilę kołował w powietrzu, nie mogąc zdecydować się na żadne konkretne miejsce. Chłopak starał się śledzić go wzrokiem. Oślepiły go promienie wschodzącego słońca. Stracił wymarzony okaz z oczu. Kilka następnych metrów w górę prowadziło łatwą granią. Karol postanowił dotrzeć na jej spiętrzenie i stamtąd spróbować wypatrzeć swoje niebywałe odkrycie. Gdyby udało mi się go złapać i opisać – rozmyślał na spiętrzeniu grani – byłaby to furora w świecie lepidopterologów, a może nawet wszystkich entomologów. Pisałyby o tym czasopisma. Może nawet dałbym mu łacińską nazwę *Carolus*?

Po krótkiej euforii nadeszła chwila zwątpienia.

Znowu... Znowu ja, ja, ja. Znowu myślę tylko o tym, jaki będę sławny i jak to wykorzystam. Po to goniłem tego motyla? A może w ogóle nie mam pasji? Ja chyba tak naprawdę nie interesuję się tymi górami i tymi motylami, a tylko sobą, sobą i sobą... Czy sława w środowisku lepitopterologów to jest to, do czego dążę w życiu? Takie jest moje przeznaczenie? Zostać opisanym w encyklopedii? Jestem gotowy ryzykować dla tego życie? Nie lepiej cieszyć się tym, że widziałem pięknego motyla? Ale przecież cieszyć się potrafi każdy głupek z krakowskiej ulicy... Ja wiem o tych motylach dużo więcej od innych. Jestem ekspertem! Ale... czy to takie straszne czasem być zwykłym?

Podniósł głowę i rozejrzał się. Droga w każdą stronę prowadziła w dół. Był na szczycie Szpiczastego Szczytu. Kilkanaście sekund siedział bez ruchu, podziwiając panoramę. Wyciągnął z plecaka pęto kiełbasy myśliwskiej, ugryzł i uśmiechnął się.

— Ładnie tu — powiedział z pełną buzią. Dookoła nie była nikogo, Karol uznał jednak za oczywiste, że musiał powiedzieć to na głos. Pierwszy raz w życiu czuł Obecność.

— Gdzie jest ładnie? — spytała Mina.

— Co? — odpowiedział zdziwiony Karol i otworzył jedno oko.

— Gdzie jest ładnie? — zapytała jeszcze raz. Było jeszcze zupełnie ciemno, widział tylko kształt jej piersi i włosów opadających na ramiona.

Nie odpowiedział.

— Całą noc się wierciłeś. Mam nadzieję, że to wyjątkowa sytuacja, bo jeśli tak będzie zawsze, to będziemy musieli po ślubie spać w osobnych łóżkach.

— Wiesz... Miałem koszmary.

— Trudno. A teraz wstawaj. Już spakowałam ci plecak.

— Słucham?

— Nie bój się, wiem, co turyści biorą na wycieczki. Czytałam przewodnik Eljasza. Masz menażkę na wodę, trochę schabu, marcepanowe pralinki i dwa pęta kiełbasy myśliwskiej. Podkute buty i czekan stoją pod oknem, kapelusz, sweter i lornetka wiszą na wieszaku przy drzwiach. Wszystko przygotowałam już przed kolacją.

— Nie rozumiem.

— Nie masz rozumieć, tylko ruszyć dupę.

— Gdzie?

— Pod Szpiczasty.

— Czemu?

— Jak to, czemu? — zaśmiała się Mina. — Żeby nie przynieść wstydu naszej rodzinie.

— Ale ja...

— Nie chcę tego słuchać. Masz minutę. Tylko daj buziaka na drogę i uważaj na widma Brockenu i czarne motyle. Słyszałam, że to wróżby tragicznej śmierci. Nie zapomnij o bilecikach wizytowych. Pamiętaj, jeden zagrzeb głęboko, w osobnym pudełeczku, żeby wiatr nie zdmuchnął.

Dał narzeczonej buziaka, ubrał się, założył kapelusz, rozpłakał się, przestał płakać, wziął wór turystyczny, jeszcze raz dał buziaka narzeczonej i wybiegł.

— Proszę, przyniosłem sześć worków prowiantu na atak szczytowy. Jest gęsina, słoik wywaru mięsnego z winem porto, cieniuteńkie sznycelki, ciasto biszkoptowe z nadzieniem z ćwikły polane delikatnym musem czekoladowym, suszone owoce, ponoć najlepsza rzecz, jaką można jeść w górach, indyjska herbata oraz piersiówka litworówki dla każdego — przywitał wszyst-

kich na Smokowieckim Siodełku Hugon B. Adder. — W pana worku, panie Romanie, znajduje się płachta z wyszytym napisem „U Karpia najwyższy poziom smaku". Pan Strompf jako przewodnik będzie nieść aparat fotograficzny.

— Pięć worków na atak szczytowy wystarczy — powiedział zimno Kordian.

— Czemuż to?

— Z powodu bezpieczeństwa towarzyszy nam pan, panie Ciasteczko, tylko do najwyższego piętra doliny, do podstawy ściany Szpiczastego. E-wen--tu-al-nie może pan podejść na pobliską Jaworową Przełęcz lub na Lodową. Pan Johann chętnie pana zaprowadzi za drobną opłatą.

— Ale umawialiśmy się...

— To moje ostatnie słowo. Nie da pan rady. Po pierwsze, będzie nas pan opóźniał, po drugie, z powodu wielkiej trudności i ekspozycji drogi, byłoby za duże ryzyko niepowodzenia przedsięwzięcia.

— Ale...

— Nie chce pan chyba, żebyśmy nie zdemaskowali pana E.?

— Ja...

— Pan Karpowicz byłby niepocieszony, gdybyśmy nie zrobili zdjęcia na wierzchołku, prawda?

— Prawda. Ale pozwolicie mi iść, jeśli udowodnię, że jestem dobrym turystą i nie będę zawadzał? — zapytał z nadzieją Adder.

— Oczywiście. Jeśli wykaże się pan bohaterstwem na drodze do górnych pięter Doliny Staroleśnej, rozważymy możliwość pana udziału w ataku szczytowym — uspokoił go Kordian.

— Wspaniale! — ucieszył się Pan Ciasteczko.

— Może pan zacząć od wniesienia wszystkich worków i aparatu fotograficznego — zarządził Kordian, a Żętyca, Klemens, Karl Jurzyca i Stary Strompf wybuchnęli śmiechem, potwierdzając, że ten rodzaj bohaterstwa ich z pewnością przekona.

Chcąc nie chcąc, dziennikarz objuczył się worami. Jak jak.

— A pan, panie Johannie, będzie pełnił rolę przewodnika dopiero od przełęczy. Znamy drogę i nie chcemy słuchać po drodze, jakie widzimy kwiatki i gdzie w Tatrach mieszkają smoki. No i nie musi się pan dziś ukrywać przed nami z tą piersiówką.

Stary przewodnik skinął głową wyraźnie zadowolony i wziął solidny łyk borowiczki.

Ze ścieżki, od strony gór, wyszedł niespodziewanie Karol. Był wyraźnie zmęczony, ale sprawiał wrażenie zadowolonego. Ku zaskoczeniu Kordiana nie wdał się z nim w żadne kłótnie, tylko z uśmiechem życzył powodzenia wyprawie i zaczął zbiegać do Szmeksu.

— To co, kochani? — zakrzyknął entuzjastycznie Pan Ciasteczko. — Gotowi, by zacząć Wielką Wyprawę Weryfikacyjną?

Hugonowi Adderowi odpowiedziało milczenie, które towarzyszyło mu przez całą drogę do Doliny Staroleśnej. Wór na plecach bardzo ciążył, ale nikt nawet nie myślał o tym, żeby na niego poczekać. Gdy doczłapał do wielkiego głazu, koło którego towarzystwo rozpaliło ognisko, wszyscy byli już po kolacji. Podziękowali za przyniesienie prowiantu. Obwieścili mu, że niestety szedł za wolno, żeby myśleć o Szpiczastym Szczycie. Wyrazili swój smutek z powodu tego, że pod kamiennym dachem znajduje się tylko pięć miejsc i on, jako ostatni, będzie musiał spać pod gołym niebem, po czym wrócili do górskich rozmów przy borowiczce i kofoli.

Na Trupią Szczerbę doszli bardzo zmęczeni. Najpierw wymęczył ich Adder, szczebiocąc rano jak zegar z budzikiem w poniedziałkowy poranek: „Nie zapomnijcie o rozwinięciu płachty od mecenasa! Zdemaskujcie kłamcę! Udokumentujcie wszystkie szachrajstwa! Nie zapomnijcie oblać gęsiny mięsnym wywarem ze słoika! Fotografia szczytowa jest rzeczą zasadniczą! Najlepiej, żeby było widać na niej również ciasto biszkoptowe z nadzieniem z ćwikły polane delikatnym czekoladowym musem!"

Potem wymęczyła ich góra. Droga była zbliżona do pionu, bardzo trudna i wymagająca. Wydawało się, jakby drzewa w Dolinie Jaworowej rosły bezpośrednio pod stopami. Były malutkie jak biegające w trawie żuczki w oczach kogoś, kto nie rozumie gór i nie wie, że widziany z sąsiedniej grani sam również jest taki maluteńki. Strompf starym przewodnickim zwyczajem ciągle klął pod nosem „przeklęty pies ta góra!". Kordian wiedział, że wejście Karola na Trupią Szczerbę jest pewne i niemożliwe do podważenia. Był tam już wcześniej również Jurzyca. Mimo to widok haków w drugiej, trudniejszej części ściany, tych samych, o których czytał w „Roczniku Węgierskiego Towarzystwa Karpackiego", rozczarował go. Burzył wizerunek Karola jako absolutnego mitomana, kłamiącego w każdym wypowiadanym zdaniu, który Kordian pracowicie stworzył sobie w głowie. Widok namacalnych śladów po poprzedniej wyprawie stał mu ością w gardle, jakby haki nie były wbite w granitową ścianę, ale bezpośrednio w jego mózg. Pozostałych trzech chłopaków też solidnie się napracowało i bardzo wymęczyło.

— Stąd trzeba iść trawersem — zaczął stary przewodnik. — Miniemy dwa żeberka skalne. Albo trzy. Albo nie, dwa i dojdziemy do takiej półeczki pod odpychającą skałą. Z niej na kolejne żeberko w stronę grani i dalej nie wiem, jak iść, ale nie wydawało się to trudne.

— To skoro nie wydawało się to trudne, to czemu nie weszliście na wierzchołek?
— Karol się przestraszył półeczki. Zarządził odwrót.
— Jaka była wtedy pogoda?
— Piękna.
— Było ślisko?
— Skała była sucha i szorstka jak papier ścierny.
— Nic nie rozumiem.
— Ja też.

Niedługo potem posileni gęsiną dotarli do półki, z której nastąpił odwrót zespołu Karola. Mimo dużej ekspozycji wszyscy przeszli przez nią chyżo i bez zawrotów głowy.

— Nie wydaje mi się, żeby Karol miał tutaj problemy... — zaczął niepewnie Karl Jurzyca.
— Dokładnie, nie taternik tej klasy — potwierdził Żętyca.
— Może go przecenialiśmy? Może on wcale nie jest takim wybitnym turystą górskim, jak twierdzi?
— Z tak imponującą listą dokonań? — zdziwił się Klemens.
— A może on kłamał o wszystkich lub prawie wszystkich dokonaniach? — zasiał nutkę niepewności Kordian. — Może nigdzie nie był? A co, jeśli jego matka i ten dziadek zapewniali mu alibi?
— Ale Johann Hunsdorfer dalej twierdzi, że byli na Szpiczastym, a z całym szacunkiem, ma troszkę trzeźwiejszą głowę niż pan Strompf — zasugerował Karl Jurzyca.
— Wypraszam sobie — mruknął przewodnik i kiedy nikt nie patrzył, szybkim ruchem wyciągnął z kieszeni spodni piersiówkę.

Niestety, kiedy w pośpiechu próbował odkręcić zakrętkę, wypadła mu z rąk i poleciała w przepaść. Trzech Muszkieterów patrzyło na niego ze zdziwieniem pomieszanym z politowaniem. Stary przewodnik wzruszył ramionami:

— No cóż. Teraz będę musiał wypić do końca. Mówiłem, że przeklęty pies ta góra.

Ruszyli dalej.

— Świeży obryw — wskazał Klemens. — Wygląda, jakby ząb skalny urwał się pod czyimś ciężarem. Panie Johannie, czy jest pan pewien, że nie doszliście tutaj z Karolem?
— Gadasz bzdury — ofuknął go Kordian. — Przecież poleciałby na dno Jaworowej. Śmierć na miejscu. Pójdę przodem.
— Panie Romanie, ja jestem przewodnikiem, a pan nie jest nawet pełnoletni.

— Ale to ja jestem kierownikiem wyprawy. Pójdę przodem — Kordian rozwiązał węzeł i nie czekając na towarzyszy, ruszył w górę.

Minął obryw wyróżniający się białą barwą od niemal czarnych skał kopuły szczytowej Szpiczastego Szczytu, podciągnął się na rękach na ząb skalny i wyszedł na grań. Skakał po wielkich głazach w stronę jej spiętrzenia z prędkością spłoszonej kozicy. Nie mógł się doczekać, aż zdobędzie wierzchołek. Jakaś wewnętrzna siła mówiła mu, że nie może się to stać za kwadrans ani za dziesięć minut. Natychmiast! Musi zdobyć wierzchołek natychmiast. Koniecznie chciał stać na nim przez chwilę sam.

Szczyt! Widok! Odczuwanie! Piargi Strzeleckich Pól z mrugającymi do południowego słońca Siwymi Stawami i Strzeleckimi Okami oraz piramida Strzeleckiej Turni, za której wierzchołkiem widoczne były zielono-rude pola Spiszu, zamknięte wałem Niżnych Tatr! Wieże Jaworowych Szczytów sprawiały wrażenie, jakby chciały wyrwać się z ziemi i poszybować do nieba niczym aeroplan. Zza pleców groźnie obserwował je Szczyt Franciszka Józefa zwany przez Polaków Garłuchem, pilnując, żeby nie wykonały swojego zamiaru i nie oderwały się od Austro-Węgier, dając sygnał innym krainom. Z drugiej strony Lodowy przytłaczał ogromem, a ostry wierzchołek Pośredniej Grani przebijał kłębiastą chmurę, która chciała ukryć go przed wzrokiem ciekawskiego turysty. W takiej sytuacji każdy prawdziwy turysta, oczywiście posiliwszy się uprzednio, powinien stanąć na wierzchołku, przyłożyć dłoń do czoła i zadumać się nad odwieczną pieśnią ducha gór odbijającą się echem od pradawnego granitu dumnych krzesanic i wiszarów. Powinien myśleć wyłącznie o wieczności, nieśmiertelności duszy, potędze przyrody i tym, jak te wszystkie sprawy opisać wieczorem damom na tyle ładnie i przystępnie, żeby same mogły się zadumać. Kordiana natomiast wszystkie te rzeczy nie obchodziły ani trochę.

Jedyny widok dalszego planu, jaki go interesował, to cztery kształty podążające granią w stronę szczytu. Po upewnieniu się, że nikt nie dojdzie do niego przez następne trzy, cztery minuty, całą uwagę skoncentrował na dokładnym przeszukaniu rozpadlin między kamieniami.

— Tutaj nic. Nic. Nic — szeptał do siebie, nerwowo wkładając dłonie w każdą wnękę i przeczesując drobny siuter. — Nic, nic, nic.

Nic, nic, nic.

Sam nie wiedział, czy chce coś znaleźć, czy nie. Obie perspektywy bardzo go denerwowały.

Nic, nic, nic.

Coś rozsadzało go od środka.

Nic, nic, nic...

Nieważne, czy Karol był tutaj, czy go nie było. Ważne, co on z tą wiedzą potem zrobi. Co?

Nic, nic, nic!

Usłyszał za plecami hałas drobnych kamyczków spadających stumetrową przepaścią i rozmowy towarzyszy. Za chwilę tutaj będą.

Nic, nic... Coś!

Ręka natrafiła na malutką szkatułkę. Wziął trzy oddechy, zanim zdecydował się ją otworzyć. Gdy już się zdecydował, wziął jeszcze dodatkowe trzy oddechy. W środku pudełeczka znajdowała się malutka karteczka. Żyły pulsowały mu na skroniach i wiły się jak wściekłe węże. Na karteczce widniał napis:

„Karol Ritter von E..... de Payne, doktor nauk prawniczych".

Nic, nic, coś... Metoda K.

Głowa, barki i ręce Johanna Strompfa pojawiły się na wierzchołku Szpiczastego Szczytu sekundy po tym, jak Kordian nerwowym ruchem włożył szkatułkę do kieszeni spodni. Zaraz potem na szczycie zjawiły się również pierwsze części ciał Klemensa i Żętycy, a w końcu cali towarzysze. Karl Jurzyca nie zmieścił się na wierzchołku i czekał troszkę niżej na swoją kolej. Wszyscy byli bardzo szczęśliwi. Obejmowali się nawzajem, klepali po plecach, krzyczeli. Gdyby tylko mieli pistolety, strzelaliby na wiwat. Kordian musiał również udawać szczęśliwego, ale nie potrafił. Karteczka w kieszeni paliła go jakby ukradł z ogniska węgielek.

— I jak, mistrzu? — zapytał Klemens.

Kordian stanął na baczność na samym wierzchołku wierzchołka, dyskretnym ruchem otarł rękawem łzę z policzka i rozłożył szeroko ręce.

— Jam jest posąg człowieka na posągu świata!

I pomyślał, że choć powiedział prawdę, nie był z tego dumny.

— Znalazłeś coś?

— Ani śladu. Karola tu nie było.

— Jesteś pewien?

— Ponad wszelką wątpliwość.

— Gratuluję panom, jesteście pierwszymi zdobywcami Szpiczastego Szczytu — powiedział Strompf. — W kwestii dodatku do dniówki za pierwsze wejście...

— ...musi się pan zwrócić do Pana Ciasteczko. To on jest przedstawicielem sponsora wyprawy.

— O właśnie, reklama naszego szacownego mecenasa, pana Karpowicza. Musimy zrobić jej zdjęcie — powiedział Strompf, wyciągając aparat fotograficzny z worka.

— Nie zrobimy żadnego zdjęcia — uciął Kordian, chwytając go za rękę.

— Czemu?
— Bo nie. Nie damy świniom tej satysfakcji.

— *Hände hoch!*
Karol nie wiedział, kto krzyczy, ale na wszelki wypadek podniósł ręce do góry. Wystarczająco ryzykował już tego dnia życie w górach, nie chciał zginąć na ulicy w Szmeksie. Po chwili poczuł coś wyjątkowo nieprzyjemnego. Dotyk metalowej lufy pistoletu na plecach.
— Nie mam pieniędzy — starał się mówić spokojnym głosem. — A pralinki z marcepanem już zjadłem.
— Milczeć niepytanym — ucięła zimno uzbrojona osoba. — Czy oskarżony był na wierzchołku Spitzer Turm?
— Oskarżony?
— Odpowiadać precyzyjnie na pytania. Czy oskarżony zdobył Szpiczasty Szczyt osobiście, czy dopuścił się karolowania?
— Byłem!
— Niech oskarżony przysięgnie na słowo honoru.
— Przysięgam na słowo honoru.
Mężczyzna opuścił lufę pistoletu.
— Zadam to pytanie jeszcze raz, nie mierząc w oskarżonego z pistoletu parabellum, żeby nie wpływać w żaden sposób na jego odpowiedź. Ostrzegam jednak, że jeśli oskarżony zmieni zdanie, zostanie zastrzelony.
— Byłem na wierzchołku Szpiczastego Szczytu. Osobiście. Tymi nogami, w tych butach — Karol odwrócił się powoli. — Przysięgam na słowo honoru. Nie musisz się wściekać, Thomas.
— To mi wystarczy, Karol — uśmiechnął się Thomas Reizend, wojskowy. — Wierzę ci. Słowo honoru to rzecz podstawowa. Jeszcze raz gratuluję wykonanego zadania.
— Dziękuję bardzo — odpowiedział Karol i dodał w myślach: „psychopato".
Thomas Reizend schował pistolet do kabury, zasalutował, odwrócił się na pięcie i odszedł krokiem defiladowym w sobie tylko wiadomym kierunku.
Od tego dnia listonosz przychodził do Karola bardzo rzadko. Listy o treści „Carolus Victor" niemal ustały.

Powracających przez Jaworową Przełęcz taterników czekający na nich cały dzień Hugon B. Adder powitał niczym labrador dawno niewidzianego właściciela. Gdyby miał ogon, merdałby nim. Gdyby nie był dobrze wychowany, z pewnością skoczyłby na Kordiana i zaczął lizać go po twarzy. Gdyby potrafił, szczekałby.

— I jak? I jak? Były ślady, były? Zweryfikowaliście? Zweryfikowaliście? Mamy kłamczucha? Metoda K? Metoda K?

— Dokonaliśmy pierwszego wejścia na Szpiczasty Szczyt — odpowiedział sucho Kordian. — Na wierzchołku nie znaleźliśmy ani kopczyka, ani żadnego biletu wizytowego Karola.

— Zjedliście ciasto biszkoptowe z nadzieniem z ćwikły polane delikatnym musem czekoladowym?

— Tak, było paskudne.

— Macie zdjęcia? Rozwinęliście płachtę pana Karpowicza?

— Przykro nam — powiedział smutnym głosem Klemens.

— Aparat okazał się niesprawny — dodał Karl Jurzyca.

— Proszę, ma go pan z powrotem — mruknął Strompf, wpychając zdziwionemu Adderowi aparat do rąk.

Po chwili strzeliła migawka. Pan Ciasteczko przypadkowo zrobił zdjęcie sam sobie.

— Ależ przecież ten aparat działa! — oburzył się Pan Ciasteczko.

— To delikatna konstrukcja. Wysokość źle na niego wpływa. Na wierzchołku odmówił posłuszeństwa — wytłumaczył Żętyca.

— Skoro jest dobry, będzie pan mógł zrobić nim piękne zdjęcia podczas powrotu — uśmiechnął się Kordian.

— Do widzenia! — rzucili wszyscy wesoło i zaczęli zbiegać do Szmeksu.

Zanim Pan Ciasteczko się zorientował, byli już tylko malutkimi kropeczkami na horyzoncie. Stał sam w górnej części Doliny Staroleśnej, smutno patrzył na aparat w rękach i zaczynał wątpić, czy pozostali członkowie Wyprawy Weryfikacyjnej darzą go sympatią. Z braku lepszego zajęcia postanowił zrobić kilka zdjęć.

Przed jednoosobowym pokojem wynajmowanym potajemnie w Szmeksie przez Trzech Muszkieterów wraz z Karlem Jurzycą dla obcięcia kosztów czekał poczciarz.

— Panie Romanie. Przyszło do pana kilka wiadomości.

— Aż kilka? To ciekawe! — zdziwił się Kordian.

— Właściwie „kilka" to mało powiedziane — doprecyzował listonosz i skinieniem głowy wskazał na cztery duże worki stojące pod ścianą. — Miłej lektury.

Roman, Jurek, Zygmunt i Karl wciągnęli do pokoju po jednym worku i wysypali ich zawartość na podłogę. Wszystkie listy wyglądały identycznie. Na żadnej kopercie nie widniały dane nadawcy.

— Wieści o naszej Wyprawie Weryfikacyjnej szybko się rozeszły — stwierdził Żętyca, drapiąc się po głowie.

— Widocznie temat budzi duże zainteresowanie — dopowiedział Klemens.

Kordian otworzył pierwszy list.

— Carolus Victor — przeczytał na głos.

Zmiął kartkę i cisnął w kąt pokoju. Chwycił drugą: „Carolus Victor". I trzecią: „Carolus Victor".

— Co to ma znaczyć?! — krzyknął.

Klemens włożył rękę głęboko w stos listów i wyciągnął jeden z nich. Jego treść była identyczna: „Carolus Victor". Karl Jurzyca i Jurek Żętyca również otworzyli na chybił trafił kilka listów. „Carolus Victor", „Carolus Victor", „Carolus Victor". Same Carolusy Victory.

— Ten wariat chyba kazał swoim wielbicielom nękać nas listami! — warknął zdenerwowany Kordian. — To zupełny szaleniec!

— Ja już dawno twierdziłem, że Karol to pomyleniec — powiedział Jurzyca. — On był szalony, jeszcze zanim został sławny.

Od tego momentu listonosz był częstym gościem u Kordiana, gdziekolwiek by się nie zakwaterował.

CZĘŚĆ VI
CAROLUS VICTUS

Panią Antoninę przywitały w Smokowcu licznie plakaty o treści: „Himalaja Club ma zaszczyt zaprosić serdecznie na wykład pt. *Mistyfikacye w taternictwie,* 25 września 1902 w sali balowej Sanatorium Dr. Szontagha o godzinie 18.00".

Dużo się o tym wydarzeniu w Szmeksie i w okolicznych schroniskach mówiło. Odczyt miał rzucić nowe światło na najnowsze dzieje taternictwa i odbrązowić jego największych herosów.

— Karolku, to chyba o tobie — przywitała się pani Antonina, patrząc badawczo na syna.

— Nie wątpię. Kordian będzie prelegentem.

— A jak odkryli nasze kłamstwo?

— Moje, mamo... Wcale nie odkryli. Wyprawa Weryfikacyjna weszła na Szpiczasty i zobaczyła, że mnie tam nie ma. Na tej podstawie stwierdzili, że nigdy mnie tam nie było.

— A nie mają racji?

Karol milczał.

— No dobrze. Czyli, jak rozumiem, nasłucham się troszkę o moim pierworodnym i jedynym synu... Szkoda tylko, że sam nic mi nie mówi. Z kim się zaręczyłeś. Z tą Konopnicką?

— Z Konopnicką, ale tą drugą.

— Z Miną? A to niespodzianka! Myślałam, że będzie gorzej. Czym ona się zajmuje?

— Dużo czyta.

— Z tego, co słyszałam, pije chyba jeszcze więcej...

— Mamo, daj spokój! Nie chcę tego słuchać. Jestem już duży! — krzyknął Karol i tupnął nóżką jak zdenerwowany pięciolatek.

Pani Antonina parsknęła śmiechem na ten widok, ale szybko się opamiętała. Pogłaskała syna po ramieniu.

— A co z treningami?
— Ćwiczę codziennie.
Po dłuższej chwili przytulili się.
— Zuch chłopak... — powiedziała pani Antonina i dyskretnie otarła łzę z policzka. Była uśmiechnięta.

Odczytem zainteresowała się prasa. Swoją obecność zapowiedzieli korespondenci „Przeglądu Zakopiańskiego", „Giewontu", krakowskiego „Czasu", węgierskiego „Turisták Lapja", spiskoniemieckiego „Zipser Bote", a nawet przedstawiciel Club Alpin Français, w którego periodyku Karol opublikował relację ze zdobycia Szpiczastego. Z liczących się opiniotwórczych czasopism żywo zainteresowanych tematyką alpinistyczną zabrakło tylko przedstawiciela lwowskiego „Przeglądu Kucharskiego". Pan Ciasteczko obraził się na góry i taterników. W ostatnim numerze opublikował długi, ale za to ilustrowany pięknymi zdjęciami artykuł o tym, że ludzie gór są samolubni, kłamliwi i nie znają się na kuchni.

Gdy nadszedł dzień wykładu, tłumek zaczął zbierać się pod sanatorium już w porze obiadowej. Zgromadziło się przeszło dwieście osób. Niektórzy nawet przytaszczyli aparaty fotograficzne. Większość pań ubranych była nad wyraz szykownie, a panowie elegancko nastroszyli i zadarli do góry wąsiska. Było to bodajże największe kulturalne i towarzyskie wydarzenie sezonu, mało kto mógł sobie pozwolić na niezostanie zauważonym na sali.

Punktualnie o szóstej na to samo podwyższenie, na którym kilka dni wcześniej Karol z rodziną Konopnickich biesiadowali z okazji zaręczyn, wyszedł Kordian, dzierżąc solidny plik notatek. Specjalnie na tę okazję kupił sobie nową marynarkę. Włosy uczesał w stylu Karola: na brylantynie z przedziałkiem pośrodku głowy. Pod szyją zawiązał olbrzymią krawatkę w seledynowe grochy. Na nogi, rzecz jasna dla większej wiarygodności, założył podkute górskie, ubłocone buciory. Dzielnie sekundowali mu Klemens i Żętyca, choć po skromniejszych ubiorach widać było, że to Roman będzie gwiazdą wieczoru. Zresztą cała trójka złożyła się na jego marynarkę, więc na nowe ubrania dla pozostałych dwóch Muszkieterów zabrakło funduszy. Karl Jurzyca odmówił uczestnictwa w publicznym poniżaniu imiennika. W momencie wyjścia prelegenta na scenę schodził z wierzchołka Małego Jaworowego Szczytu i cieszył się jesiennym słońcem.

Kordian zakaszlał, a wtedy szepty umilkły.
— Jest rzeczą w tatrzańskich kołach turystycznych powszechnie wiadomą, że nie wszystko to, co pan doktor Karol Artur de... i tak dalej o swoich w Tatrach dokonanych czynach turystycznych pisał i opowiadał, jest prawdziwe

i na rzeczywistości oparte — zaczął i już po pierwszym zdaniu rozwiał wątpliwości, komu poświęcony będzie wykład.

Przez publikę przeszedł głuchy pomruk. Kordian wsłuchiwał się przez chwilę w jego melodię z zadowoloną miną i kontynuował:

— Dziś wiemy ponad wszelką wątpliwość, iż pan doktor E. od lat szeregu wprowadzał wszystkich systematycznie w błąd, opisując wejścia nigdy nie odbyte. Za kluczową dla dalszej historii taternictwa kwestię uważam zbadanie wszystkich jego mistyfikacyj i oczyszczenie literatury turystycznej z bezliku tych wieloletnich a bezprzykładnych fałszerstw turystycznych. Zdjąć ten wielki znak zapytania ciążący nad każdym artykułem pana E. jest celem niniejszej rozprawki. I nic ponadto! — na twarzy prelegenta pojawił się uśmiech ukrywający nerwowość, łatwą do spostrzeżenia w ruchach ciała. Dla lepszego efektu mrugnął w stronę Karola i pani Antoniny. Oboje pozostali niewzruszeni.

— Obcą i daleką jest nam myśl zajmowania się tegoż osobą. Pominę zatem kwestię samego tytułu doktora praw, by oszczędzić dwudziestoletniemu panu doktorowi kolejnych poniżeń. Staraniem naszem będzie zebrać możliwie krótko materiał dowodowy tyczący się wszystkich bez wyjątku mistyfikacji pana doktora. Oparty jest on głównie na poczynionych w terenie spostrzeżeniach pierwszorzędnych turystów, a przede wszystkim nas, członków Wyprawy Weryfikacyjnej.

Klemens i Żętyca grzecznie pokłonili się audytorium. Reporterzy poprosili ich, by nie ruszali się przez minutę na potrzeby wykonania fotografii.

— A więc zacznijmy!

Tu nastąpiło długie wyliczenie szczytów, turni i wiodących na nie dróg, których Karol oraz jego matka ponad wszelką wątpliwość nie przeszli. Dowody na ich oszustwa były najróżniejsze. A to szczegóły topograficzne z relacji drukowanych w „Przeglądzie Zakopiańskim" nie zgadzały się z tymi, które Karol opisywał po niemiecku; a to na wierzchołku nie znaleziono kopczyków i biletów wizytowych, które przecież musiały tam się znajdować. Jak się okazało, niemal wszystkie góry, do których zdobycia przyznawali się pani Antonina z synem, jako pierwszy zwiedził ktoś inny. Najczęściej Kordian z kolegami, ale bywało, że ich niemieccy i węgierscy koledzy: Alfred Martin, Oskar Dyhrenfurth czy Thomas Reizend. Po każdej wymienionej nazwie i bezspornym udowodnieniu Karolowi kłamstwa przez salę przechodził pomruk wzburzenia, a prawdziwi zdobywcy nagradzani byli gromkimi brawami. Niektórzy kłaniali się w pas publiczności, niektórzy trzymali się na uboczu*.

* By nie zanudzać Czytelnika, nie przytoczę tutaj wszystkich dowodów Kordiana. Można je znaleźć w czasopiśmie „Taternik" r. I: 1907, nr 6, s. 97-106, w poświęconym temu zagadnieniu artykule Romana Kordysa, wybitnego lwowskiego alpinisty, działacza turystycznego i historyka taternictwa, założyciela (wraz z Jerzym

— Taką jest właśnie synteza siedmioletniej działalności taternickiej „doktora" Karola Artura de E.! - zagrzmiał Roman ze sceny. Czuł się jak ogromna drapieżna ryba, która niespiesznie płynie za płotką, bawiąc się z nią tylko po to, by czerpać z jej pożarcia możliwie największą satysfakcję. Karol i Mina siedzieli spokojnie. Pani Antonia była blada jak trup. Lina wierciła się gorączkowo, sędzia Kukuruz zajadał się pierożkami z kapustą, a Hubertyna z ziemniakami, serem i cebulką.

Kordian odczekał, aż publika się uciszy. Wiedział, że mało kto zainteresowany był pierwszeństwem na niewybitnych turniczkach Granatów Wielickich czy Grani Soliska. Wszystkim zebranym i prasie chodziło przecież wyłącznie o Szpiczasty Szczyt. Górę, której zdjęcia w prasie podziwiali obywatele całych Austro-Węgier i niemal wszystkich państw ościennych. Czekał. Dopiero, gdy doszedł do wniosku, że napięcie wśród audytorium sięgnęło zenitu, rozpoczął uroczystym tonem:

— Przejdźmy teraz do najważniejszej i najbardziej bulwersującej kwestii Szpiczastego Szczytu.

Z uśmiechem przez kilkanaście sekund przyglądał się poruszonej sali i reporterom bijącym się o jak najlepsze miejsca do ustawienia się ze swoimi aparatami Brownie.

— Otóż pełnoprawnymi zdobywcami tego dumnego olbrzyma, tej góry gór, tego tatrzańskiego Matterhornu, tej iglicy orłów są dwa zespoły. Pierwszy, składający się ze znanego państwu z prawdomówności młodego doktora nauk prawniczych, jego matki i dwóch przewodników nie pierwszej młodości oraz drugi, którego kierownikiem byłem Ja.

Roman zawiesił głos. Popatrzył na Karola i uśmiechnął się do niego szeroko. Twarz tamtego nie wyrażała żadnej emocji. Szkoda. Osiemnastoletni prelegent chciał wzbudzić w przeciwniku nadzieję, którą miał zdeptać następnym

---

Maślanką i Zygmuntem Klemensiewiczem) Kółka Taterników – późniejszego Klubu Himalaja – które odegrało ważną rolę w rozwoju wspinaczki w Tatrach. Według badań Kordysa Kordian doszedł wówczas do następujących wniosków:

Karol jako pierwszy zwiedził w latach 1897-1903 następujące szczyty i turnie: Solisko (dwie turnie), Zmarzły Szczyt, Mała Litworowa Turnia, trzy turnie w Granatach Wielickich (tzw. „Hohe Margitspitze", „Isabella Turm" i „Krukowski Turm"), trzy turnie w Grani Płyt, Dziką Turnię, Jaworowy Szczyt, Mały Kościół, Czarny Szczyt i Mały Kołowy – razem piętnaście.

Nie zwiedził następujących szczytów i turni: tzw. „Turnia Lövy'ego", „Turnia Münnicha", Środkowy Szczyt Mięguszowiecki, tzw. „Fischerturm", „Lucifer", „Adlerspitze", „Ochsenrückenturm", Wielka Litworowa Turnia, tzw. „Szczyt Lawin", tzw. „Vierfingerturm" i „Blüthenturm", „Grosse Plattenspitze", „Hunsdorferturm", „Tatra Schreckhorn", „Turnia Kamińskiego", „Wielka Piła", „Hakowy Szczyt", Ostry Szczyt, Zachodni Szczyt Ostry, Wielki Kościół, Kopa Lodowa, Śnieżny Szczyt, tzw. „Lustgartenturm" i „Totengarten Turm" – razem dwadzieścia cztery.

Nie istnieją szczyty i turnie: „Noże", południowy wierzchołek Ostrego, „Turnia Hillera", „Szczyt Weissa", „Szczyt Jarzębowskiego", tzw. „Christoph Korn Spitze", „Ziębaturm", „Brdarowy Kardas", „Wielki Wiercioch" i „Stapisowa Turnia" – razem dziesięć.

Nie znalazł pan doktor następujących nowych dróg: na Gerlach od Kaczej Doliny, na Gerlach odmianą drogi Därmstadtera, na Staroleśną Granią Płyt, na Baranie Rogi zachodnią ścianą, na Łomnicę od Kamiennego Stawu oraz na Łomnicę odmianą drogi Pawlikowskiego północną ścianą – razem sześciu.

zdaniem. Efekt nie został osiągnięty. Rzucił jeszcze okiem na Linę siedzącą w towarzystwie męża. Wyglądała na rozwścieczoną. Miał ochotę pokazać jej język, ale się powstrzymał.

— Różnica między tymi dwoma zespołami wspinaczkowymi jest zasadnicza. Dotyczy metody wejścia na szczyt. My zdobyliśmy go uczciwie, na sposób taternicki. Stoczyliśmy bohaterski bój z górą i pokonaliśmy ją. Zespół pana Karola natomiast skorzystał z... — tu Kordian wziął głęboki wdech i dokończył: — z Metody K!

Publiczność oszalała. Krzyczano: „Hańba! Kłamstwa! Mistyfikacja!". A potem chóralnie: „Metoda K! Metoda K! Metoda K! Metoda K!".

— Niemal czterdzieści lat temu na wierzchołku niemożliwego do zdobycia Matterhornu stanął dzielny Edward Whymper — niespodziewanie Karol wszedł na scenę przy akompaniamencie gwizdów, okrzyków i buczenia publiczności. — Dzięki brawurze, talentowi, determinacji i ciężkiej pracy udowodnił, że nie ma gór niemożliwych do zdobycia. Po dziesiątkach prób, momentów grozy, strasznych chwil, w których narażał życie, stanął na upragnionym szczycie i zwyciężył.

— Metoda K! Metoda K! Metoda K! Metoda K! — ryczała większość sali.

— Ca-rolus-vic-tor! Ca-rolus-vic-tor! — grzmieli nieliczni.

— Zwyciężył samego siebie, zwyciężył ograniczenia ludzkiej siły, ograniczenia wyobraźni i zwyciężył konkurentów. Jego przeciwnikowi w wyścigu o pierwszeństwo na szczycie tej niebotycznej góry, Jean-Jacquesowi Carrelowi, gdy zobaczył wysoko ponad sobą, na wierzchołku, postać odzianą w charakterystyczne białe spodnie, pozostało tylko spuścić głowę w pokorze i uznać swą porażkę.

— Metoda K! Metoda K! Metoda K! Metoda K!

— Ca-rolus-vic-tor! Ca-rolus-vic-tor!

— Co czuł, gdy zrozumiał, że historia zapamięta go jako „tego drugiego"? Że cała historia jego życia w podręcznikach będzie wyłącznie apendyksem do rozdziałów o Whymperze? Myślę, że na tej sali są ludzie, którzy lepiej ode mnie odpowiedzą na to pytanie. Mnie, jako pierwszemu, pozostaje z tego miejsca podziękować tym drugim i wyrazić mój najwyższy szacunek. To dzięki wam, drodzy drudzy, pierwsi są pierwszymi!

— Metoda K! Metoda K! Metoda K! Metoda K!

— Ca-rolus-vic-tor! Ca-rolus-vic-tor!

— Dziękuję wszystkim raz jeszcze, Szpiczasty wzięty, Carolus Victor, dobranoc państwu!

Zszedł ze sceny. Wziął narzeczoną pod rękę i razem z pani Antoniną, wolnym krokiem przedzierając się przez kotłujący się tłum, udali się w stro-

nę wyjścia sali bankietowej. Fotoreporterzy zerwali się z miejsc, by uchwycić ich ucieczkę w niesławie. Po chwili drzwi się zatrzasnęły, a ludzie dalej krzyczeli, chociaż nie wszyscy. Po przemówieniu Karola mniej pewni siebie zamarli w bezruchu i bacznie obserwowali sąsiadów. W zależności od tego, co usłyszeli, dołączali do tych od „Metody K" lub do tych od „Ca-rolus-vic--tor!". Niektórzy na wszelki wypadek wykrzykiwali naprzemiennie raz jeden, raz drugi slogan.

Jeden głos wyróżniał się tonem z oskarżycielskiej wrzawy tłumu. Był to Thomas Reizend. Wojskowy.

— Dowody! — krzyczał. — Proszę przedstawić dowody! Nie wolno oskarżać bez dowodów! *Beweis, bitte!*

Nikt jednak go nie słuchał. W końcu się zdenerwował, wyciągnął pistolet parabellum i wystrzelił w sufit. Tłum zamarł. Roman rzucił się na ziemię i ukrył twarz w dłoniach. Zabieg retoryczny się udał. Było jasne, że głos należy teraz do pana Reizenda.

— *Gliebt Herr Roman* — zaczął Thomas spokojnym i kurtuazyjnym głosem. Nie musiał krzyczeć, gdyż na sali było cicho jak makiem zasiał. — Proszę wybaczyć, że zaprowadziłem porządek na sali w tak drastyczny sposób, ale porządek jest rzeczą zasadniczą. Gdy się kogoś oskarża, trzeba przedstawić dowody. Byłem kilkukrotnie towarzyszem wypraw pana E. i zapamiętałem go jako doskonałego alpinistę i nienagannego moralnie człowieka. Wszyscy czekamy na przedstawienie dowodów na poparcie tezy, że szanowny pan doktor, jego czcigodna matka i dwóch wybitnych przewodników nie zdobyło Spitzer Turm. Proszę się nie obawiać. Nie zastrzelę pana, nawet jeśli mnie pan nie przekona. Morderstwo przy damach uważam za szczyt towarzyskiego nietaktu. Nie jesteśmy na Bałkanach. Nie oznacza to jednak, że nie nalegam, by postarał się pan naprawdę solidnie uzasadnić swoje zarzuty. Reasumując, proszę kontynuować i nie przejmować się wymierzonym w pana parabellum P08.

Przyklasnęli mu niemieccy taternicy. Mimo że sami atakowali Karola w prasie i skorzystaliby na odebraniu mu pierwszeństwa na wielu wierzchołkach, widocznie nie w smak było im stawianie go pod publicznym pręgierzem.

— Przedstaw dowody, mały konfidencie — krzyknęła zdenerwowana młoda sędzina von Mais-Kukuruz. Wyglądała dużo lepiej niż kilka minut wcześniej. Wtedy jej obecność i żałosny wygląd bardzo motywowały Kordiana, teraz stała się mu ością w gardle. — Wiem, czemu masz na szyi taką wielką kokardę! Rekompensujesz tym małego pta... — nie dokończyła zdania, gdyż mąż zatkał jej usta dłonią. Po części z troski, by nikt nie poznał sekretu

Kordiana, po części, by nikt się nie zastanawiał, skąd jego małżonka czerpie wiedzę.

Kordian wstał z podłogi i drżącym głosem — nogi i ręce również mu drżały — wygłosił dalszą część odczytu. Nie tak sobie wyobrażał prelekcję o Szpiczastym Szczycie. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Seledynowa krawatka wisiała smętnie jak ryba zawieszona na szyi złodziejaszka. Bilet wizytowy Karola w kieszeni płonął żywym ogniem.

— Ma-ma-ma-ma-mam dowód. A raczej znalazłem, znaleźliśmy, my, ko-komisja we-ry-ryfikacyjna, że tam na wierz-wierz-chołku... Już mó-mó-wię więcej, ale niech pan we mnie nie ce-celuje z pa-pa-ra-ra-bellum.

Thomas westchnął i schował pistolet do kabury. Roman od razu poczuł się lepiej. Jak każdy artysta sceniczny w takich okolicznościach.

— Dziękuję panu bardzo. Zacznijmy od zdjęć opublikowanych w prasie. Po artykule pana Karla Jurzycy, w którym stwierdził on, iż Karol i jego przewodnicy musieli się pomylić, gdyż Szpiczasty Szczyt ma tylko jeden wierzchołek, a nie dwa i nie mogli oni zdobyć południowego wierzchołka, gdyż taki po prostu nie istnieje, pan E. zareagował bardzo agresywnie. W tekście zatytułowanym *Audiatur et altera pars* odsądził pana Jurzycę od czci i wiary, zarzucił mu kłamstwo i na poparcie swych słów opublikował zdjęcia przedstawiające oba wierzchołki. Powołując się na jedną z podstawowych zasad prawa rzymskiego, przedstawił niepodważalny dowód prawdziwości swoich słów, obronił się od zarzutów i zdecydowanie wygrał spór. Komisja weryfikacyjna ustaliła, iż trudno było o bardziej nieudolną mistyfikację. Zdjęcie zostało po prostu prymitywnie przykarolowane, w ten sposób, by szczyt miał dwa wierzchołki. Retuszu dokonał w Zakopanem znany pani sędzinie Kukuruz fotograf Henryk Schabenbeck. Ilustracje do drugiego tekstu o Szpiczastym Szczycie są jak najbardziej prawdziwe i imponujące. Szkoda tylko, że przedstawiają wspinaczkę postronnych ludzi na Aiguilette d'Argentiere, piękną igłę skalną w Alpach, a nie jego samego w walce z tatrzańskim granitem. Czy doktor E. myślał, że żaden Polak nigdy nie był w Chamonix i nigdy nie będzie, czy może jest zwyczajnie pozbawiony wyobraźni i instynktu samozachowawczego? Co więcej, kolejny artykuł pan doktor zilustrował zdjęciem przekręconym o dziewięćdziesiąt stopni, tak by pion stał się poziomem, a poziom pionem. Wspaniała wspinaczka na ściany Szczytu Franciszka Józefa, przez nas, Polaków, nazywanego Garłuchem, okazała się zwykłym pełzaniem po kamieniach na dnie doliny. Jaką dniówkę znakomity spiski przewodnik, pan Hunsdorfer, bierze za czołganie się z klientem po głazach? Tego nie wiemy. Nie jest tajemnicą natomiast, że za wejście na niezdobytą dotychczas górę pobiera sowity dodatek...

Thomas Reizend pogroził mu palcem i dyskretnie wskazał kaburę pistoletu. Roman zrozumiał znak. Thomas nie przepadał za krasomówstwem.

Stary przewodnik się zbulwersował:

— I czego to ma dowieść? Na tej sali znajduje się wielu moich klientów. Z większością zdobyłem szczyty, na których nigdy wcześniej nie stanęła ludzka stopa. Wie pan, jaka to odpowiedzialność? Jaka to ciężka robota? Za prestiż trzeba płacić.

— Oczywiście! I to słono — potwierdził Kordian. — Pan o tym wiedział najlepiej. Wielu zastanawiało się, jaki jest sekret pańskiej legendarnej zdolności odnajdywania drogi w nieznanym terenie. Pozwolę sobie rozwiązać tę zagadkę. Teren był panu doskonale znany! Wielokrotnie wprowadzał pan klientów na te same wierzchołki, zaręczając, że dokonują wielkiego wyczynu i zapiszą się złotymi zgłoskami w historii taternictwa. Tylko na tej sali znajduje się trzech pierwszych zdobywców Olbrzymiego Wierchu, czterech Turni Śmiertelnego Niebezpieczeństwa, dwóch ludzi, którzy jako pierwsi oglądali świat z wierzchołka Orlego Szczytu, podczas gdy wszyscy oni wyszli po prostu na Sławkowski. Dodajmy, szczyt zdobyty już w 1664... Obecny tutaj sędzia von Mais-Kukuruz jest nawet przekonany, że jako pierwszy śmiertelnik ujrzał Wodospady Zimnej Wody. Szkoda, że nigdy nie zainteresowała go kwestia, kto ustawił tam dla jego wygody drewnianą ławeczkę.

Publiczność zaczęła buczeć i głośno komentować słowa Kordiana.

— Właśnie, ciekawe, kto ustawił tam tę ławeczkę? — zwrócił się sędzia Kukuruz do córki i włożył do ust marynowaną pieczarkę. Lina ciężko westchnęła.

— Bzdury! — krzyknął Hunsdorfer. — Dokonałem w Tatrach z klientami wejść najwyższej klasy!

— Z czego większość ze znanym z prawdomówności panem Karolem E., dwudziestodwulatkiem z doktoratem z prawa przed ukończeniem studiów i jego mamą, nieprawdaż?

— Tak... Ale proszę pamiętać, że nie tylko oni byli moimi klientami. Fabeschturm z panem Fabeschem, Katherinenspitze z panią Katherine Bröske, Grosse Gabelspitze z młodym panem Szontaghiem. Na wszystkie te góry wyszedłem pierwszy z klientem!

— Nie przeczę, że to wspaniałe osiągnięcia. Szczególnie, że każdego dokonał pan więcej niż raz! Obecni tutaj mecenas Kuczera i inżynier Zieliński z Krakowa z pewnością będą bardzo zainteresowani niemieckimi nazwami zdobytych przez nich w pańskim towarzystwie wierzchołków. Może pan im powie, jak po niemiecku nazywają się Szczyt Zielińskiego i Turnia Mecenasa Kuczery? Albo poda im inne polskie nazwy. Z ciekawości, jaką premię pobiera pan od klienta za nazwanie góry jego imieniem?

— Zawiodłem się na panu — wysyczał mecenas Kuczera.

— Liczy się ruch na świeżym powietrzu, a nie rekordy — dodał inżynier Zieliński. — Ruch jest wszystkim!

— Ja nie wypłaciłem panu Hunsdorferowi premii za pierwsze wejście na Widły — podniósł się młody doktor Miklosz Szontagh. — Na wierzchołku, wierzcie lub nie, znalazłem bilet wizytowy pana Karola E.

— Za to my z Kordianem mu zapłaciliśmy, gdyż nie znaleźliśmy pańskiej wizytówki — powiedział smutno Żętyca.

— Cicho — syknął ze sceny Roman.

— A ja mam iść dokonać pierwszego wejścia na Widły z panem Hunsdorferem za tydzień — krzyknął ktoś z sali.

— A ja pojutrze — dodał inny.

— Ja byłem wczoraj — dorzucił pan z bródką. — Na wierzchołku spotkałem trójkę turystów, którzy przywitali mnie słowami: „Piękny dziś widok ze Sławkowskiego, nieprawdaż?". Myślałem, że to takie tutejsze poczucie humoru...

— Nieładnie, panie przewodniku. Bardzo nieetycznie... — Thomas Reizend wydawał się rozczarowany postawą krajana, nie wyciągnął jednak pistoletu.

— Dobrze, przyznaję. Czasem wychodziłem na jedną górę po raz pierwszy dwu lub trzykrotnie. Ale z czego się miałem utrzymać? Strzelać do kozic? — mówił zrezygnowanym głosem stary przewodnik. — Wykopywać świstaki? Zbierać igły limby dla olejkarzy? Zostać juhasem? Chciałem żyć w górach. Ja zarabiałem, a ludzie byli szczęśliwi. A te wszystkie ciamajdy i grubasy z wielkich miast, które wyprowadzałem ze Szmeksu na Sławkowski? Przecież oni na czymś bodaj odrobinkę trudniejszym by się pozabijali! Wyobraża sobie pan sędziego Kukuruza na Łomnicy albo Lodowym? Przecież to kpina! Dawałem ludziom radość. Pomagałem im uwierzyć w siebie. Poczuć, że są zdolni do czegoś więcej niż obżeranie się marynowanymi pieczarkami, choć nie zawsze była to prawda. Pobyć przez chwilę kimś wyjątkowym. To mało? Dobrze, przyznaję. Nie byłem na Szpiczastym Szczycie. Zawróciliśmy z grani, a potem zrobiliśmy sobie zdjęcie na sąsiedniej górze i obwieściliśmy, że największy problem Tatr został rozwiązany. Czy jest pan zadowolony? — stary Spiszak ze łzami w oczach cisnął o ziemię kapelusz z piórkiem. — Zniszczył pan człowieka. I to najlepszego przewodnika na całym Spiszu. *Gratulation, auf Wiedersehen und gute Nacht.*

Jedynym odgłosem mącącym grobową ciszę był stukot podkutych butów Johanna Hunsdorfera Starszego i trzaśnięcie drzwiami. Roman obserwował ze sceny wychodzącego przewodnika i nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Jak to: nie weszli na Szpiczasty? Przecież ma w kieszeni bilet wizytowy z wierzchołka. To on miał twierdzić, że nie zdobyli szczytu, a przewodnik

miał się z nim kłócić. Popatrzył w stronę drugiego przewodnika, Strompfa, który go okłamał, że nie byli z Karolem na szczycie za kilka litrów borowiczki. Stary wpatrywał się w niego z nienawiścią.

To dziwny wieczór, wielu ludzi dzisiaj kłamie, pomyślał Kordian.

— Panie Strompf, czy dla dobra sprawy mógłby pan potwierdzić, iż Karol przekupił pana, by utrzymywał pan, że jest on pierwszym zdobywcą Szpiczastego?

— Nie — mruknął Strompf, wstał i zaczął powoli sunąć w stronę wyjścia. — Dwudziestego piątego sierpnia pan Karol w towarzystwie moim i pana Hunsdorfera osiągnął wierzchołek Szpiczastego. *Auf Wiedersehen.*

— Tak, drodzy państwo. To prawda — Kordian powrócił do tematu, gdy starzy przewodnicy opuścili salę, choć był zupełnie skołowany. — Sławni pierwsi zdobywcy Szpiczastego Szczytu tak naprawdę na nim nie byli. Potwierdziła to ponad wszelką wątpliwość nasza Wyprawa Weryfikacyjna. Mimo usilnych starań na wierzchołku nie znaleziono najmniejszego śladu zwiedzania. Poza tym droga jest trudniejsza i bardziej eksponowaną, niż można by przypuszczać, znając sposób pisania Karola E. Pierwsze wejście należy zatem do mnie. Oraz towarzyszy — dodał ciszej. — Dziękuję za uwagę i życzę wszystkim dobrej nocy.

Roman zbiegł z podium i udał się do wyjścia. Za nim ruszyli Klemens i Żętyca. Ani jedna osoba nie zaklaskała, nikt nic nie powiedział, nikt nie fotografował, cała publika trwała w bezruchu i konsternacji.

— Widzieliśmy dziś kilka trupów — w końcu przerwał milczenie Thomas Reizend. — Niebywałe, kilka trupów i ani jednego strzału. Dobranoc.

Prasa zainteresowała się tematem. W każdym czasopiśmie Austro-Węgier można było znaleźć nagłówki rodzaju „Metoda K wiecznie żywa", „Karol – człowiek, który nie zdobył Szpiczastego", „Upadek Karola E.", „To nie był prawdziwy Polak! O niemiecko-żydowskim pochodzeniu doktora E.", „Karol Kollaps", czy „Piczasty NIEwzięty – Carolus Victus".

Kordian, przed wykładem bardzo ochoczo udzielający wywiadów, milczał jak zaklęty. Sądząc jednak po frekwencji, z którą odwiedzał go listonosz, musiał prowadzić ożywioną korespondencję z prasą zagraniczną. Hunsdorfer pił, Karol zniknął, Lina przestała pojawiać się w Smokowcu, Strompf pił, pani Antonina zamieszkała w Austrii, gdzie po śmierci męża ponownie wyszła za mąż, Młody Hunsdorfer pił do towarzystwa z ojcem.

Taternicy plotkowali w schroniskach i kolebach, najbardziej jednak sprawą kłamstw wokół zdobycia Szpiczastego Szczytu zainteresowali się ludzie, którzy nigdy nie byli w górach.

Nikt już więcej Karola w Tatrach nie zobaczył. Rok później umarł jego ojciec, a po dwóch latach młoda żona. Powodem było niewyleczone przeziębienie wywołane kąpielą w ubraniu w zimnej górskiej wodzie. Sam Karol żył, ale dla ludzi równie dobrze mógł być martwy.

Kilkanaście lat później w nowopowstałej Czechosłowacji konopną linę miała większość taterników. Zanikło jednak słynne Braterstwo Liny z przełomu wieków, chociaż sama Lina sporadycznie jeszcze pojawiała się w Tatrach. Życie kulturalne Szmeksu, zwanego teraz Smokowcem, niemal zanikło. Lina zwykle wynajmowała pokój w schronisku w Dolinie Staroleśnej zwanym pieszczotliwie Trupiarnią. W Smokowcu czasem pojawiali się Kordian, Żętyca i Klemens, a po ich minach widać było, że tęsknią za starymi dobrymi czasami. Brakowało im Karola, starych wąsatych przewodników, zapewne też trochę własnej młodości. Smokowieccy kuracjusze nie żyli już tak bardzo sprawami taternictwa, gdyż wszystkie szczyty dawno zostały zdobyte, a roztrząsanie kwestii rodzaju: „Czy wiodąca w linii spadku wierzchołka droga na Turnię X jest aż skrajnie trudna czy tylko nadzwyczaj trudna" niespecjalnie przemawiało do wyobraźni kogokolwiek spoza wąskiego grona sportowców. Nawet straszna południowa ściana Szpiczastego została zdobyta. W 1928 zginęły na niej dwie młode taterniczki, Zofia i Jadwiga, dwa lata później Kazimierz Kupczyk. Miał dwadzieścia jeden lat i podobno wspinał się z taką gracją, jakby w górach słyszał muzykę...

Jeden temat powracał jak bumerang. Dalsze losy niesławnego Karola E. Gdy tylko ktoś poruszył tę kwestię, zawsze mógł liczyć na kompanów do rozmowy.

— Słyszał pan, panie kochany? Karol E. Tak, ten od Metody K, był delegatem na konferencji pokojowej w Paryżu. Pojechali panowie Paderewski, Dmowski, Grabski, a z nimi taka szuja. Ciężko uwierzyć — powiedziała, gdy skończyli rozmowę o dzisiejszym menu.

— On jest podobno członkiem Biura Kongresowego. Dostarczał danych do traktatów pokojowych w Wersalu i w Saint-Germain z Niemcami i Austrią. Tylko w naszym chorym kraju mogli oddać rokowania z Niemcami Niemcowi. Mamią nas wizją niepodległości, a tak naprawdę zaborcy cały czas mają tu najwięcej do powiedzenia — odpowiedział elokwentnie, gdyż lubił mówić.

— Skandal. I jeszcze Grabski napisał mu list dziękczynny. On nie widzi, że to szpion? — zdziwiła się krótkowzrocznością władzy.

— Może chce coś ugrać ze Szwabami, kto wie? Udaje endeka, żeby oczy zamydlić obywatelom — spekulował z troską o swój kraj.

— To Żydzi. Albo, co gorsza, syjoniści! — podejrzewał i był pewien.

— On kiedyś pisał, że zatknął na wierzchołku Szpiczastego biało-czerwoną chorągiew, żeby przypominać pruskiemu magnatowi Hohenlohemu, że „jeszcze nie zginęła" — zasugerował.

— Mówię, mydlenie oczu. Niemcy są sprytni. Najpierw cię kochają, a potem cię zjedzą. Zupełnie jak hipopotamy — błysnął dumny z nowego bon-motu.

— Przecież nie był na Szpiczastym, to jak zatknął? — zdziwił się.

— Oni mają sposoby, nie bój się — machnął ręką.

— Słyszę, że rozmawiają panowie o Karolu E., nie wiem, czy wiecie, ale jest poszukiwany listem gończym — rzucił nonszalancko.

— Za niezdobycie Szpiczastego? — zapytała z przejęciem.

— Nie, za morderstwo! — sprostował tajemniczo.

— Och! — jęknęła ze wzburzeniem

— Ach? — sapnął z zainteresowaniem.

— To państwo nie wiedzą? — rzekł z dumą, że nie wiedzą.

— Nie wiemy - mruknęli poirytowani, że nie wiedzą.

— To nie słyszeli państwo? — podsycił ich ciekawość.

— Nie słyszeliśmy — potwierdzili.

— Nic a nic? — ciągnął dalej za język.

— Nie słyszeliśmy, mów pan wreszcie — zdenerwowali się.

— Pamiętacie państwo Karla Jurzycę? — zapytał sugerując, że to ważne pytanie.

— Tak — skłamali, gdyż nie pamiętali.

— Karl Jurzyca to Niemiec ze Śląska — wyjaśnił, gdyż wiedział, że kłamią.

— To nad wyraz ciekawe! — odpowiedzieli znudzeni.

— To on jako pierwszy oskarżył doktora E. o kłamstwa. Został zamordowany w pracy, w kopalni hrabiego Larisch-Mönicha w Karwinie — tym razem naprawdę ich zaciekawił.

— Podobno przez bandytów — ktoś sobie przypomniał artykuł w śląskiej prasie.

— Przez bandytów? Szóstego czerwca tysiąc dziewięćset szóstego? Po przejściu wschodniej ściany Szatana? — zaskoczył się naiwnością rozmówcy.

— A więc przez Żydów! — zaklaskał triumfalnie w dłonie.

— Nie, proszę pana. Przez Karola — sprostował.

— Karol był wyznawcą diabła? Jak Przybyszewski? — zdziwili się, ale tylko troszkę.

— Szanowni państwo, to nie jest wykluczone — włączył się do rozmowy. — Znałem Profesora Antoniusa Buchfinka.

— Och! — pokiwali głowami z szacunkiem, gdyż nie mieli pojęcia, o kim mówi.

— Profesor Buchfink był nauczycielem Karola w Gimnazjum św. Anny. Już wtedy się na nim poznał. Mówił, że chłopaka zgubią niezdrowe skłonności do świata motyli, że Niepylak Carolus skończy, upijając się nektarem kwiatowym i pogrąży się w rozwiązłości oraz kanibalizmie. I co? Nie miał racji? Chłopiec zamordował i zjadł kolegę! — oburzył się i słusznie, tak postępować nie wolno.

— Zjadł Karla Jurzycę? To okropność — skrzywiła się zdegustowana. Ile by dała, by go poznać.

— Uszanowanko. Czy można dołączyć? O czym państwo rozmawiają? — przysiadł się pan w kapelusiku.

— O sprawie Karola E. Siedzi w więzieniu za morderstwo ze szczególnym okrucieństwem i picie krwi — wprowadziła go w konwersację, lekko tylko koloryzując.

— A kogóż to zabił? — zaciekawił się ogromnie.

— Podobno niemieckiego taternika Alfreda Martina — wyjawił nowe szczegóły zbrodniczej kariery Karola.

— Och, mam nadzieję, że nie. To byłoby potworne — przestraszył się nie na żarty Alfred Martin.

— Karol? Bzdura! Z pewnego źródła wiem, że przebywa w szpitalu dla obłąkanych w Kulparkowie pod Lwowem. Wbija haki między cegły i próbuje wspinać się po ścianach — sprostował, mając również wąsiki.

— Biedaczek. Żal mi go — zasmuciła się, mimo że przed chwilą twierdziła, że siedzi za zabójstwo.

— Oszalał przez wspinaczkę. Oni wszyscy tam kiedyś trafią — trafnie ocenił psychikę taterników.

— Wyrzucono go z uniwersytetu — dopowiedział ktoś inny.

— Za morderstwo? — zaciekawiła się.

— Nie. Jeden z docentów Uniwersytetu Jagiellońskiego go zdemaskował. Nie chciał, by jego studentów statystyki uczył oszust. To wywarłoby negatywny skutek na ich badania — odpowiedział rzeczowo.

— Z Uniwersytetu Jagiellońskiego do psychuszki w Kulparkowie. Cóż za upadek — zasępiła się.

— Żaden upadek! Tak skończy każdy student. To zwykłe nieroby, proszę pani. Żyją za nasze pieniądze. To wina premiera Grabskiego. Powinien wisieć — splunął na podłogę, gdyż przed wojną nie dostał się na filologię klasyczną.

— Może chcą państwo iść na wycieczkę na Widły, Łomnicę, Lodowy? — do stolika podszedł Johann, lokalny siwobrody i rozczochrany pijaczek z przekrwionymi oczami i podkutymi butami. — Jestem pierwszorzędnym przewodnikiem tatrzańskim...

— Proszę odejść, to porządne towarzystwo — odgoniła go stanowczo.

— Ja wykonałem dla niego meble i nigdy nie otrzymałem zapłaty. Czy mają państwo pożyczyć kilka koron na lody waniliowe z musem malinowym? — zapytał stolarz.

— Nie mamy — odpowiedzieli, gdyż każdy wiedział, że człowiek ten przez ostatnie kilkanaście lat bardzo się wzbogacił, tylko nie wiadomo, w jaki sposób.

— Słyszałem, że rozmawiają państwo o tym gościu od Metody K. Osobiście kiedyś go przyłapałem, jak uprawiał bluźnierczą miłość z kozicą w Dolinie Zadnich Koperszadów — podzielił się ciekawostką elegancki nieznajomy.

Wszyscy zamilkli.

— No dobrze, kłamałem. Ale w dobrej wierze. Chciałem dołączyć do rozmowy — sprostował speszony.

— A to zapraszamy — rozpromienili się.

— A pan, panie Romanie? — zwrócili się chóralnie do pijącego kawę na uboczu Kordiana. — Czemu pan tak milczy?

— Nie mam zdania w tej kwestii. Przepraszam, późno już, muszę iść — odpowiedział nerwowo i wyszedł z kawiarni, zostawiając prawie całą filiżankę. Był blady i lekko przygarbiony.

Takich rozmów odbyły się w Smokowcu setki. Karol był daleko i zajmował się czymś zupełnie innym.

CZĘŚĆ VII
S J 251/44G = CAROLUS VICTOR

Siwy mężczyzna z gęstymi wąsami przysłuchiwał się ze zrezygnowanym wyrazem twarzy odgłosom dochodzącym z podwórza przez ciasne, zakratowane okienko celi. Krzyki i lament mieszały się z terkotem karabinu maszynowego, a prośby o litość z krótkimi i rzeczowymi komendami. Westchnął głęboko. Już nie zobaczy świata z wierzchołków And, o czym zawsze marzył, nie dokończy swojej encyklopedii motyli.

Podczas gdy wszyscy skazani tłoczyli się na dziedzińcu więziennym w oczekiwaniu na wydanie i podpisanie przez naczelnika dokumentów potwierdzających ich wolność, on postanowił w spokoju zaczekać na swoją kolej w celi. Teraz wiedział, że nigdzie z niej nie ucieknie i że tutaj właśnie znajdzie go śmierć. Postanowił nie próbować i zakończyć burzliwe życie z godnością, w spokoju.

Wrzawa na podwórzu ucichła i po chwili można było usłyszeć kroki podkutych butów na korytarzu. Cela, w której siedział, znajdowała się na końcu, jako dziewiąta z kolei. Doszło do niego skrzypienie zawiasów, krótki okrzyk zdławionego gardła i wystrzał. Następnie znów głuchy stuk obcasów. W równych odstępach czasu te same dźwięki powtórzyły się po raz drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty i siódmy. Za każdym razem identycznie. Stukot, zgrzyt, urwany krzyk, strzał i znowu stuk. Ósmy wystrzał poprzedzony żałosnym jękiem: „Proszę, nie!", słyszał doskonale przez ścianę. Przełknął ślinę i otarł pot z czoła.

Siedział spokojnie na pryczy w łagodnych promieniach wiosennego słońca wpadających przez maleńkie okienko.

— Witajcie, panie Romanie, ktoś pana kocha. Znowu mam dla pana list — zaśmiał się listonosz Kuba, wnuk słynnego Kuby Poczciarza, który adresata potrafił znaleźć i w Dolinie Pięciu Stawów, jeśli tylko przygodny przechodzień na Krupówkach pomógł mu odczytać imię i nazwisko na kopercie. — Znacie

SS

nojnowsom godkę? Jasiek Topór przyseł do karcmy „Siedem Kotów" teli scyńśliwy, kieby nalozł w lesie kotlik zbójnickich dukatów i godo, ze se przygruchał dziywcyne z Hameryki, co siedzi na tym Wall Street. A potem siy okazało, ze nie z Hameryki, ba z Kośnych Hamrów i nie z Wall Street, ino z Olcy. Telo śmiechu nie beło, odkąd se stary Furczoń nie obcion palca w lesie.

Widząc, że odbiorca nie jest w nastroju na rozmowę i żarty, Kuba przestał się uśmiechać, poprosił o podpis, wręczył przesyłkę i pożegnał się. Drzwi trzasnęły. Listonosz nie doczekał się nie tylko napiwku, ale również pożegnania. Powitania zresztą również, Roman nie odezwał się ani słowem. Już od kilku lat uchodził za mruka i odludka, a ostatnimi czasy stał się wyjątkowym gburem. Dla poczciarza było niepojęte, komu w ogóle chciało się korespondować z kimś tak mało sympatycznym i rozmownym. Najwyraźniej jednak komuś tak, gdyż dom pana Romana musiał odwiedzać prawie codziennie.

Kordian rzucił okiem na kopertę, żeby zobaczyć, czy figuruje na niej adres nadawcy, upewnił się, że nie, i cisnął ją na stos identycznych kopert w szafie. Poczuł się bardzo słaby. Mimo iż zbliżał się dopiero do pięćdziesiątki, czuł się, jakby miał sto lat. Z każdym tygodniem coraz mocniej podupadał na zdrowiu, a te przeklęte listy i telegramy wpędzały go do grobu. Kiedyś je czytał, potem palił nimi w kominku, teraz już nawet na to nie miał siły. Po prostu składował je w szafie. Ile ich było? W domu miał ich około dwóch tysięcy, ale łącznie dostał ich pewnie ze sześć razy tyle. Co gorsza, dostawał je wszędzie. Nie było takiego miejsca na ziemi, w którym nie dotarłaby do niego znajoma wiadomość.

Poza listami codziennie nawiedzały go migreny i zawroty głowy. Nie chodził już po górach, sprzedał lub rozdał wszystkie haki, narty i noże do szreni. Raz na jakiś czas publikował artykuły przeciwko ochronie przyrody i pomysłowi utworzenia w Tatrach parku narodowego. To była jego jedyna rozrywka.

Ze szpeju zostawił sobie tylko konopną linę. Coraz częściej myślał o tym, by po raz ostatni w życiu jej użyć.

Dzwonek do drzwi.

Tonący brzytwy się chwyta – pomyślał Kordian i zaczął się powoli gramolić, żeby otworzyć Bolesławowi, młodemu, bardzo zdolnemu taternikowi i inżynierowi, samotnemu zdobywcy południowej ściany Zamarłej Turni, który właśnie powrócił z wyprawy w góry Atlas w Maroku.

— Dzień dobry, panie Romanie — powiedział Bolesław. — Ja w sprawie...

— Masz — odpowiedział bez zbędnych grzeczności Kordian, wcisnął mu jakąś pomiętą kartkę i trzasnął drzwiami.

Bolek stał zbaraniały. Słyszał, że Roman nie jest zbytnio wylewny, nie spodziewał się jednak, że spotkanie będzie tak krótkie. Szczególnie, że stary wspinacz sam go zaprosił, gdy dowiedział się o jego zainteresowaniu historią taternictwa i planach napisanie o niej książki. Mówił, że chce mu dać coś wyjątkowo cennego. Czy mógł mówić o tym dziurawym, zawilgoconym i poplamionym karteluszku?

— ...ol Ritter von ..... de Pa... d.kto. .auk praw...

Bolesław wpatrywał się w bilet wizytowy i skupił całą uwagę na tym, żeby wydedukować, do kogo należał i jakie mógł mieć znaczenie dla rozwoju taternictwa. „D kto auk praw"? Doktor nauk prawniczych... Czy może chodzić o tego niemieckiego mitomana z przełomu wieków, który chodził na wycieczki z matką, a potem ogłaszał, że zdobył bóg wie ile trudnych szczytów? Tego samego, który skompromitował się na Szpiczastym Szczycie, a następnie wyjechał, zdradził swój kraj i ostatecznie znalazł smutny koniec w szpitalu dla obłąkanych? Tego od haniebnej Metody K? To niemożliwe. A może jednak? Ritter von coś tam... No, no, megalomania pierwszej wody. Postanowił się upewnić i zapukał do drzwi.

— Nie mam nic do dodania — odpowiedział skrzekliwy głos ze środka domu. — Wszystko, co potrzebne, masz w ręku, do widzenia.

Nie takiego przyjęcia Bolek się spodziewał i nie po to jechał tyle kilometrów, żeby dostać wizytówkę starego oszusta. Był zły i rozczarowany. Wsadził karteluszek do kieszeni i odszedł, złorzecząc w duchu staremu zgredowi.

Nie wiedział, że za zamkniętymi drzwiami Kordian osunął się na podłogę, zacisnął mocno kciuki i wycedził przez zęby łamiącym się głosem:

— Wierzę w ciebie, Bolek... uda ci się... znajdziesz go... — po czym zaczął płakać.

Następnego dnia Kordian obudził się o piątej rano i leżał nieruchomo w łóżku, czekając na listonosza i modląc się, żeby ten wreszcie nie przyszedł. Wiedział, że nie wytrzyma ani jednego listu więcej. Pod sufitem już wisiała konopna lina z elegancko i wprawnie zawiązanym węzłem szubienicy. Kuba Poczciarz zawsze przychodził punktualnie o godzinie dziesiątej. Wskazówki zegara huczały jak Siklawa. Kordian wpatrywał się w nie z wytrzeszczonymi oczyma. Czekał, aż zegar mu odpowie na pytanie, czy to jego ostatni dzień, czy może nie. Minutę przed dziesiątą zaczął nerwowo wiązać węzły: wyblinki, półwyblinki, skrajniaki, ósemki zwykłe i podwójne, królicze uszy. Minutę po dziesiątej jego ręce pociły się już tak mocno, że pomoczyły sznur, którym się bawił. Po pięciu minutach odrobinę się rozluźnił, a po pół godzinie przez jego twarz przeszło coś na kształt uśmiechu. Rozwiązał szubienicę, zdjął linę i włożył ją do szafy. Wtedy usłyszał dzwonek do drzwi.

— Przeprosom nojmocniej, panocku, ale się zagodołek z jegomościem Tobolakiem o tym warioku młodym Witkiewiczu. Wiyecie, ze on się ponoć dupcy ze swoim kotem? Cego to nie wymyślom te artysty... Plebon fce go namówić, coby postem i modlitwom lecył swojom duse, rzucił wódke i te syćkie kokainy, etery i pejotle, przestoł gonić za babami, zacon wreście piyknie rysować i zyć po chrześcijańsku z babom rodzaju ludzkiego, chocioz fto ich tam wie, te baby, cy to ludzie w ogóle. Mo racje świynty człek, ale przesodzo z tom wódkom. Jo pije juz trzydziyeści roków, a mi nie zaszkodziła ani trochę, ino raz się obudziłek u niedźwiedzicy w gawrze. Póki nie wytrzeźwiołek, się ciesyłek, ze się moja baba zrobiła jakosi taka sympatyczniejsza, do dziś dnia mom bliznę na rzyci. Zodnemu chłopowi nic się nie stanie, kie se casem golnie. Jak to nieboscyk Sabała śpiewoł: „Hej, kie byk mioł śpirytus i świenconom wode. Hej, przerobiłbyk dziyewki ze staryk na młode!"

— Do rzeczy, sietnioku — ofuknął go Roman.

Kiedy Kuba zobaczył wzrok człowieka stojącego w drzwiach, natychmiast przerwał opowieść. Zdecydowanie wolałby w tej chwili dostarczać pocztę wampirowi Nosferatu na Orawski Zamek niż Kordianowi.

— Mom tu dlo wos list. Proszę bardzo. Przeprosom nojmocniej i życe miłego dnia.

Poczciarz podał Romanowi kopertę i uciekł w popłochu, wzbijając kierpcami tumany kurzu. Kordian poczuł, jakby spadła mu na głowę granitowa wanta. Rzucił drżącymi rękoma list na łóżko, wyjął linę i na nowo zawiązał węzeł szubieniczny.

„A więc nie udało się – pomyślał. – Może powinienem był wszystko opowiedzieć Bolesławowi, a nie tylko dać mu wizytówkę Karola znalezioną na Ostrym? Może wtedy ustałaby ta makabryczna korespondencja? Przyznanie się było niemożliwe. Umarłbym podczas opowieści, zresztą, czy ja w ogóle żyję? Czy to można nazwać życiem?"

Zdecydował się skończyć z tym wszystkim raz na zawsze. Wgramolił się na krzesło i włożył głowę w pętlę. Kilka minut stał nieruchomo. Brakowało mu siły nawet na to. A może odwagi?

Postanowił otworzyć list i uroczyście odczytać swój wyrok śmierci. Rozciął kopertę, rozłożył kartkę, żeby ostatni raz zobaczyć dwa znajome złowieszcze słowa.

Czytał z niedowierzaniem:

> Taternik – *Organ Sekcji Turystycznej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Organ oficjalny sekcji taternickiej A.Z.S. w Krakowie. Wychodzi sześć razy do roku. Wydawnictwa Sekcji Turystycznej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego do nabycia za pośrednictwem administracji*

> Taternika, *Kraków, ul. A. Potockiego lokal 4, konto czekowe Sekcji Turystycznej P.T.T. nr 409.570. Zwyczajne zeszyty pojedyncze po 2 złote. Zeszyty specjalne i podwójne po 3 złote.* Taternik *roczniki: 1907, 1908, 1909 i 1911 wyczerpane. Polecamy broszurę* Łomnica *– praca zbiorowa, wydanie luksusowe na kredowym papierze w 35 numerowanych egzemplarzach, Kraków 1931, 5 złotych. Prenumerata roczna* Taternika *wraz z przesyłką pocztową wynosi w Polsce 8 złotych, zagranicą 12 złotych. Wysyła się za pobraniem lub po przekazaniu należytości; na przesyłkę poleconą dołączyć 50 groszy.*

Kordian przeczytał cały tekst uważnie drugi i trzeci raz. Bez wątpienia żadnych podtekstów. Zwykła reklama. I to jeszcze pisma, które sam założył dwadzieścia siedem lat wcześniej. Wredny kapitalizm go przerażał, natomiast sama treść ulotki bardzo go uspokoiła. Czyżby nadszedł koniec jego mękom? Postanowił poczekać do kolejnej wizyty listonosza.

Nazajutrz Kuba Poczciarz nie przyszedł. Kolejnego dnia również. Kordian schował linę do piwnicy.

Dziękuję ci, Karol, pomyślał. Dziękuję, gdziekolwiek jesteś...

Bolesław bardzo się rozczarował mającym odmienić historię taternictwa karteluszkiem od Kordiana. Wszystkie dostępne źródła mówiły o Karolu jako o kłamcy i oszuście. Jego własne teksty ilustrowane zdjęciami alpejskich iglic wcale nie wystawiały mu lepszego świadectwa. Nie istniało ani jedno źródło przedstawiające go w dobrym świetle, dodatkowo okazał się farbowanym lisem, przy pierwszej sposobności zdradził swój kraj i okazał się w życiu człowiekiem równie małym jak w górach. Zdecydowanie nie warto było sobie zaprzątać głowy jego postacią. No, chyba że się interesowało motylami. Lepidopterologiczne teksty Karola miały wartość niepodważalną. Co z tego, skoro on, Bolesław, kompletnie nie interesował się motylkami, robaczkami, chrabąszczami ani pszczółkami, tylko dziejami wspinaczki w Tatrach, a na tym polu, nie licząc wywołania afery ze Szpiczastym Szczytem, Karol żadnych zasług nie miał? To z pewnością fałszywy trop. Skojarzenie musiało być błędne, a wizytówka należała do kogoś innego. Szkoda tylko, że stary zrzęda nie powiedział, do kogo.

Kartka powędrowała do jednej z wielu teczek, a Bolesław zajął się bardziej interesującymi sprawami. Budowaniem dróg i mostów w Afganistanie, walką w Polskich Siłach Powietrznych w Wielkiej Brytanii, pilotowaniem bombowców, wspinaczką w ścianach Grampianów i gór Snowdonii. Wkrótce całkowicie zapomniał o zamazanej wizytówce.

Wbrew temu, czego spodziewał się Kordian, listy przychodziły do niego dalej, tyle że dużo rzadziej, raz na dwa-trzy tygodnie. Traktował je teraz po prostu jako wiadomości od własnego sumienia przypomnienie, że nie zrobił wszystkiego, co było w jego mocy, żeby oczyścić pamięć kolegi z gór. Nie wpędzały go już jednak do grobu.

W jednym z ostatnich artykułów, ku zaskoczeniu wielu, Kordian napisał: „Droga Karola zaimponowała nam niesłychanie... Odwaga zaatakowania tak nadzwyczajnie stromej, niebotycznej, czarnej, odstraszająco groźnej ściany zostawiła za sobą daleko wszystko, cośmy znali w Tatrach... A i potem – przez dłuższy czas – był dla nas Ostry Szczyt symbolem najtrudniejszego wierchu tatrzańskiego i miernikiem wszystkich nowych i starych zuchwałych zdobyczy taternickich".

Wielu plotkowało o zanikach pamięci starego wspinacza, a nawet o korzyściach majątkowych, które miał mu obiecać okryty niesławą Niemiec w zamian za te słowa.

Po opublikowaniu artykułu* nie przyszedł do niego już żaden telegram. Kiedy kilka miesięcy później – 6 grudnia 1934 roku – Kordian zmarł w Krakowie, miał spokojną twarz.

Zapewne byłoby mu przyjemnie, gdyby dowiedział się, że podczas pogrzebu kwiatek na grobie położyła mu sama sędzina von Mais-Kukuruz, której zdjęcie przez ponad trzydzieści lat trzymał w szufladzie. Mimo siwych włosów dalej wyglądała pięknie. W czerni było jej do twarzy. Kwiaty złożyli również Żętyca i Zygmunt-Klemens. Jedną wiązankę dostał również od wysokiego mężczyzny z wąsami, którego nie poznał żaden z żałobników.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Bolesław dużo wspinał się po słowackiej części Tatr. By nie narazić się na nieprzyjemności, lepiej wówczas było unikać terenów przy samej granicy polsko-czechosłowackiej. Dolina Pięciu Stawów Spiskich i Staroleśna odzyskały taką popularność, jaką cieszyły się na początku wieków i w latach trzydziestych. Tylko Szmeks, zwany wtedy już Smokowcem, nie wrócił do dawnej świetności. Do sanatoriów nie przyjeżdżały już wyższe sfery, gdyż wyższe sfery stały się nielegalne. Trudno było usłyszeć miękkie narzecze Niemców Spiskich, język węgierski również był dużo rzadszy, a masowe wycieczki z zakładów pracy korzystały z ogromnych, nowoczesnych – czyli próbujących dogonić standardy dwudziestolecia międzywojennego – domów wczasowych. Wspinacze pojawiali się w Smokowcu wyłącznie przejazdem. Wysiadali na przystanku elektriczki, robili szybkie zakupy i uciekali w góry. Spali w kolebach, pod gołym niebem, w ścianie oraz w schroniskach. W tych niżej położonych, jak Kamzík lub w znajdującym się koło niego chlewie, gdzie

* Znaleźć go można w jubileuszowym numerze „Taternika" nr 4-6 / 1928, s. 99-112.

było najtaniej, ale najbardziej świńsko, bądź w tych wysokogórskich – w Terince, jeśli ktoś wspinał się na Łomnicy, a w Baranich Rogach, Żołtej Ścianie albo w Zbójnickim Schronisku przez bywalców pamiętających je z okresu międzywojennego zwanym nie inaczej, jak tylko Trupiarnią, w przypadku, gdy za swój cel wybrało się urwiska Ostrego Szczytu.

Ileż pięknych dróg już porobiono na Ostrym! Góra znalazła zdobywców zimowych w osobach Alfreda Grosza i Gyuli Komarnickiego. W jej ścianach znajdziemy klasyczną drogę Simona Häberleina i Katherine Bröske, nadzwyczaj trudną drogę przewodników spiskich, szalenie eksponowaną drogę Zamkovskiego, idealnie prostą i wytoczoną bez jakiejkolwiek finezji, choć bardzo praktyczną drogę Thomasa Reizenda nieszczęśliwie zaginionego podczas wojny czy dwie drogi Stanisława Motyki zaliczane do najwspanialszych w Tatrach. Mało kto pamiętał, jakim nimbem niedostępności otoczony był Szpiczasty pół wieku wcześniej i jakie boje toczono o zdobycie jego wierzchołka. Tego lata niemal codziennie kilku taterników obserwowało świat z tego mitycznego miejsca, szczególnie że pogoda była wyśmienita.

W Trupiarni Bolek spotkał dwóch znajomych ze słonecznej strony Tatr – k Laco Šedivego i Milana Rybanskiego. Zapytał ich, gdzie byli. Oczywiście na Ostrym Szczycie. Zrobili drogę Motyki, tę biegnącą południowym filarem. Nie mogli się nachwalić, jak piękny jest pierwszy wyciąg, jaki lity granit, jakiego Motyka miał nosa do wytyczania wspaniałych i trudnych dróg wspinaczkowych.

— *Motyka je fantastický!* — wołał zachwycony Rybanský.

— *Áno! Motyka je fajn! Naopak, tá Kordianova cesta prvého výstupu. Totálna pičovina* — wtórował mu Šedivý.

— Hej, Laco. Totalna piczowineczka — potwierdził płynnie po słowacku Bolesław.

— *Bolko, ty máš zaujem o dejiny horolezectva, hej? Sme našli na vrcholi niečo zaujímavé. Chceš pozrieť?*

— Hej! Moc pożreć. Ja moc chłodny. Chłodniczki. Zjadłbym koniczka z kopyteczkami, hej. I haluszki bryndzowe.

Laco i Milan popatrzyli na siebie porozumiewawczo, powstrzymując uśmiechy. Postanowili wyjść rozmówcy na przeciw, mówiąc w jego języku ojczystym. Polacy w większości przypadków nie orientują się, kiedy Słowacy mówią do nich po polsku i upewniają się w swoim przekonaniu, że język słowacki jest banalny i bardzo podobny do polskiego.

— Hej, hej, Bolko, bryndzowe haluszki... Powiedz. Ty masz zainteresowanie o dzieje horoleżectwa. Zneleźliszmy interesujoncu rzecz na wierzchole. Chcesz zobaczyć?

— Hej, rad zobaczym. Moc interesująca rzecz z wierzcholiczka, hej — odpowiedział po słowacku Bolesław, zadowolony, że wszystko rozumie. Pomyślał, że słowacki jest jednak strasznie podobny do polskiego. Wystarczy się trochę osłuchać.

— Tak sobie hrabałem miedzy kamieniami na wierzchole, bo szukałem wierzchołkowej puszeczki - zaczął Laco, przygryzając wargi przy słowie „szukałem", żeby się nie roześmiać — A kiedym tak odchadzował w dół te wszetkie kamienie, żem znalazł taku mailczku szkatułku.

— Szukałeś puszeczkę na Ostrym, hej. I znalazłeś szkatułkę. Maliczką szkatuliczkę, hej. A w szkatuliczce co?

— Była już dobre rdzawa. W szrodku znalazłem to — wręczył Bolkowi papier. — Je to jakasz nawszcziwenka, listek wizytowy bardzo stari. Już cienżko przeczitać, kogo to je wizytołka, ale może ty dasz radu. To możne, że jest z czasów pierwszego wystupu na Ostry, może troszku młodszia.

— Hej, moc stara. Stariczka wizytówiczka — potwierdził Bolesław. — Maliczko widać szto eta, hej.

Wizytówka znaleziona przez słowackich kamratów na szczycie Ostrego wydała mu się dziwnie znajoma. Skupił się, żeby odczytać nazwisko zdobywcy wierzchołka sprzed pół wieku. Było to trudne zadanie, tylko pojedyncze litery dało się rozszyfrować. Bilecik mocno nadwyrężyły przez te kilkadziesiąt lat wichury, zawieje, zamiecie i ulewy. Był mocno sfatygowany. Między plamami wilgoci i dziurami dało się odczytać literki: „aro itt o E yne dok r au niczych".

Bolek zmarszczył brwi. Niczych... Górniczych? Hutniczych? Pewnie jakiś Ślązak. Aro... Jaro? Maro? Bez sensu. E yne dok r au... Nic mu to nie mówiło. Nie wyglądało to na polskie nazwisko, jednocześnie to „niczych" wskazywało na to, że wizytówka napisana była jednak w naszym pięknym języku. Cóż to słowo z „Itt"... Schmitt? Bittner? Schmittner? Rittner? Ritter? Zaraz, Ritter. Skąd pamięta to słowo?

— Możno to przezwisko doktora Chałubińskeho? Możno był na Ostrom już trzydzieszci roków przed Kordianom? Z wieloma goralami i muzikou. — śmiał się Milan. — Rozpalili na wierzchole ogień i tańcowali zbójnickeho!

— Hej! — zawtórował mu Laco. — Alebo tego niemieckieho szpiona, czo wspinał się z matkou?

Obaj Słowacy umierali ze śmiechu. Bolesław przygryzł wargi i wpatrywał się w tekst. Wiedział, że jest bardzo blisko rozwiązania zagadki.

Nagle jak żywy stanął mu przed oczami świstek papieru, który na kilka miesięcy przed śmiercią wcisnął mu do ręki Kordian: „...ol Ritter von ..... de Pa... ..ktor .auk praw...". Bolesław spojrzał jeszcze raz na swoje „K aro itt o E yne dok r au niczych". Literki pięknie się uzupełniały.

Po plecach przeleciał mu dreszcz.

— Karol Ritter von E..... de Payne, doktor nauk prawniczych — szepnął sam do siebie z niedowierzaniem, a na głos powiedział:

— O, kurwiczka!

— A więc puścisz to w nowych „Wierchach", tak? Pięćdziesiąt stron!? Fiu, fiu. No, to będzie bomba. Tytuł, tak sobie myślę, niech brzmi *Pamięci zdobywcy Ostrego,* co ty na to? Albo *Sekretne życie motyla,* ale jeszcze się nie zdecydowałem. To pierwsze lepsze? W porządku. Dziękuję ci, Władziu, będziemy w kontakcie.

Zadowolony z rozmowy z Władysławem Krygowskim, naczelnym "Wierchów", Bolesław odłożył słuchawkę i sięgnął po notes z telefonami. Wykręcił 41-07-87.

— Redakcja „Taternika", w czym mogę pomóc? — usłyszał znajomy głos Józefa Nyki.

— Cześć, Józiu, tutaj Bolek. Dzwonię w sprawie artykułu o Karolu. Przed chwilą rozmawiałem z Władysławem Krygowskim. „Wierchy" dadzą mi pięćdziesiąt bitych stron. Od ciebie chcę osiem. Odkryłem coś bardzo ciekawego... Mimo tych nieudolnych retuszów i, delikatnie mówiąc, przesady w opisach trudności, wszystkie jego wejścia szczytowe, w tym na Ostry, były prawdziwe. Zdaję sobie sprawę, że to ciężko nazwać odkryciem i że większość wspinaczy już w to nie wątpi. Ze względu na to, jaka czarna legenda narosła wokół jego postaci, sam wiesz: Metoda K i tak dalej, myślę, że wypada napisać to czarno na białym. Nie zawracałbym ci jednak głowy, gdyby chodziło tylko o to. Wszyscy mówią o Karolu tylko w kontekście jego taternictwa, a przecież to był malutki epizod z jego życia. On był wtedy jeszcze prawie dzieckiem. Naprawdę ciekawie zaczyna być dopiero później. Przez kilkanaście lat zajmowałem się jego życiem, od kiedy zniknął z Tatr. Co? Oj, nie, nie skończył w szpitalu psychiatrycznym... Słuchaj...

Karol nie był zwykłym wykładowcą statystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Porwał go inny zawód – Bolesław czytał z kartki przygotowany na tę okazję efektowny akapit. – Jakżeż odmienny od spokojnego i utartego życia profesorskiego, w gabinecie wypełnionym książkami. Zawód, w którym odwaga łączy się z zimną krwią, gdzie ryzyko jest codziennością, a jednocześnie tylko klęska może przynieść rozgłos. Sukces zawsze jest otoczony milczeniem.

Drzwi do celi zostały otwarte przez niskiego człowieka w kurtce koloru feldgrau i troszkę jaśniejszej czapce z orłem i trupią czaszką. Dobrze wystudiowanym gestem wycelował lufę pistoletu w wąsatego mężczyznę i z kamienną twarzą położył palec na spuście.

W ciągu ułamka sekundy w głowie starego pojawiło się kłębowisko myśli oraz setki, a nawet tysiące miejsc jednocześnie. Widział chmury zalegające głęboko w dolinie i wystające z nich wieże Jaworowych Szczytów skąpane we wschodzącym słońcu, czuł tatrzański wiatr.

W jednym i tym samym momencie znajdował się w Tatrach Wysokich i w Alpach. Na Matterhornie, Gerlachu, na kwitnącej dziesiątkami barw łące w Dolinie Staroleśnej. Na nartach, przemierzając lodowiec w masywie Mont Blanc, gdzie nawet niebo miało białą barwę, i asekurowany liną przez starego Spiskiego Niemca w północnych zerwach Ostrego Szczytu.

Widział jednocześnie matkę pozującą do zdjęcia na kamieniu w Dolinie Staroleśnej w sukni i kapeluszu, jak i swoją żonę całą mokrą po wpadnięciu do Zimnej Wody. Widział jej pogrzeb dwa lata później. Widział jej piękną siostrę oraz durny, elegancki tłum skandujący „Metoda K! Metoda K!". Widział ojca, który na krótko przed śmiercią go przestrzegł:

— Pamiętaj, że jest to najniewdzięczniejszy z niewdzięcznych zawodów. Będziesz narażał życie dla ludzi, którzy będą cię wytykali palcami. Nigdy nikt cię nie pochwali, nigdy nikt nie doceni. Będą cię traktowali jak pariasa i szykanowali, a ty będziesz musiał znosić obelgi w ciszy i poniżeniu. Być może zginiesz, a jedyne, czego możesz oczekiwać po śmierci, to paszkwili w prasie. Czy jesteś pewien?

Miał wtedy osiemnaście lat i bardzo chciał być kochanym przez wszystkich.

— Tak — odpowiedział i wtedy pierwszy raz w życiu naprawdę widział dumę w oczach ojca.

— Józiu, pozwól, że dokończę! — Bolesław nie dał dojść redaktorowi „Taternika" do głosu. — Wiem, że wszyscy wiedzieli o jego pracy w wywiadzie. Tylko nikt się nie domyślił, dla którego państwa! Właśnie dlatego trzeba o tym napisać! Otóż Karol, wbrew temu, co się o nim mówiło, nigdy nie był niemieckim agentem, tylko polskim! Zresztą podobnie jak jego ojciec i, być może, pani Antonina. W momencie, gdy zdobywał Ostry, najprawdopodobniej był już przygotowywany do tajnej pracy na rzecz ojczyzny. Karol senior długo pracował na reputację serwilisty, germanofila i gorliwego poddanego Fraciszka Józefa, syn natomiast z ogromną zręcznością wytworzył wokół siebie aurę kłamcy, mitomana, mistyfikatora, współczesnego barona Münchhausena, osoby niegodnej zaufania, a przede wszystkim domniemanego niemieckiego szpiega, dzięki czemu był poza podejrzeniami, prowadząc działalność wywiadowczą na rzecz Polski.

Pozwól, że dokończę! Karol nie był niemiecką wtyką w polskiej delegacji na konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 roku, jak to opowiadano w Tru-

piarni tyle razy. Zresztą nie zabił i nie zjadł również Karla Jurzycy, jak twierdził ten stuknięty profesor z Krakowa. Wiesz, który? Ten, który na godzinę przed śmiercią krzyczał, że się tylko przepoczwarcza i rosną mu skrzydła jak u biedronki. Jak mu było? Dokładnie, Antonius Buchfink, entomolog. Jak mogłem zapomnieć?

Udało mi się ustalić, że Karol pełnił ważną funkcję w oddziale informacyjno-wywiadowczym Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Dostałem list od jego przełożonego z czasów Anschlussu. Napisał, że Karol był doskonałym psychologiem i on, generał Kuniczak, pozwala sobie na najwyższą ocenę jego charakteru i pracy. Karol zajmował się wówczas obserwacją przygotowań Niemców do zajęcia Sudetów.

Józiu, daj mi dokończyć! Gdy w 1941 Komenda Główna Związku Walki Zbrojnej zdecydowała się rozbudować „Stragan", a więc sieć głębokiego wywiadu, na terenie Rzeszy, sześćdziesięcioletni Karol natychmiast do niego przystąpił. Uważał to za swój obowiązek jako najstarszego urzędnika w stanie spoczynku reprezentującego Rzeczpospolitą w Wiedniu. Wiesz, jaki pseudonim przyjął? „Tatrzański"! Był na Matterhornie, Trygławie, na Monte Rosa i w Dolomitach, a jednak najbardziej tęsknił za górami młodości, w których był persona non grata. Piękne i smutne.

Od tego momentu najmniejsze potknięcie lub błąd w sztuce groziły śmiercią. Możesz się domyślić, jak sprawnym agentem był Karol. Jeśli wszyscy naokoło cię podejrzewają o bycie szpiegiem, znaczy, że albo nim nie jesteś, albo jesteś, ale wyjątkowo kiepskim w swoim fachu. Przekonanie całego środowiska o swoich związkach z niemieckim czy tam austriackim wywiadem, kiedy się w rzeczywistości przygotowuje do przyszłych akcji dywersyjnych na terenie tych państw, to majstersztyk. Ileż musiał wycierpieć z tego powodu... Wiesz przecież, z jakimi poniżeniami musiała się wiązać taka reputacja.

Wiem, że to nie jest rozmowa na telefon, ale, Józiu kochany, pozwól, że dokończę. Karol stanął na czele siatki II Oddziału, przez dowódców przeznaczony był do zadań specjalnych. Czy to do tego fachu trenował już na Ostrym Szczycie, nie wiem. Z pewnością nie próżnował. Nie sposób wyliczyć wszystkich jego osiągnięć, zresztą o skali jego działań z braku źródeł i pełnej konspiracji pewnie nie dowiemy się nigdy. Jak widać, sława nie była dla niego najwyższą wartością...

Wiem o tym, że stworzył raport o przewidywanych metodach stosowania broni chemicznej przez Wehrmacht, wskazał lokalizacje wielu fabryk broni i amunicji, w tym lotniczych w Wiener Neudorf, Mödling i Enzesfeld oraz opracował szkice stanowisk artylerii przeciwlotniczej w Wiedniu. Pod pseudonimem „Tatrzański" napisał długie i szczegółowe raporty dotyczące niemieckich

urządzeń przemysłowych, konieczności i sposobów tworzenia organizacji podziemnej wśród polskiej młodzieży wywiezionej do Niemiec do pracy czy wykorzystywania przez Niemców materiałów dawnych ministerstw galicyjskich. Tyle wiem z aktu oskarżenia w sprawie 8 J 251/44G.

Spokojnie. Już kończę. Grupa Karola została zdekonspirowana w 1943 przez zdrajcę Ludwika Kalksteina i jego konkubinę Blankę, agentów Gestapo w polskim wywiadzie. Tych samych, którzy odpowiadają za zatrzymanie generała Grota-Roweckiego – emocjonował się coraz bardziej Bolesław. – Karol siedział w więzieniach Margarethengefängs i Untersuchungshaftenstalt I. Musiałem sobie to z kartki przeczytać, naprawdę parszywy język. Najciekawsze jest to, że do zakładu karnego przewożą go razem z innym taternikiem, Staszkiem Słonką, który dziś już od dobrych kilkunastu lat opowiada po schroniskach o losie Karola. Wiesz, czemu mało kto go słucha? Gdyż widział, co się stało z Karolem, na własne oczy. Reszta, która opowiada o tym, że był niemieckim agentem, kłamcą i polakożercą, opiera się natomiast na daleko godniejszych zaufania relacjach. Brat, kuzyn lub bliski przyjaciel powiedział im w zaufaniu, że jego kolega dowiedział się od gościa, który coś tam gdzieś tam wyczytał. Informacja zapośredniczona przez tyle źródeł zawsze brzmi dużo bardziej wiarygodnie niż opowieść jakiegoś przypadkowego faceta, szczególnie jeśli ta druga nie jest zgodna z naszymi poglądami, czyż nie?

Ruszają procesy. Wyrok był z góry ustalony – śmierć. Trzeba było jednak rozegrać teatr, by móc odczytać tę przerażającą formułę: *In Namen des deutschen Volkes,* w imieniu narodu niemieckiego, w majestacie prawa. Podczas rozprawy pytano oskarżonych wyłącznie o imię i nazwisko, nic więcej. Karol, czyli „Tatrzański", „Katarzyna", czyli Władysława Maciesza, Zofia Kubusko, tajemnicza Karolina Schmecks i Rudolf Zwasta. Wszyscy skazani na śmierć. 14 marca Berlin zatwierdza wszystkie wyroki, a dwa tygodnie później wojska radzieckie wkraczają do Austrii. Skazani czekają.

O, wreszcie słuchasz. 5 kwietnia, a więc dzień przed tym, kiedy radzieckie czołgi dotarły do przedmieść Wiednia, Karol oraz czterdziestu trzech innych skazanych mężczyzn zostaje wyciągniętych z celi śmierci i pognanych na piechotę pod eskortą do więzienia w Stein an der Donau. Osiem dni później Wiedeń zostaje zdobyty przez Drugi i Trzeci Front Ukraiński.

Wiedeń płonie, między ruinami grasują bandy napadające na bezbronnych ludzi, a dyrektor więzienia w Stein nad Dunajem podejmuje decyzję o zwolnieniu więźniów. Wie, że wojna jest przegrana. Ludzkie odruchy szybko zostają przytłumione przez niemiecki charakter. Zamiast uwolnić wszystkich przetrzymywanych od razu, każdy stojący na dziedzińcu musi przejść przez czasochłonne i żmudne procedury biurokratyczne.

Ten niemiecki wewnętrzny przymus wykonywania rozkazów co do joty ma jednak swoje dobre strony. „Katarzyna" i Karolina Schmecks wychodzą na wolność. Kilka dni wcześniej zwolniono wszystkie inne kobiety. Wiesz, jaki był oficjalny powód uwolnienia tych dwóch? Obie skazane zostały na śmierć przez zgilotynowanie. W Wiedniu nie było jednak żadnej gilotyny. Wszędzie wokół śmierć, leżą stosy trupów, ludzie giną w każdy możliwy sposób, w wiedeńskim więzieniu jednak władze nie wiedzą, co począć. Kazali zabić gilotyną, musimy zabić gilotyną. Nie ma gilotyny? Wypuszczamy skazane na wolność. Nigdy nie zrozumiem Niemców. Nigdy. Polak toby szpiega niemieckiego zabił czekanem czy nawet drugim śniadaniem, jakby była taka potrzeba. W tej sytuacji cieszę się jednak, że Niemcy zachowali się zgodnie ze swoim duchem narodowym.

Ale wróćmy do więzienia w Stein – relacja Bolesława stawała się coraz szybsza i bardziej gorączkowa. Niemal krzyczał do słuchawki. – Więźniowie stoją i czekają na wolność, od której dzieli ich już tylko biurokracja, aż nagle do więzienia wpada fanatyczny oddział SS! Rozpoczyna się masakra. Esesmani mają karabiny maszynowe, wszyscy na dziedzińcu padają martwi pod ich kulami. Ludzie kryją się po korytarzach, w celach, w stołówce, w piwnicach. Wszyscy jednak zostają znalezieni i bestialsko zamordowani, włącznie z dyrektorem więzienia i strażą. Czterysta bezsensownych śmierci. Karol również nie zdołał się ukryć. Ginie od esesmańskiej kuli śmiercią bohatera.

Esesman zdjął palec ze spustu i niespiesznie zaczął wymieniać magazynek parabellum. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, a cisza piszczała rozdzierająco.

— Piękną masz szarotkę na mundurze — powiedział stary żołnierz, wskazując na naszywkę na rękawie munduru. — Dalej lubisz góry, prawda?

Załadował bez słów pistolet i wymierzył go w starego więźnia. Ale nie wystrzelił.

— Wojna się już kończy. Dwa, może trzy tygodnie i Niemcy podpiszą kapitulację. Będzie wreszcie czas na wspinaczkę w Alpach. Albo może nawet w Tatrach. Prawda... Thomas?

— Nie chodzę już po górach, Karol — odpowiedział esesman Thomas Reizend. — Walczyłem o słuszną sprawę. Chciałem, żeby na świecie był porządek. Żeby panowały jasne zasady. Wiesz, właśnie to kochałem w górach. Nie widoki, nie te bzdury o nieskrępowanej wolności i lataniu razem z orłami. Turystyka była dla mnie treningiem mięśni i siły woli, a we wspinaczce lubiłem Ordnung. Przygotować sprzęt, sklarować linę, podejść pod ścianę, wyznaczyć linię, wykonać czynności, znaleźć się na wierzchołku i zejść z niego. Wiem, że przegramy wojnę. Takiego świata już nie będzie. Będą rządzić

dzikusy, będzie kocia muzyka i pijaństwo, ogólna pstrokacizna i wszystkie kolory tęczy. Nikt już nie będzie wiedział, co to jest obowiązek i rozkaz, co to znaczy szacunek dla przełożonego i prawdziwy porządek.

— Musisz zatem mnie zastrzelić. Taki dostałeś rozkaz. Prawo nie działa wstecz — odpowiedział spokojnym głosem Karol.

— Wiem, Karol, że twoja śmierć jest niepotrzebna — pistolet w dłoni Thomasa Reizenda zaczął się lekko trząść. — Wiem, że prawo zmieni się za miesiąc, za tydzień lub jutro. Podziwiam cię i uważam za bohatera, marzę, żebyśmy po wojnie mogli się zaprzyjaźnić i razem chodzić po górach, gdyż nie mam już nikogo... Nic na to nie poradzę. Świat wariuje, ale to nie znaczy, że ja też mam oszaleć. Muszę stać na straży porządku.

— *Dura lex, sed lex*. Trzeba zabić starego druha.

— Przykro mi, Karol. Liczy się *Ordnung*. W imię zasad, przyjacielu.

Strzał. Ciało z głuchym łoskotem upadło na podłogę. Thomas stał przez chwilę nieruchomo. Wydawało mu się, że zobaczył w celi czarnego motyla. Szybko się otrząsnął i wrócił do wykonywania obowiązków służbowych.

EPILOG
SZTUCZKA Z JĘZYKIEM

Skąd to wszystko wiem? Lata badań, wyjazdów do Niemiec i Austrii, wizyt w archiwach, rozmów. Pierwszy ślad znalazłem jednak w najmniej oczekiwanym miejscu. W Peru. Spotkałem tam... Nieważne. To nie jest historia na telefon... Jesteś zainteresowany? Wspaniale! Co tam w ogóle u ciebie słychać?

Słuchając Józefa Nyki, bawił się szpargałami na biurku. Obracał w palcach swój skarb: list, który dostał od nieznajomego człowieka dwadzieścia jeden lat wcześniej, gdy pracował w stolicy Peru jako konstruktor falochronów, dokładnie 6 czerwca 1951 roku.

Zlecenie pracy w dzielnicy Miraflores dostał nagle i zupełnie niespodziewanie. Zresztą do dziś nie wie, jak to się stało, że peruwiańska firma budowlana zadzwoniła właśnie do niego, gdyż jej pracownicy sami nie byli w stanie mu tego powiedzieć. Nigdy nie był specjalistą od falochronów, ale zawsze miał ochotę zobaczyć Amerykę Południową.

Tamtej nocy wyszedł do miasta świętować z kolegami z pracy skończoną konstrukcję, przedyskutować przebieg procesów norymberskich, pogawędzić o Andach i dobrze się bawić. W pewnym momencie przysiadł się do niego pewien człowiek i zapytał po niemiecku, czy był w Tatrach w Dolinie Staroleśnej. Potwierdził.

Rozmawiali bardzo długo. Rozmowa początkowo dotyczyła Szpiczastego Szczytu, Szmeksu i Tatr z początku wieku, później nieznajomy zaczął opowiadać o II wojnie światowej i więzieniu w Stein an der Donau. Bolesław słuchał jak zahipnotyzowany.

Starszy mężczyzna opowiadał wszystko spokojnie i rzeczowo. W końcu wręczył mu list. Zawierał tylko dwa słowa.

— Co to ma znaczyć? Czy pan sobie ze mnie żartuje? — zdziwił się Bolesław.

— A wyglądam na żartownisia? — mężczyzna świdrował go wzrokiem. Nie wyglądał ani na żartownisia, ani nawet na kogoś posiadającego poczucie humoru. — Od czasów Stein an der Donau dostałem takich listów mnóstwo. Jutro przestaną przychodzić.

— O co panu chodzi?

— Najważniejsze są zasady. Muszę wymierzyć sobie karę — poinformował chłodno i wyszedł, zostawiając zaskoczonego Bolesława samego.

Teraz już wie, co tak naprawdę znaczy „Carolus Victor". Nigdy nie dowiedział się, kim był człowiek napotkany w nocy, ani co się z nim stało.

— A jak sprzedaje się twój przewodnik, Józiu? Bardzo się cieszę! Sam noszę się z napisaniem książki. Nie, nie tylko o Karolu. Historyczną, o dziejach taternictwa. O górach i ludziach — taki będzie miała tytuł. Mam mnóstwo materiałów. Nie mam natomiast zacięcia pisarskiego. Napisałem kilka opowiadań, takich, jak to się mówi, bujdałek, ale zdaję sobie sprawę, że nic z tego nie będzie. Powiem ci, że marzy mi się, żeby jakiś lepszy pisarz zabrał się za historię życia Karola. To wymarzony materiał na powieść. Widzę oczyma wyobraźni, jak mogłaby wyglądać fabuła. Dwie strony medalu. Opisy trudnych wspinaczek, ciągłego zimnego dotyku śmierci na karku i patriotycznego ognia płonącego w sercu skonfrontowane z epizodami wojennymi i pracą w wywiadzie. Piękna i majestatyczna tatrzańska przyroda z jednej strony, a pożoga wojenna z drugiej. Tylko żeby znalazł się pisarz na tyle odważny, by pisać prawdę i wystarczająco utalentowany, by ubrać potęgę gór i wielkiej historii w słowa. Oddać piękno postaci Karola.

Mam dla przyszłego pisarza tytuł: *Carolus Victor czyli sekretne życie motyla*. Świetny, nie? Karol tak uwielbiał motyle... Co ja bym dał, żeby udało się pisarzowi nakreślić metaforę życia Karola jako życia motyla... Widzę to oczyma wyobraźni. Poznajemy młodego Karola, który jest zupełnie jak ta gąsienica: zachłannie żeruje na sławie i nie przejmuje się niczym. Jest żarłocznym pasożytem, chociaż wydaje się kolorowy i piękny. Następnie Karol staje się poczwarką. Przechwala się, retuszuje zdjęcia. Całe środowisko dostrzega tę jego ohydną powłokę, wytyka go palcami i opluwa. W środku jednak kiełkuje już całkowita przemiana, do której nie jest jeszcze gotowy. Ta nastąpi w ostatniej części opowieści podczas wojny. Wtedy ukaże się nam wszystkim jako wspaniały motyl. Piękny i godny podziwu nie dzięki dokonaniom w górach czy innym błahostkom, ale dzięki bohaterskiej walce za ojczyznę i poświęceniu dla ludzi, którzy go wcześniej wyszydzali. Będzie zwycięzcą. Jak w tym słynnym telegramie do Janusza Chmielowskiego. „Szpiczasty wzięty – Carolus Victor". To będzie piękna powieść, jeśli ktoś ją napisze – westchnął Bolek i kątem oka rzucił przelotne spojrzenie na gruby plik kartek zapisa-

nych na maszynie. – Wątpię, szczerze wątpię, żeby wśród młodych znalazł się taki pisarz. Tylko, Boże broń, żeby nie zabrał się za to jakiś grafoman-postmodernista! Nie ma nic obrzydliwszego, niż wejść z butami w czyjeś życie i zbrukać je głupawymi dowcipami, infantylnymi wątkami romansowymi, jałowym filozofowaniem, środowiskową satyrą czy jakimiś wątkami fantastycznymi, jak to ostatnio jest w modzie. Realizm magiczny... Okropieństwo! Zawsze trzeba pamiętać, że pisze się o żywym człowieku, choćby już nieżyjącym. Co mówisz? Żeby wyrzucić z podtytułu to „sekretne życie motyla", bo kicz straszny? Może i masz rację. Może wystarczy sam Carolus Victor... Uwidzimy w swoim czasie.

A więc jesteśmy umówieni? Kiedy wyjdzie drukiem? Ten rocznik, drugi numer? Świetnie. Obok jakiego tekstu to zamieścicie? O polsko-radzieckiej wyprawie alpinistycznej na Marsa? Ha, ha. Czego to ludzie nie wymyślą...

— Mam jeszcze jedną ciekawostkę — kontynuował opowieść Bolesław. — Odkryłem, kim była sądzona razem z Karolem agentka Karolina Schmeks. Zainteresowałem się tą postacią, kiedy wyczytałem, że specjalizowała się w zbieraniu na ważnych niemieckich finansistów „haków" związanych z ich nieobyczajnym prowadzeniem się. Podobno była w tym jednym z najlepszych ekspertów w Europie. Kiedy tylko doszło do mnie, w jaki sposób zbierała kompromitujące informacje, od razu domyśliłem się, o kogo chodzi. Nie pomyliłem się! Kazała cię zresztą pozdrowić. Wiesz, o kim mówię, Józiu? Nie? A pamiętasz schronisko Trupiarnia zaraz przed wojną? Zgadłeś! Tak, trzyma się świetnie, właśnie miała dziewięćdziesiąte urodziny. Twierdzi, że poznała sekret długowieczności, ale nie powie przy ludziach, jaki. Co? Dokładnie! Sztuczka z językiem była niepodrabialna! — Obaj zaśmiali się nostalgicznie na wspomnienie atmosfery Doliny Staroleśnej lat trzydziestych, gdzie sędzina Lina von Mais-Kukuruz zwykła spędzać wakacje z dala od męża, za to blisko młodych talentów taternickich. — Ciekawe, czy dalej to potrafi? Nie zdziwiłbym się.

Zakopane, 1 stycznia 2015 r.

POSŁOWIE

BRATERSTWO I SIOSTRZAŃSTWO LINY

Carolus Victor to, według słów Autora, bujdałka, powieść-niby-o-Karolu Englischu, człowieku barwnym i nietuzinkowym. Był on jednym z najlepszych wspinaczy przełomu XIX i XX wieku, dokonującym licznych pierwszych wejść w Tatrach, a zarazem prawnikiem, entomologiem i członkiem wywiadu, wojennym bohaterem. Niezwykłe losy tej postaci same w sobie stanowią znakomity materiał na książkę.

Hubert Jarzębowski zrezygnował jednak ze sztywnego trzymania się faktów. Zamiast klasycznej biografii stworzył tekst nietypowy dla literatury górskiej, oryginalny i osobny, postmodernistyczną bujdałkę, jak sam ją nazwał. Jego dzieło nie odtwarza wiernie rzeczywistości, ale stanowi grę wyobraźni. Okazuje się intertekstualne, eklektyczne oraz autotematyczne, gra z czytelnikiem i ze sztywnymi prawidłami, umiejętnie miesza gatunki, poetyki, style oraz konwencje, sprawnie balansuje między wzniosłością a śmiesznością, między patosem a humorem niczym filmy Monthy Pythona czy Quentina Tarantino. W *Carolusie Victorze* można odnaleźć wpływ realizmu magicznego w stylu Michała Bułhakowa oraz pisarzy południowoamerykańskich, opowieści niesamowitych Edgara Alana Poe czy E. T. A. Hoffmana, a także postmodernistycznego antykryminału. Powieść dzięki talentowi, pomysłowości i samoświadomości autora staje się czymś więcej niż tylko kolejną biografią i stanowczo wykracza poza niszę literatury górskiej.

O wspinaczce Hubert Jarzębowski pisze zarazem z pasją, jak też z ironią i dystansem. Pokazuje zalety i wady tego sportu oraz uprawiających go ludzi, a także stara się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego niezdobyte szczyty tak bardzo ich pociągają. Autor ujawnia ogrom wiedzy o historii taternictwa, a także o sprzęcie i postaciach słynnych wspinaczy z przełomu XIX i XX wieku. Nie traktuje ich jednak czołobitnie, nie widzi w nich herosów sięgających, kędy wzrok nie sięga, a przynajmniej nie tylko. Wręcz przeciwnie, na kanwie biografii Karola oraz innych taterników Hubert Jarzębowski

kreuje nieco karykaturalnych, chociaż bez wątpienia budzących sympatię, a momentami nawet podziw, pełnokrwistych bohaterów oraz osadza ich we wciągającej, romansowej fabule. Trudno nie polubić postaci wiecznie pijanych borowiczką przewodników, którzy prowadzą kolejnych, naiwnych turystów na wciąż te same, rzekomo dziewicze szczyty. Trudno nie śmiać się z żarłoczności sędziego von Mais-Kukuruza i jego gargantuicznej córki Hubertyny. Trudno wreszcie nie utożsamić się z rozterkami nastoletniego Karola przeżywającego w sposób równie dramatyczny, co komiczny miłość do Liny, klasycznej femme fatale.

Sposób przedstawienia Karola, jego młodzieńczych marzeń, dylematów oraz zachodzących w nim przemian, które przekształcają go z gąsienicy w motyla, wpisuje książkę Huberta Jarzębowskiego w krąg bildungsroman, powieści inicjacyjnej. W literaturze tego typu protagonista nie jest statyczny, niezmienny, ukształtowany, nie prezentuje stałych i silnych cech charakteru oraz przekonań. Wręcz przeciwnie, zmienia się na oczach czytelników, dojrzewa, kształtuje osobowość, poglądy, normy postępowania, wytycza sobie nowe cele i uczy się je konsekwentnie realizować, a także dokonuje wyborów, jakie zaważą na całym jego życiu. W *Carolusie Victorze* elementami pozwalającymi bohaterowi dorosnąć okazują się Tatry, na które z tak wielką pasją i talentem się wspina, a także ludzie, których tam spotyka, oraz szeroko pojęte tło kulturowo-społeczne. Czytelnicy nie mają jednak okazji śledzić całego procesu przekształcania się poczwarki w motyla. Hubert Jarzębowski tworzy bowiem biografię fragmentaryczną, w której skupia się na kilku epizodach z młodości Karola oraz na jego tragicznej śmierci (scenie stworzonej w sposób mistrzowski, zarazem patetycznej, wzruszającej, jak i komicznej oraz świadomie igrającej z konwencją). To, czego dowiadujemy się o inicjacji bohatera – zarówno wspinaczkowej, jak też seksualnej i społecznej – nie wyjaśnia do końca, dlaczego stał się takim, a nie innym człowiekiem, dlaczego podjął takie, a nie inne wybory. Natomiast długie lata, jakie Karol przeżył pomiędzy ślubem a śmiercią zostają opisane bardzo zdawkowo i fragmentarycznie. Sporo należy się domyślić, często trzeba też zadowolić się plotkami przekazywanymi sobie nawzajem przez inne postacie w powieści. Mechanizm plotki, podobnie jak mechanizm reklamy, autor opisuje zresztą bardzo trafnie i zarazem zabawnie.

Tym, co szczególnie urzeka w *Carolusie Victorze* i co czyni zeń utwór wykraczający poza niszę literatury górskiej, okazuje się odmalowany z niezwykłą sprawnością klimat Młodej Polski. Podobnie jak w przypadku historii taternictwa Hubert Jarzębowski wie o kulturze przełomu XIX i XX wieku naprawdę sporo i właśnie ta wiedza pozwala mu nie zawsze trzymać się faktów,

lecz swobodnie igrać z naczelnymi bohaterami, motywami i obsesjami opisywanego okresu. Nad powieścią unosi się duch szokujących filistrów „Rusałki Tetmajera, Brudnicy Kasprowicza i Niepylaka Przybyszewskiego", a także coraz modniejszego w owym czasie doktora Freuda. Młodzi wspinacze popadają w egzaltację i uwodzą dziewczęta opowieściami o stanie nirwany doznawanej na szczycie. Starsze pokolenie gorszy się upadkiem obyczajów zapoczątkowanym przez artystyczną bohemę. Do dobrego tonu (trzymanie się zasad savoir vivre'u to rzecz niezwykle istotna dla belle époque) należy kupowanie biżuterii w stylu art nouveau, obrazów Gustava Klimta oraz chodzenie na sesje terapeutyczne do doktora Freuda. Jeżeli zaś doktor mówi rzeczy nieprzyzwoite, pasujące raczej do artysty i utracjusza, aniżeli do szacownego lekarza, należy nie wynosić oburzenia poza jego gabinet.

Co ciekawe, żeńskie postacie w powieści okazują się tak samo pełnokrwiste jak męskie. Autor rezygnuje ze szczegółowego opisywania typowych pań tamtych czasów – skrępowanych gorsetem, konwenansami i katechizmem kur domowych i „bluszczy", których horyzont po skończeniu kilkuklasowej pensji bądź po odebraniu fragmentarycznej edukacji domowej okazuje się zawężony do spraw domu, rodziny, dbania o urodę oraz do przyjęć w zacnym towarzystwie. Taką niewiastą jest jedynie szacowna pani Konopnicka, matka oryginalnych, a zarazem tak różnych jak ogień i woda córek – Liny i Miny. Huberta Jarzębowskiego interesują nie stateczne matrony, ale postacie kobiet silnych, samoświadomych i radzących sobie w męskim świecie na różne sposoby – nie tylko siłą uroku osobistego, ale też siłą charakteru oraz intelektu.

Niezwykle barwną bohaterką jest nieco zbyt autorytarna, ale bez wątpienia szczerze kochająca syna, odważna i nigdy nietracąca zimnej krwi Antonina Englischowa. Mimo że zawsze chodzi w góry z parasolką, to nie ustępuje wspinaczkowymi umiejętnościami panom. Wspólnie z Karolem, będąc jego trenerką i mentorką, dokonuje wielu pierwszych wejść na tatrzańskie szczyty. Hubert Jarzębowski kreśli postać Antoniny w sposób komiczny, przerysowany, a zarazem głęboko niejednoznaczny. Nadopiekuńczość, przez którą kobieta niejednokrotnie ośmiesza syna, początkowo irytuje i oburza czytelników, przy okazji bawiąc do łez. W późniejszych partiach powieści, gdy dowiadujemy się o szpiegowskiej działalności rodziny Englischów oraz o konieczności zastosowania przez nią strategii mimikry, zaczynamy patrzeć inaczej na postępowanie matki Karola, widząc w nim celowy i konieczny zabieg.

Obok pani Antoniny na kartach *Carolusa Victora* pojawia się Lina, jej całkowite – zdawałoby się – przeciwieństwo. Bohaterka ta to typowa dla epoki kobieta fatalna, piękna, tajemnicza, doprowadzająca kolejnych mężczyzn do obłędu, a czasami nawet do pojedynków. Autor opisuje ją jednak bez mło-

dopolskiej mizoginii, a wręcz przeciwnie – z sympatią, a wręcz z zachwytem. Nawet Mina, siostra bohaterki, która za nią nie przepada i nazywa ją puszczalską, przyznaje szczerze, że mężczyźni wpadający w sidła Liny i łudzący się, że poprzez seks ją „posiedli", są naiwni i sami sobie winni. Ostatnie partie powieści, podobnie jak w przypadku pani Antoniny, ukazują Linę w całkowicie odmiennym świetle – nie jako barwnego motylka skaczącego z kwiatka na kwiatek, ale jako niezwykle inteligentną, wyrafinowaną i przebiegłą kobietę, której urok służy nie tylko do zabawy, ale też do działalności szpiegowskiej.

Na uwagę zasługuje ponadto żyjąca w cieniu siostry Mina – jedna z ówczesnych pionierek emancypacji, istota poczciwa, a zarazem nieprzeciętnie mądra, ironiczna i przedsiębiorcza. Gdyby urodziła się chłopcem, ojciec posłałby ją na studia prawnicze. Jako dziewczyna ma tylko jedno wyjście – za mąż. Zamiast jednak biernie czekać na księcia z bajki, uwodzi tego spośród adoratorów siostry, który najbardziej jej się podoba, oraz wspiera go w jego dążeniach i ambicjach, niejednokrotnie okazując się od niego o wiele mądrzejsza. Mina nie realizuje się jednak wyłącznie poprzez ukochanego mężczyznę. Sporo czyta i nie waha się wyrażać własnego zdania, chociażby bardzo kontrowersyjnego, zwykle przy butelce wina spożywanego w ilościach niedopuszczalnych przez konwenanse. Mina okazuje się najbardziej pozytywną, najmniej wyśmianą postacią wykreowaną przez autora. Utożsamić się z nią może każda niezbyt popularna, ale za to ambitna i samoświadoma, współczesna intelektualistka. Każda będzie też współczuć jej tragicznemu losowi oraz ograniczeniom, jakie narzuciła jej epoka.

Wielkim atutem *Carolusa Victora* jest wyczucie językowe, zabawa słowem. Stylizacje na góralską czy wspinaczkową gwarę udają się Hubertowi Jarzębowskiemu znakomicie. Zachowując komunikatywność, okazują się zarazem wyraziste i przezabawne. Zwłaszcza opowieść poczciarza Kuby o ekscesach Witkacego budzi śmiech. Autor bardzo naturalnie łączy też napuszony język przełomu XIX i XX wieku ze współczesnym, co daje typowo postmodernistyczny, komiczny efekt. Największe wrażenie wywiera skojarzenie, na którym opiera się w zasadzie cały zarys fabuły – przekształcenie słynnego, taterniczego braterstwa konopnej liny na braterstwo Liny Konopnickiej, femme fatale doprowadzającej do szaleństwa kolejnych wspinaczy.

Powieść Huberta Jarzębowskiego to książka tylko w pewnej mierze o górach, a przede wszystkim pełna świeżości, błyskotliwości i dowcipu autotematyczna, postmodernistyczna bujdałka. Mówi ona o sprawach uniwersalnych, jak dorastanie, miłość, przyjaźń, ambicja, rywalizacja, honor. Ponadto odtwarza niepowtarzalny klimat Młodej Polskiej i jakże modnych wówczas

taternickich kurortów. Pisanie Huberta Jarzębowskiego wciąga, bawi, wzrusza i zadziwia swobodą gry z konwencją oraz z czytelniczymi oczekiwaniami. Zarazem okazuje się głęboko indywidualne, naznaczone wyrazistym, autorskim piętnem. Aż trudno uwierzyć, że to debiut i że autor ma zaledwie dwadzieścia siedem lat.

Weronika Górska

KAROLA ENGLISCHA PORTRET WIELOKROTNY

Znamy dwa portrety Karola Englischa. Na pierwszym widzimy nastoletniego chłopaka o pucułowatej twarzy, z ładnie uczesanymi włosami z przedziałkiem, młodzieńczym wąsem oraz postawą ciała i uśmiechem mającymi świadczyć o wielkiej pewności siebie. Ubrany jest dość osobliwie. Jak prawdziwy młody dżentelmen końca XIX wieku ma na sobie białą koszulę z kołnierzykiem i krawat w paski. W odróżnieniu od innych chłopców z wyższych sfer na grzbiet do zdjęcia założył jednak szarą wojskową kurtkę, na ramię zarzucił skórzaną torbę i przepasał się konopną liną. Jest największym zdobywcą tatrzańskich szczytów, najlepszym taternikiem swoich czasów. I chce, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Na drugim zdjęciu widzimy mężczyznę o surowym wyrazie twarzy. Jego oblicze poorane jest zmarszczkami, ma bujne wąsy i odsłoniętą pierś. Nie ma niczego do udowodnienia i niczego od ludzi nie chce. Dużo w życiu przeszedł. Jedyne, co łączy te dwie postaci, to zarzucona na grzbiet konopna lina. Tylko ona jest ta sama. Chociaż Englisch był wykluczony przez całe środowisko górskie i nie był mile widziany w Tatrach, nie porzucił wspinaczki. Był

alpinistą i asem wywiadu, a zdjęcie wykonano dwa lata przed największym sprawdzianem życia – wybuchem II wojny światowej.

Gdy w 1896 roku jego mama – Antonina Englisch – pierwszy raz zabrała go w Tatry, Karol miał piętnaście lat. Już rok później stanęli we trójkę, z przewodnikiem Johannem Hunsdorferem starszym jako pierwsi ludzie na wierzchołku Jaworowego szczytu. Tatry były wówczas jeszcze dzikie i niedostępne. Jeszcze dwie dekady wcześniej po Tatrach chadzano głównie gromadnie, w towarzystwie wielu góralskich przewodników i przy akompaniamencie muzyki. Nowoczesne, sportowe podejście do wspinaczki jeszcze nie istniało. Wiele szczytów i turni czekało na swych zdobywców. Do ich zdobycia nawet bardziej niż siła i wytrzymałość potrzebne były nieskrępowana fantazja, rozmach i zapał. Nie licząc oczywiście odpowiedniej zapłaty dla spiskich przewodników. Największymi zdobywcami owych czasów okazali się uczeń krakowskiego gimnazjum i jego mama.

W ostatnich latach XIX wieku padły: Dzika Turnia, Mały Kołowy, Czarny Szczyt, Rogata Turnia, Podufała Turnia. Nic w Tatrach nie udało się Karolowi zdobyć jedynie w roku 1899, gdyż w nagrodę za dobrze zdaną maturę matka zabrała go w Alpy. XX wiek zaczął się od Wielkiej Granackiej Turni i Wielkiego Kościoła, po których przyszła kolej na Śnieżny Szczyt, Mały Jaworowy, niezliczone turnie w Jaworowej Grani i Nowoleśnej Grani. Góra padała za górą, nieznane dotychczas nikomu wierzchołki otrzymywały po zdobyciu nazwę. Niemalże całe Tatry wysokie należały do Karola.

Jako jeden z pierwszych chodził też zimą na nartach. W ten sposób zwiedził między innymi Sławkowski Szczyt, Krzyżne Liptowskie i Krywań.

Zespół wspinaczkowy matki i syna nie należał do codziennych zjawisk. Chociaż chodząca po górach kobieta nie budziła już zdziwienia i szoku, jak przed trzydziestu laty, jednak panie ograniczały się na ogół do dobrze znanych szlaków, choć, trzeba dodać, niekoniecznie łatwych. Antonina Englisch była prawdziwym wyjątkiem.

Nic dziwnego, że poczynania rodziny Englischów budziły zaciekawienie, podziw i zawiść. Dodatkowo podróżowali w Tatrach w inny sposób niż pozostali turyści. Wycieczki zaczynali u podnóża gór, doliny przebywali furkami nocą, nigdy nie biwakowali pod ścianami.

Kolejne wejścia na dziewicze turnie z pewnością cieszyły Karola. Chciał jednak dokonać czegoś większego, zapisać się w historii i panoramie Tatr na zawsze.

Podobnie jak zdobycie Matterhornu oznaczało koniec klasycznej epoki alpinizmu zdobywczego, w Tatrach jedna góra pozostawała symbolem niedostęp-

ności. Był to Ostry Szczyt (2360 m), niewielka, ale bardzo śmiała turnia w grani głównej Tatr pomiędzy dolinami Jaworową na północy i Staroleśną na południu.

Góra uchodziła za niemożliwą do zdobycia. Karol nie mógł nie spróbować.

Pierwszy raz Englischowie wyprawili się na Ostry Szczyt już w 1900 roku w towarzystwie dwóch Johannów Hunsdorferów – ojca i syna, najlepszych przewodników na Spiszu (pani Antonina, z pochodzenia Austriaczka, lepiej czuła się w towarzystwie przewodników niemieckojęzycznych niż polskich górali). Nie udało się wejść na szczyt. Zdobyto tylko „południowy wierzchołek». Stary Hunsdorfer nazywa Szpiczasty Szczyt „przeklętym psem», a nie górą.

Rok później ambitny taternik ze Śląska, Karl Jurzyca, udowodnił, że nie istnieje nic takiego jak „południowy wierzchołek Szpiczastego Szczytu». Nie wszystko, co Karol ogłaszał w niemieckiej, polskiej i węgierskiej prasie było całkowitą prawdą.

Nie zmieniło tego nawet opublikowanie przez Karola fotografii, na której góra rzeczywiście miała dwa wierzchołki...

W 1902 roku Karol oraz jego przewodnicy dokonują prawdziwego oblężenia góry. Zamawiają dziesięć metalowych haków u miejscowego kowala i codziennie umieszczają w północnej ścianie po jeden, dwa. Po przeszło tygodniu wytężonej pracy decydują się na atak szczytowy.

25 sierpnia 1902 roku niemożliwa do zdobycia góra znajduje pogromców. Na wierzchołku staje Johann Hunsdorfer starszy, drugi doskonały przewodnik – Johann Strompf, oraz matka z synem.

Karol macha na wierzchołku biało-czerwoną flagą, by zrobić na złość nielubiącemu Polaków właścicielowi Doliny Jaworowej, księciu Hohenlohe oraz rówieśnikom, którzy widzą w nim syna austriackiego serwilisty. Pani Antonina dla zachowania dobrych obyczajów przed wykonaniem fotografii na szczycie zakłada elegancką suknię oraz kapelusz z szerokim rondem.

Karol zakopuje głęboko pod kamieniami swój bilecik wizytowy. Chociaż ma dopiero 21 lat, nieco na wyrost tytułuje się „doktorem nauk prawniczych». Zostanie on znaleziony dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych przez Laco Šedivego i Milana Rybanskiego.

„Spiczasty wzięty – Carolus Victor"* – telegram takiej treści Karol wysyła do Janusza Chmielowskiego bezpośrednio po zejściu do Smokowca. Najtrudniejsza góra w Tatrach zdobyta – Karol zwycięzca.

* Pisownia oryginalna.

Karol zwycięzca. Tak musiał myśleć o sobie chłopiec z pierwszej fotografii. Dla lepszego efektu dramatycznego teksty o swym wyczynie ilustruje zdjęciami wspinaczki na wspaniałą iglicę skalną.

Niestety nie jest to Ostry Szczyt, a Aiguille d'Argentière w Alpach nieopodal Chamonix, a uwiecznionym na fotografii śmiałkiem nie jest Karol.

W 1903 roku Karol przechodzi grań między Polskim Grzebieniem a Gerlachem, zdobywa Ostrą, Krótką i grań Soliska. Samotnie wchodzi na Zachodni Szczyt Wideł, co w tamtym czasie stanowiło wielką rzadkość. Kończy prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim i zaczyna pracę. Coraz rzadziej bywa w Tatrach, coraz częściej w Alpach. W końcu przestaje w Tatry przyjeżdżać niemal zupełnie.

Pierwsi byli Alfred Martin i Günter Oskar Dyhrenfurth. Przeprowadzili badania i doszli do wniosku, że nie wszystko wyglądało tak jak Englisch przedstawiał. Tu – wyretuszowane albo zgoła nieprawdziwe fotografie, tam – mgliste i niejasne opisy, jeszcze gdzie indziej – brak jakichkolwiek śladów po jego obecności w terenie. Stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że nie był pierwszym, który wszedł na Gerlach granią od Polskiego Grzebienia, gdyż ten zaszczyt przypadł w udziale Alfredowi Martinowi. To nie Karol był pierwszym zdobywcą Grani Solisk, lecz Dyhrenfurth. Wiele innych gór zostało odebranych Karolowi i rozdzielonych pomiędzy zainteresowanych.

Później nadszedł czas Romana Kordysa. Rozwinął on oskarżenia swych niemieckich kolegów w opublikowanym w „Taterniku" w 1907 roku artykule „Mistyfikacye w taternictwie". Udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że Karol Englisch nie wszedł na prawie żadną górę pierwszy. W jednych przypadkach kłamał o swoim wejściu, w innych... przyznawał sobie pierwszeństwo na szczytach, które w ogóle nie istniały!

Te szczyty, które jeszcze nie były zajęte przez Martina, Dyhrenfurtha, Dubkego, Rumpelta, Fabescha i Boehna, Korys rozdzielił po równo między siebie i swych najbliższych przyjaciół z Lwowa – Zygmunta Klemensiewicza i Jerzego Maślankę. Wszyscy trzej byli po pięć lat młodsi od Karola i w Tatry trafili zaraz po nim.

Skąd te ataki? Po części stąd, że na nie po prostu zasłużył. Po części z zamiłowania do prawdy. Ze szczerej chęci „oczyszczenia tatrzańskiej literatury turystycznej z bezliku jego wieloletnich a bezprzykładnych fałszerstw". Dlatego, że Ci wszyscy młodzi chłopcy sami chcieli być kochani i podziwiani. Sami chcieli widzieć się i być widzianymi jako zwycięzcy. Jako Alfredus Victor czy Romanus Victor...

Dla wszystkich było jasne, że nazwisko Karola Englischa to synonim kłamstwa, mitomanii, oszustw i konfabulacji.

Taki stan utrzymał się przez wiele lat. Englisch nie bronił się. Milczał. Zajmował się innymi sprawami. W 1919 roku uczestniczył w konferencji pokojowej w Paryżu, pracował jako profesor statystyki, następnie wstąpił do polskiego wywiadu. Nie przestaje wspinać się w Alpach.

Karol widział Tatry inaczej niż jemu współcześni. Bliżej mu było raczej do spojrzenia Władysława Cywińskiego, skoncentrowanego na najmniejszych szczegółach, na wyławianiu z morza turniczek i skałek takich, które można zdobyć, nadać im nazwę i powiększyć w ten sposób Tatry o nową górę, dwie przełęcze i przynajmniej dwie nowe ściany.

Na tym właśnie polegał jeden z aspektów „sprawy Englischa». Współcześni taternicy nie umieli dostrzec gór, które on dostrzegał. Nie byli w stanie. Stąd oskarżenia, że niektóre ze zdobytych przez niego szczytów nie istniały. Noże, Turnia Hillera, Szczyt Weissa, Szczyt Eljasza istniały jak najbardziej! Ale tylko on je widział...

Gdy w 1941 Komenda Główna Związku Walki Zbrojnej zdecydowała się rozbudować „Stragan» – a więc sieć głębokiego wywiadu – na tereny Rzeszy, sześćdziesięcioletni Karol natychmiast do niego przystąpił. Uważał to za swój obowiązek jako najstarszego urzędnika w stanie spoczynku reprezentującego Rzeczpospolitą we Wiedniu. Przyjął pseudonim „Tatrzański». Był na Matterhornie, Trygławie, na Monte Rosa i w Dolomitach, a jednak najbardziej tęsknił za górami młodości, w których był persona non grata.

Od tego momentu najmniejsze potknięcie lub błąd w sztuce groziły śmiercią.

Karol stanął na czele siatki II Oddziału, przez dowódców przeznaczony był do zadań specjalnych. O skali jego działań z braku źródeł i pełnej konspiracji pewnie nie dowiemy się nigdy. Jak widać sława nie była dla niego najwyższą wartością...

Stworzył raport o przewidywanych metodach stosowania broni chemicznej przez Wehrmacht, wskazał lokalizacje wielu fabryk broni i amunicji, w tym lotniczych w Wiener Neudorf, Mödling i Enzesfeld, i opracował szkice stanowisk artylerii przeciwlotniczej we Wiedniu. Pod pseudonimem „Tatrzański» napisał długie i szczegółowe raporty dotyczące niemieckich urządzeń przemysłowych; konieczności i sposobach tworzenia organizacji podziemnej wśród polskiej młodzieży wywiezionej do Niemiec do pracy, czy o wykorzystywaniu przez Niemców materiałów dawnych ministerstw galicyjskich.

Tyle wiemy z aktu oskarżenia w sprawie 8 J 251/44G. Grupa Karola została zdekonspirowana w 1943 przez zdrajcę Ludwika Kalksteina i jego konkubinę

Blankę, agentów Gestapo w polskim wywiadzie. Tych samych, którzy odpowiadają za zatrzymanie generała Grota-Roweckiego. Karol Englisch siedział w więzieniach Margarethengefängs i Untersuchungshaftenstalt I.

Do zakładu karnego przewożą go razem z innym taternikiem, Staszkiem Słonką, który zaraz po wojnie jako pierwszy poinformował polskie środowisko górskie o losie Karola Englischa.

Ruszają procesy. Wyrok był z góry ustalony – śmierć. Trzeba było jednak rozegrać teatr, by móc odczytać tę przerażającą formułę – *In Namen des deutschen Volkes*, w imieniu narodu niemieckiego, w majestacie prawa. Podczas rozprawy pytano oskarżonych wyłącznie o imię i nazwisko, nic więcej. Karol, czyli „Tatrzański"; „Katarzyna", czyli Władysława Maciesza; Zofia Kubusko i Rudolf Zwasta. Wszyscy skazani na śmierć. 14 marca Berlin zatwierdza wszystkie wyroki, a dwa tygodnie później wojska radzieckie wkraczają do Austrii. Skazani czekają.

5 kwietnia, a więc dzień przed tym, kiedy radzieckie czołgi dotarły do przedmieść Wiednia, Karola oraz czterdziestu trzech innych skazanych mężczyzn wyciągnięto z celi śmierci i pognano na piechotę pod eskortą do więzienia w Stein an der Donau. Osiem dni później Wiedeń zostaje zdobyty przez II i III Front Ukraiński.

Wiedeń płonie, między ruinami grasują bandy napadające na bezbronnych ludzi, a dyrektor więzienia w Stein nad Dunajem podejmuje decyzję o zwolnieniu więźniów. Wie, że wojna jest przegrana. Zamiast uwolnić wszystkich przetrzymywanych od razu, każdy stojący na dziedzińcu musi przejść przez czasochłonne i żmudne procedury biurokratyczne.

„Katarzyna" wychodzi na wolność. Kilka dni wcześniej zwolniono wszystkie inne kobiety. Skazane zostały na śmierć przez zgilotynowanie. We Wiedniu nie było jednak żadnej gilotyny i kobiety zostały ułaskawione.

Pozostali więźniowie jednak stoją i czekają na wolność, od której dzieli ich już tylko biurokracja, aż nagle do więzienia wpada fanatyczny oddział SS. Rozpoczyna się masakra. Esesmani mają karabiny maszynowe, wszyscy na dziedzińcu padają martwi pod ich kulami. Ludzie kryją się po korytarzach, w celach, w stołówce, w piwnicach. Wszyscy jednak zostają znalezieni i bestialsko zamordowani, włącznie z dyrektorem więzienia i strażą. Czterysta bezsensownych śmierci. Karol również nie zdołał się ukryć. Ginie od esesmańskiej kuli śmiercią bohatera.

Nawet najbardziej zaciekli przeciwnicy po upływie czasu zauważyli, że to błaha w swej istocie sprawa. Zwykły spór młodych chłopaków pragnących dokonywać wielkich rzeczy i zostać docenianymi, który wymknął się spod kontroli.

Roman Kordys niedługo przed śmiercią oceniał Karola zupełnie inaczej, niż gdy w wieku 21 lat pisał „Mistyfikacyje w taternictwie»:

« (...) droga Englischa zaimponowała nam niesłychanie... Odwaga zaatakowania tak nadzwyczajnie stromej, nieprzerwanej żadnym piętrem, zdawało się nam niebotycznej, czarnej, odstraszająco groźnej ściany, zostawiła daleko za sobą wszystko, cośmy dotychczas poznali w Tatrach... A i potem – przez dłuższy czas – był dla nas Ostry Szczyt symbolem najtrudniejszego wierchu tatrzańskiego i miernikiem wszystkich nowych i starych zuchwałych zdobyczy taternickich...»

Znamy tylko dwie fotografie Karola Englischa. Jego portretów jest jednak o wiele więcej. Jeden namalował sam – swymi przejściami i tekstami o nich. To jest Karol Zwycięzca, Carolus Victor. Zwycięzca, który nie potrafi powstrzymać się przed dziecinnym retuszowaniem fotografii, by być bardziej kochanym.

Drugi namalowali jego wrogowie. Jest to Karol Kłamca. Kłamca, któremu wszyscy zazdroszczą.

Trzeci portret namalował w latach siedemdziesiątych historyk taternictwa Bolesław Chwaściński w tekstach opublikowanych w „Taterniku» i „Wierchach». Dzięki solidnej i rzetelnej pracy oczyścił imię Karola, udowodnił, że faktycznie był on największym zdobywcą tatrzańskich wierchów. Tam też odmalował piękną wojenną kartę życiorysu Karola. Tę, na której Englisch na nowo namalował swój portret – portret zwycięzcy. Tym razem prawdziwego.

ŚLADAMI ENGLISCHA

Każdy, kto chce zapewnić sobie udany tatrzański sezon (lub kilka), może łatwo to uczynić, podążając śladami pierwszych wejść Karola Englischa. Dla trzydziestu czterech spośród jego wycieczek z lat 1897–1903 znalazło się miejsce w osiemnastu różnych tomach przewodnika Witolda Henryka Paryskiego. Są to:

13.08.1897 – **Jaworowy Szczyt**, K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer st. [WHP t. 16]
14.07.1898 – **Dzika Turnia, Turnia nad Rohatką, Wyżnia Rohatka**, K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer st. [WHP 14]
18.07.1898 – **Mały Kołowy Szczyt**, K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer st., J. Strompf [WHP t. 24]
24.07.1898 – **Czarny Szczyt**, K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer st. [WHP t. 23, 24]
2.08.1898 – czwarte znane wejście na Kołowy Szczyt z Czarnego, K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer st., J. Strompf. Szli z Zielonego Stawu „górnym trawersem" przez Długi Jastrzębi Żleb do Doliny Jastrzębiej [WHP t. 23, 24]
16.07.1900 – zejście z Baranich Rogów zachodnim żlebem Baraniej Szczerby, K. Englisch, A. Englisch [WHP t. 20]
26.07.1900 – **Rogata Turnia, Podufała Turnia**, drugie (lub pierwsze) wejście na Podufałą Przełączkę, K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer mł. [WHP t. 13]
30.07.1900 – **Biała Ławka, Siodełko Hunsdorferów**, K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer st. [WHP t. 16]
17.07.1900 – **Biała Ławka od Jaworowej**, Siodełko Englischa K. Englisch, A. Englisch, dwóch Hunsdorferów [WHP t. 16]
28.08.1900 – Łomnica przez Cmentarzysko, K. Englisch, A. Englisch, dwóch Hunsdorferów [WHP t. 21, 22]
02.01.1901 – (niepewne) pierwsze wejście zimowe na **Wielicką Kopę**, K. Englisch, K. Jordán, J. Franz st., J. Hunsdorfer mł. [WHP t. 13]
25.07.1901 – **Wielka Granacka Turnia**, K. Englisch, J. Hunsdorfer mł. [WHP t. 13]
20.07.1901 – **Wielki Kościół**, K. Englisch, J. Hunsdorfer st. [WHP t. 17]
01.01.1902 – szóste zimowe wejście na **Sławkowski Szczyt**, K. Englisch, K. Jordán, J. Franz st., J. Hunsdorfer st. [WHP t. 14]

25.07.1902 – **Przełęcz w Ostrym**, K. Englisch, L. Koziczinski oraz dwóch Hunsdorferów (dolna część drogi – sam Karol 22 VII 1902), tego samego dnia niepewne samotne pierwsze wejście na **Mały Ostry Szczyt** [WHP t. 16]

01.08.1902 – wejścia w **Jaworowej Grani**, K. Englisch, A. Kamiński. Prawdopodobnie: Wyżnia Ryglowa Przełęcz, Wielka Jaworowa Turnia, Ryglowa Przełęcz, Pośrednia Jaworowa Turnia, Zadnia Rogowa Przełęcz, Skrajna Jaworowa Turnia, Skrajna Jaworowa Przełęcz, Żabi Wierch jaworowy, Żabi Przechód, Zielony Wierch Jaworowy, Zielona Przełęcz, Zielona Czuba [WHP t. 15]

07.08.1902 – **Nowoleśne Turnie**, K. Englisch, J. Hunsdorfer st. [WHP t. 13, 14]

16 (17?).07.1902 – **Lodowy Zwornik, Wyżnia Lodowa Przełęcz, Śnieżny Szczyt**, K. Englisch, J. Hunsdorfer st. [WHP t. 18, 19]

17.08.1902 – **Mały Kościół**, K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer st. [WHP t. 17]

20.08.1902 – **Mały Jaworowy**, K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer st. [WHP t. 15]

21.08.1902 – **Krzesany Róg**, według Paryskiego wiadomość o wejściu nieprawdziwa, B. Chwaściński się z tym nie zgadza. [WHP t. 14]

25.08.1902 – **Ostry Szczyt**, K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer st., J. Strompf [WHP t. 16]

13.01.1903 – pierwsze wejście zimowe na **Krzyżne Liptowskie**, K. Englisch, K. Jordán, J. Hunsdorfer st. i P. Spitzkopf [WHP t. 4]

15.01.1903 – pierwsze wejście zimowe na **Krywań od Trzech Źródeł** przez Gronik. Zejście na Pawłową Polanę Wielkim Żlebem. K. Englisch, K. Jordán, J. Hunsdorfer st. i P. Spitzkopf [WHP t. 8]

18.07.1903 – **Ostra, Krótka**, K. English, P. Spitzkopf st. byli pierwszymi znanymi turystami w Dolinie Suchej Ważeckiej [WHP t. 8]

19.07.1903 – **Wielkie Solisko** (z Furkotnej przez Pośrednią Soliskową Ławkę, zejście do Doliny Młynickiej), **Pośrednie Solisko, Wyżnia Soliskowa Ławka, Pośrednia Soliskowa Ławka, Leskowska Przełączka**, K. English, P. Spitzkopf st. [WHP t. 8]

24.07.1903 – **Niżnia Wysoka Gerlachowska**, **Niżnia** Łuczywniańska **Szczerbina** (najprawdopodobniej podczas wycieczki na Gerlach z Polskiego Grzebienia), K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer st. [WHP t. 12]

28.07.1903 – niepewne pierwsze wejście na **Kopę Popradzką** z Dolinki Smoczej z niewiadomymi towarzyszami. [WHP t. 9]

29.07.1903 – pierwsza droga **pd.-zach. ścianą Zmarzłego Szczytu**, K. Englisch, J. Hunsdorfer st. „Droga łatwa, nieciekawa" [WHP t. 11]
30.07.1903 – **Hińczowa Turnia**, K. Englisch, J. Hunsdorfer st. [WHP t. 6]
09.08.1903 – pierwsze wejście na **Mięguszowieski Szczyt Czarny od Czarnostawiańskiej Przełęczy**, zarazem pierwsze wejście na ową przełęcz (od Wielkiego Stawu Hińczowego), K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer st. [WHP t. 6]
12.08.1903 – **Przełęcz w Widłach** (próba wejścia na Wielki Szczyt Wideł), K. Englisch, A. Englisch, J. Hunsdorfer st., jedno z pierwszych zejść przez Miedziane Ławki, zjazdy na linie [WHP t. 21, 22]
17.08.1903 – samotne wejścia na **Zachodni Szczyt Wideł** i **Wyżnią Miedzianą Przełączkę** podczas wycieczki na Łomnicę [WHP t. 21, 22]
24.08.1903 – **Barani Kopiniak, Pośrednia Barania Ławka, Barani Przechód, Wyżnia Barania Ławka** (pierwsze właściwe wejście – cokolwiek to ma oznaczać) w ramach wycieczki na Baranie Rogi, K. Englisch, A. Englisch [WHP t. 20]

Hubert Jarzębowski